

**Steve Zettler**

**Ronin**

**Tłum. Iwona Zych**

## **Rozdział 1**

Po odejściu, a raczej zniknięciu Sama Ronina, Hunter Black przejął po nim schedę. Co do tego panowała zgoda - w Firmie był bezsprzecznie najlepszy. Hunter Black zajął miejsce Sama Ronina i szło mu dobrze.

Hunter był pupilkiem Sama. Ronin wyszkolił go w sztuce, jak być niewidzialnym i jak zadać cichą śmierć, zapoznał z niemal każdym rodzajem broni od UZI po AK 47, struny fortepianowe i miecze samurajskie. Dzięki nauczycielowi, Hunter potrafił przyrządzić tłumik z kory dębowej i jesien-nych liści w taki sposób, żeby pociągnięcie spustu nie wywoływało małego pożaru. Przeszedł przez wszystkie kursy walk wschodnich, jakie Firma oferowała, zawsze pod okiem Sama, który obserwował uważnie, komentował, w razie czego pokazał, stając z nim do sparingu jak starszy brat.

Uczył go przy tym trików, o których chłopcy z Firmy nie mieli nawet pojęcia. Szli na piwo i papierosa - wtedy palenie było jeszcze dozwolone - a Sam tłumaczył:

- Widzisz, Hunter, to jest tak... Jesteś gdzieś, Bóg jeden wie, gdzie, we Wschodnim Bloku albo w Ameryce Środkowej, czy południowo-wschodniej Azji, choćby w pieprzonym Los Angeles. Sukinsyny nigdy nie grają według zasad, ani moich, ani twoich. Busido to dla nich chińszczyzna. Nie znają pojęcia honoru. Są uzbrojeni po zęby i niebezpieczni. Masz być od nich lepiej uzbrojony i o wiele bardziej niebezpieczny. Kiedy wejdiesz do akcji jako moja obstawa, chcę mieć pewność, że trafisz drania kulą między oczy, zanim zdąży mrugnąć. Przy okazji nie pobrudzisz mu koszuli!

Hunter uśmiechnął się do swych myśli. Brakowało mu Sama. Przez te wszystkie lata wspólnie przeprowadzili więcej operacji niż ktokolwiek inny w Firmie. Najpierw była Kambodża, potem Algieria. W Angoli Firma zostawiła ich na lodzie, ale poradzili sobie sami z całym oddziałem południowoafrykańskich najemników, jakby mieli do czynienia z naiwnymi harcerzykami. Wykiwali ich, odebrali im broń i przewieźli cały ten interes rozklekotanym samolotem transportowym do Pretorii. Pili piwo na Pennsylvania Avenue, zanim Firma zdążyła powiadomić rodziny o ich przedwczesnym zejściu.

Minęło już wiele lat od tamtych czasów.

Hunter stał na Rue Tardif, pod szumiącym starym platanem, wsłuchany w gruchanie gołębi.

Wcisnął ręce do kieszeni. Złote smugi reflektorów podświetlały stare mury jednej z najpiękniejszych budowli jedenastowiecznej Europy - katedry w Bayeux. "Oaza spokoju" - pomyślał, próbując jednocześnie wyobrazić sobie wielowiekowe krwawe zmagania, które dotknęły ten niewielki skrawek Normandii. Zaczęło się od rzymskich zdobywców, ich miejsce zajęli najeźdźcy ze Skandynawii, z czasem pokonani przez Ryszarda Pierwszego, który uległ wreszcie Wilhelmowi Zdobywcy. W 1106 roku, wraz z Henrykiem Pierwszym, nastąpił okres paruset lat pokoju, przerwany wojną stuletnią i konfliktami religijnymi XVI wieku. W najnowszych dziejach, najazd hitlerowców zakończył się lądowaniem aliantów na pobliskich plażach. "Krew - pomyślał Hunter - wsiąkła głęboko w ziemię tego miasteczka." Każdej wiosny pięknie kwitły wyrosłe na niej jabłonie, obsypane krwistoczerwonym kwieciem.

Stojąc na Rue Tardif, Hunter znów pomyślał o Roninie. Ostatni raz widział go pięć lat temu.

Firma twierdziła, że Sam przeszedł na emeryturę, ale Hunter wiedział swoje. Jak ktoś był tak dobry operacyjnie, jak Sam, nie szedł, ot, tak, na emeryturę. Mógł ludzić się nadzieją, że zostawi wszystko, ukryje się pod nowym nazwiskiem i kupi mały domek gdzieś nad Pacyfikiem, gdzie będzie prowadził pieska na spacer i grał w tenisa. Zwykle nie trwało to długo, przeważnie nim minął rok, delikwent dostawał zawału. Hunter nie miał złudzeń - sam przyczynił się do trzech takich zawałów.

Firma nie lubi nieskończonych spraw.

Hunter zastanawiał się, czy Sam jeszcze żyje. To znaczy, czy udało mu się uniknąć zawału.

Mając romantyczne usposobienie, Hunter chciał wierzyć, że Sam uniknął i tego.

Ale jak długo?

Gdy tak stał na Rue Tardif i podziwiał cienie kładące się na starej katedrze, rozmyślając, jak Sam oszukał system, w tej właśnie chwili został namierzony... W Firmie był z pewnością najlepszym agentem operacyjnym, ale był ktoś lepszy od niego. Człowiek ten nie miał nazwiska, zresztą imię też było przypuszczalnie nieprawdziwe. Nazywano go Alex.

Alex wysiadł właśnie z autobusu. Towarzyszyło mu sześciu ludzi, dwaj z nich byli jego obstawą.

Udawali Francuzów, którzy szli do katedry na wieczorny koncert muzyki kameralnej, zawzięcie dyskutując między sobą po francusku o Bachu, Mahlerze i innych klasycznych kompozytorach.

Kierowali się spacerkiem w kierunku masywnych drewnianych wrót katedry, nie spuszczać z oka agenta. Hunter nie zwrócił na nich uwagi. Czekala go banalnie prosta operacja: dwie identyczne dyplomatki, siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów w jednej, duża szara koperta w drugiej - zwykła zamiana podczas koncertu. Wyjść mieli osobno, każdy innymi drzwiami. Hunter nie spodziewał się kogoś trzeciego. Jedynym potencjalnym zagrożeniem był facet z Paczką. Czy mógł go okantować?

Zawsze możliwe. Należało brać to pod uwagę. Ale gnój pozałuje dnia, w którym spotkał Huntera Blacka. Alexa rozpoznałby natychmiast, gdyby tylko spodziewał się go ujrzeć. Oblicze tego typu straszło z fotografii w Langley już tak długo, że sekretarki czasem miały wątpliwości, czy to swój, czy bandyta.

Walizeczka trzymana w lewym ręku obila mu się ciężko o nogę. Jak tylko zamienią się teczkami - pomyślał Hunter - ta z Paczką będzie lżejsza od tej wypchanej siedmiuset pięćdziesięcioma tysiącami zielonych w banknotach dwudziestodolarowych. Ale ironia - pomyślał jeszcze - na każdym banknocie widnieje sztych Białego Domu i tam właśnie trafi Paczka. Dokładnie rzecz biorąc, do Gabinetu Owalnego, gdzie zajmą się nią odpowiednio.

Podniósł rękę z zegarkiem i spojrzał na cyferblat. Kurek automatycznego pistoletu kalibru 25 mm w kaburze pod lewym ramieniem wbił mu się nieznośnie w biceps. Za pięć ósma. Już czas. Jeszcze raz sprawdził kodowane zamki teczek - oba nastawione były na 007. Hunter zabawiał się w ten sposób, gdy zadanie było nudne. Przeszedł na drugą stronę Rue Tardif i ruszył w kierunku wejścia do katedry.

"Piękne drzwi - przemknęło mu przez myśl - stare drewno i żelazo, nieetknięte bombami aliantów." Pomyślał, że alianci starali się oszczędzać historyczne klejnoty architektury we Francji. Drewno miało mniej szczęścia - kosztowna różnica między wygraną i przegraną, gdy chodzi o wojnę.

Wnętrze katedry tonęło w półmroku. Przygaszono elektryczne oświetlenie, migotliwy blask świec odbijał się na ołtarzach i rzucał cienie na stare mury. Muzycy ustawiali instrumenty za przegrodą ołtarzową, przeciągali smyczkami po strunach, regulowali naciąg. W ławach siedziało około pięćdziesięciu słuchaczy. Wszyscy miejscowi, ocenił Hunter. W każdym razie, żadnych Amerykanów w tenisówkach, szortach i dresach, koszulkach z krzykliwą Myszka Miki na piersi.

Szedł nawą główną, rozglądając się. Na środku siódmej ławy siedziała starsza kobieta, otyła, w peruce z farbowanych, czarnych włosów. Hunter wsunął się w ławę i usiadł za nią. Dostrzegł pot perlący się na twarzy, tuż

pod linią peruki. Pod ławą, przy nodze kobiety, stała brązowa skórzana dyplomątka, ładząco podobna do tej, w której miał pieniądze.

Postawił teczkę obok tamtej na kamiennej podłodze.

- Zachwycająca kiecka, Henri - szepnął, pochylając się w stronę kobiety. - Jest ci w niej do twarzy. Nie gorąco w tych włosach?

Henri zdębiał, zaskoczenie malowało się na jego twarzy.

- Monsieur Black. Mówiono mi, że będzie ktoś inny.

Pot spływał obficie spod peruki, w dłoniach miętosił różaniec.

- Henri, uspokój się. Wszystko w Firmie. Nastawiłeś zamki na 627?

- Oui.

- No to sprawdźmy, co mamy, i spływajmy.

Mężczyźni pochylili się i każdy pociągnął w swoją stronę nie swoją teczkę. Obaj ustawili zamki na 627, kłapnęły w ciszy klapy. Henri wstrzymał oddech na widok takiej forsy w używanych banknotach. Hunter zachował zimną krew. Bez jednego drgnienia, nie spuszczać głowy, sprawdził, że Paczka jest autentyczna i nienaruszona. Znowu pochylił się do przodu.

- Zadowolony?

- Oui.

- W porządku... Wiesz co, Henri? Czuję jakieś zło w powietrzu. Coś dziwnego. Czujesz, Henri?

Czujesz zło w tych starych murach?

- Mais, non... Ależ nie.

- Wierz mi, coś tu nie gra... Jestem przewrażliwiony. Zmienimy, przyjacielu, plan. Wychodzisz pierwszy, a ja zostaję do końca koncertu, idź.

Henri obrócił się do niego, osobliwie przerażony.

- Ależ, monsieur...

- Nie radzę - szepnął Hunter lodowato, czym jeszcze bardziej wystraszył łącznika. - Odwróć się do przodu, Henri, i to już!

Francuz posłuchał. Hunter zastosował chwyt na szyi nieszczęśnika, który doprowadził go prawie do nieprzytomności.

- Wybieraj, mon ami. Wychodzisz stąd z forszą, zanim zagrają Sibeliusa czy co tam jest w programie, albo zostajesz, a ja biorę wszystko. Wszystko. Obie tecki. Pamiętaj, że jeśli zostajesz, to na zawsze!

Poczuł, że Francuz sztywnieje, zelżył więc nacisk na szyję, choć wciąż jeszcze go trzymał.

- Czas ucieka, Henri. Podnieś lewą rękę i podrap się w ucho, jeśli nie masz ochoty witać się dziś ze Zbawicielem.

Henri podniósł spoconą, drżącą rękę do ucha, po czym opuścił ją na podłok.

- Znakomity wybór. A teraz spieszaj, zanim się rozmyślę.

Henri wstał. Zlepione włosy przyklejone były do pyzatej twarzy.

Trzymając teczkę w prawej dłoni, bokiem wysuwał się z ławy. Zamarł na dźwięk głosu Huntera.

- Henri?

- Oui?

- Bon chance, amigo.

Nie oglądając się, Henri pospieszył do wyjścia.

Hunter rozparł się, postanawiając wysłuchać koncertu do końca. Nie był pewien, kto wyszedł lepiej na tej zamianie. Jego idolami byli Patsy Cline i Hank Williams - takiego klasycznego brzdąkania nie znosił. Perspektywa bitych dwóch godzin piłowania skrzypiec to dla niego istna tortura. Nie mógł doczekać się końca koncertu. Miał za to czas przemyśleć strategię. Jednego był pewien - coś mu nie grało w tej cholernej katedrze. Wzburzenie Henriego zmianą planów dawało wiele do myślenia.

Hunter doszedł do wniosku, że w ciemnych, wąskich uliczkach na zewnątrz katedry będzie łatwym celem. Najlepiej będzie zostać wewnątrz. Pozwoli kościelnemu zamknąć i zobaczy, co dalej.

Może wyśliźnie się niepostrzeżenie z gmachu, nie włączając alarmów, gdzieś o drugiej lub trzeciej nad ranem, ulice wtedy powinny być puste... Tak, to jedyne rozsądne wyjście z sytuacji. Jak się nie uda, to poczeka do rana i zmiesza się z nową partią turystów.

Nagrodziwszy kwartet oklaskami, publiczność zbierała się do wyjścia. Ludzie wymieniali wrażenia i wszyscy wyglądali na zachwyconych. Kilku słuchaczy prawilo muzykom komplementy.

Hunter wziął teczkę i ruszył w prawo, w przeciwną stronę od ołtarza. Odnalazł okrągłe kamienne schody prowadzące na szczyt dzwonnicy. Rozejrzał się i wszedł na nie bezszelestnie. Nawet czujny obserwator rzekłby, że rozpląnął się w powietrzu. Chwilę przyzwyczajał wzrok. Nie mógł ocenić, jak wysoko prowadziły schody. Odkrywał kolejne stopnie, wspinając się do góry, instynktownie przeczuwając, że najbezpieczniej będzie gdzieś pośrodku, gdzie usłyszy zbliżające się kroki, czy to z dołu, czy z góry. "Przecież tu musi być jakaś nisza" - pomyślał. Nie lubił ciemności. Nie dochodziło tu światło z wnętrza katedry, tylko gdzieś z góry sączył się nikły blask księżyca.

Pokonawszy kolejnych dziesięć stopni, zatrzymał się. Przełożył teczkę do prawej ręki. Wstrzymał oddech, skupiając całą uwagę na lewej dłoni, którą przyłożył do kamiennego muru klatki schodowej.

Ktoś szedł.

Nie usłyszał go, poczuł jedynie wibrację - ostrożnie stawiane kroki na starożytnym kamieniu. Z góry czy z dołu? Nie umiał odpowiedzieć sobie na to pytanie. Przerzucił walizeczkę z powrotem do lewej ręki i wyciągnął

broń z kabury. Wsłuchiwał się, wstrzymując oddech. Nie słyszał nikogo, lecz całym ciałem wyczuwał, że ktoś go śledzi. Z góry czy z dołu?

Okropny śmiech wypełnił klatkę schodową. Wciąż nie był pewien, czy dźwięk dochodził go z góry, czy z dołu? Wtem rozległ się głos:

- Idę po ciebie, Jankesie.

Alex!!!

Rozpoznał go po głosie. Jak mógł go przegapić wcześniej? Hunter skoczył w lewo jeden stopień w dół, ale zatrzymał się gwałtownie. Zdał sobie sprawę, że Alex nie mógł być za nim. Nigdy w życiu.

Tak mu się zdawało, ale przecież facet nie zdradziłby tak łatwo swej pozycji.

Hunter Black miał rację, ale było za późno. Kula z wyciszonej półautomatycznej broni uderzyła go w plecy po lewej stronie. Ominęła serce, przeszła przez płuco i wyrwała olbrzymią dziurę w piersiach.

Hunter upadł na twarz i stoczył się kilka stopni, zatrzymując się na plecach. Zdawał się stracić przytomność. W lewej ręce wciąż ścisnął uchwyt teczki, w prawej luźno trzymał pistolet.

Alex podszedł obojętnie. Wyrwał teczkę z zaciśniętej dłoni Huntera i strzelił palcami. Jego obstawa zeszła do niego, jeden z goryli podał mu kajdanki, którymi Alex przypiął dyplomatkę do lewego nadgarstka. Wysoko nad nimi dzwony katedry w Bayeux ogłaszały koniec dnia. Alex uśmiechnął się zwycięsko i uniósł wzrok do góry.

- Pan mi sprzyja - stwierdził dumnie.

Dłoń Huntera zaciskała się na kolbie pistoletu. Zauważył to Alex i dodał:

- Tobie, nieszczęśniku, nie!

Strzelił leżącemu prosto między oczy.

## Rozdział 2

Kilka przecznic od placu Pigalle, w paryskim Osiemnastym Departamencie, bardziej w kierunku Dworca Północnego, na Rue Masse, w pół drogi między Rue Pigalle i Rue des Martyrs, mieścił się bar "U Omara". Był to tradycyjny francuski lokal w opinii Amerykanów, nie tylko bowiem nie było tam szafy grającej, strzałek i kręgli mechanicznych lub pokera na wideo, ale na miniaturowym telewizorze stale leciał jakiś mecz piłki nożnej, a na domiar złego nie serwowano tam Budweisera. Tak naprawdę nie było nawet Omara. Właścicielem był Hagop, Turek, mierzący prawie dwa metry wysokości i mający niemal tyle samo w obwodzie. Turkowi nie podobala się nazwa "U Hagopa", nazwał więc lokal "U Omara". Hagop mówił biegle po francusku, a jego klientela składała się głównie z mętnych

typów z sąsiedztwa. Utrzymywał jednak, poprzez brata w Stambule, kontakty, które rozciągały się od Bliskiego Wschodu, Afganistanu, Północnej Afryki po zapyziałe czarnomorskie porty w Bułgarii, Rumunii i na Ukrainie. Profity czerpał nie tyle ze sprzedaży calvadosu, co z wymiany informacji. Deirdre McLaughlin wiedziała o tym aż za dobrze.

Ciemna Irlandka, oto cała Deirdre. Krótko przycięte kruczoczarne włosy, zimne jak stal błękitne oczy, śnieżnobiała cera i półuśmiech na twarzy, który, jeśli zechciała, ścielił mężczyzn u jej stóp.

Kiedyś była w IRA, przynajmniej tak twierdziła; mówiła też, że ma więcej "odhaczonych" egzekucji od samego Michaela Collinsa. Życie zmusiło ją do przeprawy przez kanał, porzucenia IRA na rzecz lepiej płatnego prywatnego zlecenia. Nie ukrywała, że zamiana okazała się całkiem lukratywna, przysłowiowy ukryty skarb.

Zostawiła za sobą jaskrawe światła nocnego życia na placu Pigalle, kierując się w stronę słabego neonu "U Omara" na Rue Masse. Minęła bar, nie zajrzawszy do środka przez otwarte drzwi.

Doszedłszy do narożnika, przeszła na drugą stronę ulicy i skryła się w cieniu budki telefonicznej.

Szybkim ruchem wyrwała przewody, pograżając budkę w ciemnościach. Całą akcję obserwował z okna na drugim piętrze krepy, otyły mężczyzna o jasnych włosach. Nazywał się Seamus Reilly.

Seamus nie angażował się bezpośrednio, o ile nie było konieczności. Zazwyczaj zachowywał anonimowość i koordynował działania z boku, sam pozostając w cieniu. Teraz stał przy oknie i metodycznie wyłuskiwał nożem sprężynowym brud spod paznokci. Deirdre oparła się o aluminiową ściankę budki i chyba po raz dziesiąty spojrzała na zegarek. Pierwsza nad ranem. Czas na nich.

Jeszcze dwóch i będzie komplet. Wejdzie do baru dopiero, jak będą wszyscy. Nie da się podejść od tyłu.

Nie znała ich nazwisk. Nigdy ich nie widziała. Pięciu płatnych zabójców, każdy wyspecjalizowany na swój sposób w zadawaniu mniej fortunnych ofiarom perfidnej śmierci. Nie znali się z widzenia, tym bardziej po imieniu. Deirdre też ich nie znała. Mimo to bezbłędnie rozpoznała pierwszych trzech, którzy zjawili się na umówione spotkanie. Wszystkich w tej branży cechuje jednakowa zimna krew, są w tym jak bracia syjamscy. Tych pięciu sprowadzono z różnych zakątków świata do wykonania jednego zadania. Im mniej wiedzieli o sobie nawzajem i o szefie, tym lepiej.

Dopóki byli sobie obcy, musieli pilnować się nawzajem - w ten sposób miała większą pewność, że jej nie okantują.

Deirdre spojrzała w dół Rue Masse. Zobaczyła barczystego mężczyznę, wysokiego na dwa metry, na pierwszy rzut oka Amerykanina. Kowbojskie buty, dzinsy noszone nisko pod opasłym brzuchem.

"Może to czwarty?" - pomyślała. "Może jednak tylko turysta - zwątpiła po chwili - potoczy się dalej w poszukiwaniu mocniejszych wrażeń, z których słynie paryska dzielnica Pigalle." Jednak mężczyzna zatrzymał się przy wejściu do baru, rozejrzał się i, zerknąwszy na zegarek, wszedł do środka. "Zawodowiec - skostatowała Deirdre. - Numer czwarty w domu." Larry Jones umiał dbać o siebie. Gwiazda studenckiej ligi futbolowej, nie wszedł na szczyt tylko dlatego, że nie podobało mu się w macierzystym mieście drużyny Orłów Filadelfijskich. "Kto by tam chciał mieszkać w Filadelfii?" - pomyślał i zamienił futbol na wyścigi samochodowe, a że był znacznie lepszym kierowcą niż graczem, szło mu całkiem nieźle. Nie zrobił kariery tylko dlatego, że był za ciężki - nie wyciągał z samochodu tyle, ile pozostali. W wieku dwudziestu siedmiu lat pożegnał się z torem wyścigowym, ale na powrót do futbolu było już za późno. Trzeba jednak z czegoś żyć, a Larry zawsze miał nosa do robienia pieniędzy. Wykorzystał znajomość aut i umiejętność prowadzenia wozu w pracy może niezupełnie etycznej, za to bardziej popłatnej.

W głębi baru Larry spostrzegł trzech patronów zajętych swoimi drinkami. Jeden z nich oglądał mecz na telewizorze, którego ekran był wielkości małego zdjęcia. Amerykanin usiadł przy barze jak najdalej od telewizora i skinął na barmana. Hagop potoczył się w jego kierunku. Dorównywał mu wzrostem, ale nie tuszą. Larry ważył coś koło stu dwudziestu kilogramów, dobre piętnaście kilo więcej od Turka.

- Budweisera.

Hagop pokręcił przecząco głową.

- Co?! Nie masz pieprzonego Budweisera? Te francuskie dziury nigdy nie mają dobrego piwa!

Turek złożył ręce na piersi i zmrużył oczy, jakby chciał powiedzieć: "Przykro mi, bracie, spróbuj jeszcze raz."

- Okej, daj mi jakiegoś francuskiego piwa. Byle lekkiego. Nie lubię tego ciemnego świństwa.

Hagop sięgnął do lodówki pod barem i wyciągnął Kronenberga. Nalał i postawił przed Larrym.

Już miał odejść, gdy Larry znów go zaczepił.

- Hej, Omarze, bracie, poczekaj no - mówił Larry. - Czy to pudełko ma inne programy? Coś oprócz piłki nożnej?

Człowiek, który dotychczas oglądał mecz na malutkim ekranie telewizora, odwrócił się teraz do Larry'ego. Ciemne włosy, głęboko osadzone oczy, trzydziestka z okładem. Wyglądał na Francuza, w czasach drugiej



wojny światowej wzięto by go bez wątpienia za bojownika Ruchu Oporu. Mówił spokojnie, ale z jego głosu przebijała ogromna pewność siebie.

- Monsieur, po pierwsze, on się nazywa Hagop, a nie Omar, a to, co ja oglądam, to nie piłka nożna, tylko francuski futbol.

Wrócił do oglądania telewizji.

- Futbol? Ty to nazywasz futbolem? To nie żaden pierdolony futbol. Futbol to stukilowi faceci, którzy walą się z szybkością błyskawicy i taranują takich chłystków jak ty w nadziei, że ich wykończą przed ostatnim gwizdkiem! - Larry przerwał i pociągnął ze swego kufła. - Boże, co za świństwo! Te, koleś, naprawdę chcesz wiedzieć, co to futbol? Chcesz?

Nikt się nie odezwał.

- Powiem ci, żebyś wiedział. Walisz przeciwnika im niżej, tym lepiej, jak już leży, a sędzia nie widzi, dołożysz mu pięścią w jaja. Gdy się zwija z bólu, plujesz mu w twarz i mówisz, że przeleciałeś wczoraj jego matulę i nawet nie była najgorsza. Oto futbol! Amerykańska gra do kwadratu. Ameryka to Numer Jeden. Absolutnie, pierdolenie najlepsza. To właśnie jest futbol, a nie to, co tam leci w tym telewizorku.

Po tym monologu człowiek oglądający mecz odwrócił się jeszcze raz. Tym razem zsunął się ze swego stołka barowego i stanął naprzeciwko Amerykanina. Larry nie pozostał dłużny. Ścieli się wzrokiem, obaj nieustępliwi w swym zacietrizewieniu. Po chwili Francuz rozluźnił się i, sięgając po paczkę błękitnych gauloise'ów leżących na kontuarze, wyciągnął papirosa. Zapalił go od drewnianej zapałki, zaciągnął się, a gasnącą zapałkę wrzucił do trójkątnej porcelanowej popielniczki. Wypuścił dym nozdrzami.

- Przyjacielu - odezwał się wydmuchując dym nosem i ustami - futbol, znaczy się, amerykański futbol... to gra dla pedałów!

Larry oparł cały ciężar ciała na jednej nodze i, na podobieństwo Johna Wayne'a, wycedził przez zęby:

- Ale nie w Teksasie, amigo.

- Myślę, że w Teksasie jeszcze bardziej. Widziałem waszych kowboi w akcji. Wciąż głaszczą się nawzajem po derierach. Czyż to nie miłość!?

- Derierach?

- Dupach, jeśli wolisz. To z pewnością zrozumiesz.

Hagop i pozostali nie mieli wątpiwości, że brak zrozumienia między tymi dwoma sięga szczytu.

Czekali na rozwój wypadków, nie chcąc stracić dobrego miejsca na widowni. Piłka była teraz w polu Larry'ego, wszystkie oczy zwróciły się na niego. Trwało to około trzydziestu sekund, aż na twarzy Larry'ego zagościł uśmiech. Deirdre miała rację - swój rozpoznał swego, Larry poznał się na ludziach w barze. Roześmiał się, ku wtórze pozostałych, Hagopa też.

- Co tam pieprzony futbol - stwierdził, gdy tylko się uciszyli. - Wiecie co? Nigdy nie miałem żadnych korzyści z futbolu!

Podszedł do Francuza i wyciągnął do niego rękę.

- Coś mi mówi, że ściągnięto nas tutaj w tym samym celu. Nazywam się Larry Jones, Amerykanin z krwi i kości.

Mężczyzna ujął dłoń Larry'ego.

- Vincent Leygues... Je suis Francais - powiedział z uśmiechem.

- Sądzę, że masz rację, łączy nas jeden cel.

Vincent kiwnął na siedzącego niedaleko wysportowanego mężczyznę. Człowiek wstał. Był niższy od Larry'ego o dobre dziesięć centymetrów. Spojrzał na Larry'ego spod oka przenikliwie zielonymi oczyma. Akcent wskazywał na pochodzenie z Europy Wschodniej, ale Larry nie potrafił ustalić skąd.

- Gregor Novaya - przedstawił się mężczyzna. - Witaj na pokładzie.

Larry ścisnął podaną rękę, myśląc sobie, że jeśli ten facet nie jest byłym agentem KGB, to jego stary jest pieprzonym pancernikiem. Spojrzał na drugiego mężczyznę. Wzrostem mierzył tyle co on, ale był szczupły i muskularny. Wyglądał jak bokser w szczytowej formie przed walką. Włosy miał szokująco jasne, brak wyrazu na twarzy uniemożliwiał odczytanie jego myśli. Larry pomyślał, że facet - o ile nie jest głupi jak but - musi być socjopata, a jeśli byłby głupi, nie byłoby go tu tej nocy.

- Hospence Dal, ale mówcie mi Spence, jeśli wam życie miłe.

- Masz to jak w banku, Spence.

Czekając, oparta o budkę telefoniczną, Deirdre usłyszała salwę śmiechu z baru. Zaskoczyło ją to.

Taki odgłos z lokalu, gdzie spotykali się rosyjscy gangsterzy, handlarze informacji i międzynarodowi płatni zabójcy? Hałas dochodzący z baru zaprzętnął ją do tego stopnia, że dzwonek telefonu przy uchu wywołał instynktowną reakcję: tygrysim ruchem wysunęła spod kurtki dwa pistolety o kalibrze 9 mm wyposażone w tłumiki. Obróciła się na pięcie i obrzuciła wzrokiem ulicę. Zrobiła to płynnie, szybko, precyzyjnie -jakby tańczyła.

- Jezu, kobieto, uspokój się. To dopiero początek.

Nie powiedziała tego na głos. Myśl ta przemknęła jej przez głowę, gdy chowała pistolety i podnosiła słuchawkę.

- Tak... Czterech już jest. Czekam.

Urwała, widząc głęboki cień, który padł na tablicę aparatu. Nie było żadnego odgłosu, żadnego ruchu. Odwróciła się ostrożnie. Przed nią stał szczupły mężczyzna ubrany na czarno. Włosy też miał czarne, jak ona, a oczy błyszczały jak kawałki świeżo wydobytego węgla kamiennego albo

czarne diamenty. Było w nim coś władczego, wyczuwała jego siłę. Wystarczyło jedno spojrzenie, by swój rozpoznał swego.

- Potrzebujesz czegoś? - spytała wcale nie mając zamiaru mu pomagać.
- Myślałem, że to do mnie.
- Co?
- Telefon.
- Telefon?
- Tak, telefon. Myślałem, że to do mnie.
- Niestety, nie.
- Szkoda. Cest la vie.

Mrugnął do niej porozumiewawczo i, przeszedłszy przez ulicę, wszedł do baru.

### Rozdział 3

Cztery mężczyźni rozsiedli się przy okrągłym stoliku w słabo oświetlonym kącie "U Omara".

Stamtąd dobrze widzieli nowo przybyłego, który zamówił u Hagopa kieliszek czystego calvadosu.

Wypił, obserwując ich z kolei w przybrudzonym lustrze nad barem. Odstawił kieliszek. Odwróciwszy się, podszedł do ich stolika. Mówił po angielsku z wyraźnym akcentem amerykańskim, a dokładniej rzecz biorąc, nowojorskim.

- Przepraszam za spóźnienie. Francuskie taksówki, co robić...

Vincent zapalił kolejnego gauloise'a i zaciągnął się.

- Skąd wiesz, że czekamy na ciebie? Może nie jesteś w naszym typie.
- Co masz na myśli?
- Może jesteśmy glinami.

Obcy parsknął i zmierzył każdego z nich wzrokiem.

- Coś ci powiem, przyjacielu. Znam się na glinach - spojrzał na Hagopa, potem znowu na Vincenta. - Ty nie jesteś gliną. W całym lokalu nie ma złamanego gliniarza.

Vincent wyraźnie uznał to za komplement. Sytuacja została rozładowana. Larry odchylił się do tyłu i założył ręce na piersi, nie zważając na trzeszczące pod nim krzesło. Kiwnięciem brody wskazał nowemu miejsce przy stoliku.

- Nazywasz się jakoś, kolego?

- Sam.

- Papierosa? - Vincent wytrząsał z paczki ostatniego gauloise'a.

Spence i Gregor taksowali nowego w milczeniu.

- Dzięki. Nie chcę umrzeć młodo.

- Bez obaw - parsknął Vincent, nieco dotknięty odmową. - Tylko ludzie dobrzy umierają młodo. Nam to nie grozi. Monsieur Sam, masz jakieś nazwisko?

- Ronin.

- Aaa... Ronin. Jak ten samurajski wojownik, który stracił mistrza i przemierzał kraj wzdłuż i wszerz jako najemnik, niepewny dnia ani godziny. Słyszałem, że było ich czterdziestu siedmiu. Nie mieli pana nad sobą, nie mieli ojczyzny... Sądzę, że nieprawdziwe. Znaczy się, imię. Mam rację?

- W pewnym sensie. Dziad przyjechał do Nowego Jorku z Sycylii w 1915 roku. Nazywał się Salvatore Ronincecci. Jakiś gryzpiórek z Ellis Island skrócił do "Ronin", żeby było łatwiej.

- Zmienił imię bez pytania? - Gregor nie posiadał się z oburzenia. - Zabić facetowi żonę i dzieci to dopust Boży, ale zmieniać komuś nazwisko bez jego zgody? Niepodobna!

- Ty jesteś...? - Sam wskazał głową na Gregora i czekał, aż ten się przedstawi.

- Gregor.

- Dobrze, Gregor. Jest to jeszcze jedna tragedia w amerykańskim stylu, jedna z ośmiu milionów.

Powiem ci tylko, że jeśli masz zamiar jechać do Nowego Jorku, uważaj na urzędników imigracyjnych.

Vincent zawołał do Hagopa po francusku, nie spuszczać oczu z towarzystwa przy stole, żeby przekonać się, kto i ile rozumie. Hagop zdjął fartuch, po czym przetarł nim kontuar. Z szuflady przy kasie wyciągnął pęczek kluczy i rzucił je Vincentowi.

- Merci, mon ami, a bien tót.

Turek wyszedł w paryską noc i tyle go widzieli. Sam przyjrzał się uważniej Vincentowi.

- Omar ci ufa?

- Na imię mu Hagop.

- Kim jest więc Omar?

- Nie ma Omara.

- Proste jak drut. Po cóż miałby być. Zatem Hagop ufa ci, wierzy, że zamkniesz?

- Powiedzmy, że... wie, kim jestem.

Vincent zapalił wreszcie ostatniego papierosa, którego trzymał w palcach od dobrej chwili. Zmiał paczkę i wyrzucił, wyciągając z kieszeni następną.

- Komu? - położył ją na stole. - Częstujcie się.

Ponieważ nikt nie sięgnął po papierosa, schował ją z powrotem do kieszeni.

Zapadła cisza, którą Sam przerwał.

- Dobrze, moi drodzy, ustalmy fakty. Ja jestem Sam. Ty - wskazał przez stolik -jesteś Gregor. A ty?

Popatrzył wymownie na dużego mężczyznę huśtającego się na krześle na prawo od Gregora.

- Larry.

- Wspaniale. Gregor i Larry.

Teraz spojrzał pytająco na jasnowłosego mężczyznę na lewo od Gregora.

- Ludzie mówią mi Spence.

- Dobrze, bądźmy więc ludźmi. Miło mi cię spotkać, Spence. A pan, monsieur?

Vincent uśmiechnął się. Spodobał mu się ten facet z jego urokiem osobistym.

- Vincent - rzekł leniwie.

- Dobrze. Vincent, gość z fajkami. Mogą się jeszcze przydać, nie będę z tobą zadzierał.

Larry nie miał cierpliwości do gadki-szmatki.

- Ktoś mi powie, na co czekamy? - spytał zniecierpliwiony.

Vincent spojrzał od jednego do drugiego.

- Przypuszczam, panowie, że skoro żaden z nas nie wie, to oznacza, że czekamy nie tyle na coś, ile na kogoś.

- Nie bądź taki drobiazgowy - warknął Larry. - Niech ci będzie, na kogo? Na kogo, kurwa, czekamy?

- Faceta, który nas wynajął - odezwał się Gregor.

Cofnął swe krzesło od stolika, mówiąc sobie w duchu, że lepiej mieć tych czterech na oku.

Sam zauważył ten jego ruch, ale nie skomentował. Mówił dalej obojętnie.

- Nie wiem, jak was, chłopaki, ale mnie wynajął "Przedsiębiorca", facet w wózku inwalidzkim.

Szukał u nich potwierdzenia i nie mylił się.

- Chcecie wiedzieć, co myślę? - ciągnął Sam. - "Przedsiębiorca" wie jeszcze mniej od nas. Z pewnością nie miał pojęcia, kto nas wynajmuje, wiedział tylko, że to duże pieniądze. Co do honorarium, nie mam zastrzeżeń.

Lustrował każdą twarz z osobna, na końcu popatrzył na Vincenta. Nie ulegało wątpliwości, wszyscy znaleźli się tu w podobny sposób: duży za-

datek na początek i lakoniczna informacja, że mają się dziś stawić w Paryżu, w barze "U Omara", przed pierwszą w nocy.

- Widzę, że nikt z was nie wie, kto płaci i wymaga - Sam raczej konstatował fakt niż zadawał pytanie.

Przytaknęli mu.

- Anonimowa robota - myślał na głos. - Brać forszę i spieprzać. Interesująca, bo wymaga pięciu. Niebłaha sprawa.

- Kaszka z mlekiem - roześmiał się Spence, ale nie wyjaśnił im, co go tak rozśmieszyło.

Sam poczekał na ciszę. Kontynuując wypowiedź, starał się wyciągnąć od siedzących przy stoliku coś więcej o czekającym ich zadaniu, o którym sam niewiele wiedział. Przeliczył się. Ci faceci albo rzeczywiście nic nie wiedzieli, albo doskonale się maskowali.

- Ciekawe... Może pracujemy dla różnych ludzi? Mamy inne cele?

- Jak to? - Spence gwałtownie spowaźniał.

- Sam pomyśl. Pięciu ludzi. Dlaczego pięciu?

- Interesujące - odezwał się Gregor patrząc na sufit, jakby zbierał myśli.

- Jeśli rzeczywiście różne strony mają w tym udział... Jeśli mamy różnych zleceniodawców, nasze cele mogą różnić się diametralnie...

- Co? - wyrwało się Larry'emu.

- To, że możesz mieć całkiem inne rozkazy od moich.

- O czym wy, kurwa, mówicie? Nic nie rozumiem.

- Też mi niespodzianka - Spence powiedział to niby półgłosem, ale tak, by wszyscy usłyszeli.

Krzeseł, na którym Larry huśtał się dotychczas, teraz gwałtownie opadło na podłogę. Jakby za sprawą magicznej sztuczki, w jego rękę pojawił się automatyczny Colt Pony, pistolet kalibru 38 mm, wyglądający w jego pulchnej dłoni bardziej jak zabawka na wodę niż prawdziwa broń.

- Niespodziankę to ja mam dla ciebie, ty pieprzony blondynie.

Ani jeden mięsień nie drgnął w twarzy Spence'a. Larry speszył się, choć nie dał po sobie poznać.

Gregor stwierdził, że w razie konfrontacji jego pozycja pośrodku zwaśnionych stron nie będzie korzystna.

- Uspokoicie się? - wrzasnął.

Broń, dotychczas wycelowana w prawe oko Spence'a, teraz zagroziła jego nosowi, z drugiej strony Spence wcisnął mu pod brodę coś, co przypominało mały kilof.

- Sam się uspokój, pieprzony cichociemny - zasyczeli obaj.

- Dajcie spokój!

Sam interweniował ostro i stanowczo, przesywając obu z nich takim wzrokiem, że bezwiednie pochowali broń. Nawet Gregor poczuł na sobie

siłę tego spojrzenia. Sam piorunował ich wzrokiem jeszcze chwilę, po czym, upewniwszy się, że ostudził ich wojownicze zapędy, zwrócił się do Vincenta.

Na twarzy Francuza widać było przyjazny szacunek dla tego gościa, który tak sprawnie panował nad sytuacją. Wzruszył ramionami.

- Wygląda na to, że pan ma głos, monsieur Sam.

Sam powiódł wzrokiem po wszystkich.

- Pozostaje faktem, że możemy mieć różnych zleceniodawców. A. to mi się, przyjaciele, nie podoba. Istnieje możliwość - Sam zawiesił głos - że nie dostaliśmy po równo. - Przypatrywał się im uważnie, ale poza Gregorem, który rzucił spojrzenie ukradkiem na Spence'a, żaden z nich nie zareagował. Sam uznał to jego zachowanie za wyraz łagodnej paranoi.

- Dlaczego?

- Żeby oszukać pozostałych. Inwestuj najpierw, oszczędzi ci to wydatków później. Jeśli z pięciu czterech nie stawi się po ostatnią wypłatę, to jest to oszczędność rzędu osiemdziesięciu procent dla tego, kto nas wynajął. Nie wiem, jak wy, panowie, ale ja lubię wiedzieć, dla kogo pracuję. Można uniknąć wielu... nieprzyjemności... Później.

Larry postukał kieszeń, w której ukrył swego Colta Pony.

- Nie ze mną te numery!... Jak kto mi zrobi psikusa, to mu głowa ciąży. Od kul, które mu wpakuję.

- Kul? - wpadł mu w słowo Gregor. - Nie wystarczy ci jedna?

- Pewnie, że wystarczy. Pierwsza kończy sprawę. A druga?... Dla pewności.

Deirdre przysłuchiwała się ich rozmowie od dłuższej chwili. Stała w drzwiach wejściowych, niepewna, czy cieszyć się z tego, że weszła niepostrzeżenie, czy martwić, że pięciu zawodowców dało się tak podejść. Mimo to rozbawiła ją ich utarczka słowna. Podeszła do stolika.

- Miło, że wszyscy macie taki stosunek do naszego małego przedsięwzięcia.

- Kim ty jesteś, u diabła? - Larry nie ukrywał, jak bardzo nie lubi niespodzianek.

- Nazywam się Deirdre. Ja tu rozkazuję.

## Rozdział 4

Deirdre zaskoczyła ich. Nie przywykli słuchać rozkazów, tym bardziej od kobiety. Sam miał w pamięci spotkanie przy budce telefonicznej, doceniał jej szybkość i zdecydowanie. Teraz postanowił przekonać się, czy poradzi sobie z tymi facetami. Larry nie był równie subtelny - postawił sprawę na ostrzu noża.

- Deirdre, co? Irlandka, zgaduję po akcencie. Wiesz, co mój stary mawiał o Irlandczykach?

Potrząsnęła głową.

- Tata mawiał, że od głupiego Irlandczyka głupszy jest tylko... - tu spojrział na Spence'a - ...sprytny Szwed.

Skoczyli sobie do gardeł, zmuszając Gregora, by ich rozdzielił z narażeniem życia.

- Panowie - warknął - zachowujmy się jak zawodowcy!

Prostota tego stwierdzenia ostudziła dwóch olbrzymów, jakby ktoś nagle wypuścił powietrze z balona. Usiedli, obrzucając się niechętnym wzrokiem. Teraz Gregor zwrócił się do dziewczyny.

- Wiemy już, że nam rozkazujesz. A kto tobie rozkazuje? IRA?

- Skądże - zaczęła, ale zreflektowała się, że mogli wiedzieć o niej więcej, niż sądziła. - Kiedyś tak. Jasne, jestem z Belfastu, tego nie da się ukryć. Walczyłam o sprawę. Teraz rozmawiają o pokoju, zwalniają ze służby. Gerry Adams siedzi u Tony Blaira w kieszeni. Wszyscy to widzą. A poza tym, w IRA nie ma forsy, a ja nastawiam się na szmal, jasne?

- Zwalniają? - odezwał się Larry z niedowierzaniem.

- Zwalniają, czyli rozbrajają - wyjaśnił mu Sam. - Brytyjczycy chcą, żeby IRA oddała broń.

- Naiwniacy czy co?

- Dobrze to ująłeś - Deirdre uśmiechnęła się do Larry'ego. - W każdym razie dałam sobie siana z IRA i zostawiłam ten przekłety kraj. Dołączyłam do waszej ligi. Najemnik, pistolet do wynajęcia. Pracuję za duże pieniądze, bo jestem dobra, cholernie dobra. Sądzę, że wiecie już, że to robota za duże pieniądze.

Z pewnym wysiłkiem postawiła na stoliku dużą czarną torbę. W takich, tyle że bez zamków, piloci trzymają zazwyczaj instrukcje lotu. Ustawiła kod i otworzyła torbę. Wyjęła pięć okazałych szarych kopert i rzuciła każdemu po jednej. Spence i Larry rozdarli swoje natychmiast i przeliczyli pieniądze. Gregor poszedł ich śladem. Sam i Vincent czekali na rozwój wydarzeń.

- We frankach, mam nadzieję? - spytał wreszcie Sam.

- Dwadzieścia pięć tysięcy. Na rozkurz. Od tej chwili - trzeba wam czegoś, kupujecie za gotówkę. Żadnych kart kredytowych, czeków, kart bankowych, kart telefonicznych. Mówię to na wszelki wypadek, choć nie sądzę, byście byli tacy nieostrożni. Jeśli chodzi o waszą zapłatę, założyliśmy wam konta. Sprawdźcie u waszych agentów, jeśli mi nie wierzycie. Dostaliście dziesięć procent zaliczki. Zakładam, że to wszystkim odpowiada?

Spotkała ją martwa cisza.

- Znakomicie. Dostęp do kont otrzymacie po robocie.



Sam i Vincent obserwowali Deirdre. Wyglądało na to, że wie, co robi. Gdyby im popuściła, nie pozbierałaby się. Ale ona nie popuściła ani na milimetr.

Deirdre sięgnęła ponownie do torby. Wyjęła kolejnych pięć kopert, formatem większych i cięższych zarazem. Na każdej widniał numer, od jednego do pięciu.

- Ty - wskazała na siedzącego naprzeciwko Gregora. - Co robisz? Jak się mam zwracać do ciebie?

- Ostatnio nazywam się Gregor. Technika to mój konik. Elektronika, komputery, nadzór, komunikacja, podsłuch. Materiały wybuchowe, zdalnie sterowane lub odpalane bezpośrednio, według życzenia. Co nie znaczy, że boję się brudnej roboty. Wychowałem się z nożem w jednej ręce i pistoletem w drugiej. Sam nie wiem, w czym jestem lepszy.

Z wachlarza kopert trzymany w ręku Deirdre wybrała tę z numerem trzy i rzuciła Gregorowi.

- To są wasze instrukcje. Osobno dla każdego z was. Po przeczytaniu, zniszczyć. Im mniej będziecie wiedzieć o sobie nawzajem, tym lepiej dla was. To dotyczy wszystkich tu zgromadzonych.

Zwróciła się do Sama. Ich spojrzenia skrzyżowały się - jego czarne jak węgiel, jej błękitne do głębi. Coś przebiegło między nimi, coś, czego pozostali nie dostrzegali.

- Sam. Nazywam się Sam - wzruszył ramionami. - Cóż, ja pracuję. Pałac. Najemnik. Wykonuję zadania na życzenie.

Deirdre przejrzała koperty.

- Byłeś żołnierzem, prawda? Nie mylę się?

- Kiedyś.

Dała mu kopertę z cyfrą jeden.

- Jedyńka - zaśmiał się. - Jestem pod wrażeniem.

- Cieszę się, bo powinieneś być... Ja jestem. - Deirdre powiedziała j to szybko i bez zbędnej emfazy. Natychmiast przeniosła wzrok na Larry'ego.

- Prowadzę samochody, naprawiam je, jak się zepsują i jadę dalej. Chcesz jechać szybciej? Robię, co trzeba. Nikt mnie nie dogoni, nikt mnie nie wyśledzi.

- Jak się nazywasz?

- Larry... Ze Stanów.

Deirdre dała mu kopertę z czwórką. Spojrzała wyczekująco na Vincenta.

- Bon soir, mademoiselle, je suis...

- Nie wysilaj się. Nie znam francuskiego.

- Aaaa... Quelle dommage... Jestem Vincent. Koordynuję.

- Co koordynujesz? - Sam nie mógł się powstrzymać od zadania tego pytania.

Dostrzegał już rysującą się pewną hierarchię, w której on i Vincent znajdowali się na górze. Jednak koordynacja zazwyczaj należy do kierownictwa. Godził się grać drugie skrzypce wobec Deirdre, ale nie trzecie.

Powtórzył więc:

- Co koordynujesz?

- Parlez vous Francais, monsieur? Sam nie odpowiedział. Nie zrozumiał.

- Tak myślałem, monsieur Sam - zaśmiał się Vincent łagodnie. - Jestem tutejszy. Ktoś z was mówi po francusku?

Nikt mu nie odpowiedział.

- Alors, oto, co koordynuję. Wszystko. Koordynuję wszystko.

- Koordynuj do woli! - Deirdre dała mu kopertę numer dwa. - Bylebyś koordynował to, co ci każe. Nie lubię niespodzianek. Reaguję cokolwiek drastycznie, jeśli mnie zaskoczysz, pamiętaj o tym!

Jasne? - Ponieważ nie usłyszała potwierdzenia, powtórzyła: - Jasne, Vincent?

- Jasne.

Została jej w ręce jeszcze jedna koperta. Rzuciła ją Spence'owi, jedy-  
mu jeszcze bez przydziału.

- A ty?

- Nazywają mnie Spence. Dlaczego jestem tylko numer piąty?

- Nie czuj się urażony, Spence, numerki są wybrane losowo. Wiem, co robisz, ale powiedz panom, żeby i oni wiedzieli, w czym jesteś najlepszy.

- Ja?

- Tak, Spence. Ty.

- Zajmuję się bronią.

- Dobrze.

- I zabijam.

## Rozdział 5

Nie mógł narzekać na zakwaterowanie. Paryż, szerokie łóżko z czystą pościelą, czyste ręczniki, nowoczesnie wyposażona kwatera, pewna załoga. Widywał gorsze, szczególnie pracując dla Firmy.

Pamiętał Kambodżę, gdzie razem z Hunterem Blackiem przez bite osiem dni uciekali przed Czerwonymi Khmerami z tym księciem, co go porwali sprzed nosa Poi Pota. Tydzień żywienia się glistami, korzonkami i złapanymi szczurami, na koniec zabrakło nawet amunicji. A w osiemdziesiątym dziewiątym w Panamie? Mieli wyciągnąć Moose'a, zanim zrobi się smród wokół sprawy. Ludzie Noriegi zrobili sobie z niego strzelnicę!

To nie była miła noc. Potem Algieria, znowu z Hunterem. Półtora dnia ukrywali się w wielbłądzych odchodach. Mieli zlikwidować jakiegoś faceta, który nie pojawił się, bo nie żył już od tygodnia. Trzeba było wydostać się stamtąd, zanim ktokolwiek zaczął podejrzewać Amerykanów o udział w sprawie. Wreszcie Angola. Hunter zasiadł za sterami dwudziestoletniej maszyny i trzeba przyznać, że był to najszybszy kurs szkoleniowy w jego karierze.

Tak, jeśli chodzi o bazę, Paryż należało zaliczyć do lepszych.

Pieniądze też satysfakcjonujące. Trudno przepuścić taką okazję. Szybka operacja, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Dwa dni w Paryżu, zlokalizować Paczkę, zorganizować przejęcie i koniec.

Zainkasować forszę, a potem zniknąć. Raz, dwa, trzy.

Zanosilo się na krótki pobyt w Paryżu, mimo to Deirdre zadbała o swoją załogę. Zapewne z pomocą Vincenta wynajęła osiemnastowieczną kamienicę na lewym brzegu, na ulicy Rue de Gergovie, poblizu dworca kolejowego Montparnasse. Z tyłu trzypiętrowego budynku mieściła się niewielka hala magazynowa. Sam podejrzewał, że w czasie drugiej wojny światowej gmach przystosowano na podziemną siedzibę francuskiego Ruchu Oporu. Wielokrotne przebudowy dostosowały dom do odpierania długotrwałego oblężenia. Wejścia do sypialni ufortyfikowano stalowymi płytami, ciężkimi zamkami i łańcuchami. W sieni i w korytarzach celowo przebito wiele otworów drzwiowych, żeby uniemożliwić szybki atak przeciwnika. Wyjście na ulicę wzmocniono betonem, a drzwi frontowe wyposażono w dwumetrowe żelazne łapy przeciwwyważeniowe.

Udoskonalenia nie były widoczne z zewnątrz. Dach otaczała niska, niepozorna ściana, dopiero na tarasie okazywało się, że ma prawie metr grubości i wytrzymałaby każdy atak artyleryjski hitlerowców.

W dźwiękoszczelnej hali mieściła się strzelnica i druga kuchnia, całość ufortyfikowana, jakby to był skarbiec federalny. Liczne gniazda elektryczne zostały umieszczone wzdłuż ścian, kable w rurach biegły do różnych punktów. System telewizji przemysłowej, założony już po wojnie, dawał ogląd sytuacji na zewnątrz. "Kompleks zapewne wynajmowano najlepiej płacącym - marsylskim przemytnikom narkotyków - myślał Sam. - To oni mają dzisiaj największe pieniądze." Wszedł ze swego nowego lokum i odruchowo poszukał papierosów w kieszeni na piersi.

Chętnie by zapalił. Rzucił palenie pięć lat temu, po prostu przestał kupować to świństwo. W rezultacie ograniczył się do jednego, może dwóch papierosów na tydzień, rzadko trzech, a nigdy czterech, bo to by oznaczało, że znowu pali. Taka ewentualność nie wchodziła w rachubę.

Jego pokój mieścił się na ostatnim piętrze budynku, naprzeciwko pokoju Deirdre. Gregor i Spence mieszkali na dole, na prawo, natomiast Vincent i

Larry na drugim piętrze. Spędzili dzień na zaznajamianiu się z planem akcji, każdy ze swoim indywidualnym zadaniem, i uczeniu się go na pamięć. Do popołudnia przerobili całość tyle razy, że chłopcy zaczęli się burzyć. Larry i Spence grozili sobie nawzajem bolesną śmiercią, natomiast Gregor milczał zawzięcie, co w jego wypadku oznaczało niechybnie gotowość do wybuchu. Jedyne Sam i Vincent spokojnie przyjmowali konieczność powtarzania planu działania. Wreszcie Deirdre zarządziła przerwę i wysłała ich na odpoczynek. Sam postanowił wrócić do pokoju, by potrenować jeet kunę do. To go odprężyło i pomagało w koncentracji, nie mówiąc o tym, że było bardziej przydatne od pistoletu, gdy wymagano działania w absolutnej ciszy.

Sprawdził godzinę na zegarku i uznał, że minął już czas zbiórki. Zbiegł dwa piętra, po czym odnalazł korytarz prowadzący do hali. Larry opróżnił magazynek, strzelając do papierowej postaci- celu na strzelnicy. Zamiast swego Colta Pony używał automatycznego pistoletu kalibru 9 milimetrów z trzycalowym tłumikiem. Przy stole siedział Spence z czasopismem w rękę i kanapką. "Z pewnością nie jest to poezja" - pomyślał Sam. Brakowało Vincenta, natomiast Deirdre i Gregor przeglądali sprzęt zamówiony przez dawnego agenta KGB.

Sam znał się na elektronice wystarczająco, by wiedzieć, że sprzęt był najwyższej jakości.

Zabawek Gregora nie kupiłoby się w sklepie za rogiem. To były rzeczy na zamówienie i zapewne odpowiednio kosztowały. Specjalny telefon komórkowy, w połączeniu z właściwym oprogramowaniem, pozwalał łączyć się z każdym niemal satelitą krążącym wokół Ziemi. Informacje telefon automatycznie przekazywał w wybranym języku bez względu na język nadania, nie mówiąc o tym, że wydruk znajdował się jednocześnie na ekranie podręcznego komputera, do którego telefon był podłączony. Przy tym całość była w pełni mobilna i umożliwiała dokładne zlokalizowanie wybranego telefonu komórkowego, będącego w ruchu lub nie. Obserwując, z jaką miłością Gregor podchodził do swego nowego sprzętu, Sam pomyślał, że oto widzi szpiega w siódmym niebie. przeniósł uwagę na stół, zasłany wszelaką bronią, przy którym siedział Spence. To było jego królestwo: dwudziestodwucalowy obrzyn, dwa uzi, wyposażone w powiększone magazynki na amunicję wojskową, siedem półautomatycznych pistoletów CZ-75 kalibru 9 milimetrów z tłumikami - Larry testował taki na strzelnicy - dwa rewolwery Rossi 337 z kaburami do przymocowania na kostce, pakiet ośmiu pięciogwiazdkowych noży ninja do rzucania, długi sztylet, czternastocalowy nóż Bowie, pół tuzina granatów odłamkowych, trzy granaty willie-peter, jeszcze pół tuzina granatów szturmowych. Amunicji wystarczyłoby na zatopienie największego okrętu bojowego.

Sam był zawodowcem. Zasadniczo nie ufał nikomu, tym bardziej nowym partnerom. Przed przerwą przeglądał broń ze Spence'em, teraz jednak, po godzinnej nieobecności, uważał za stosowne sprawdzić, czy nic się nie zmieniło. Ciągłe sprawdzanie było nieco uciążliwe, ale często decydowało o przeżyciu. Przy okazji dowiadywał się, z kim ma do czynienia. Przejrzał kolejno egzemplarze broni, ładował i repetował. Robił to płynnie, dokładnie, z precyzją baletmistrza. Zajęło mu to zaledwie trzydzieści sekund. Wszystko było w porządku.

Widząc, że skończył, Spence zagadnął go znad kartek czasopisma.

- Zadowolony?

- Jak ostryga podczas przyływu - odparł leniwie.

Podszedł do strzelnicy.

Larry zdążył ustawić trzy nowe papierowe cele w odległości piętnastu metrów i wrócić na pozycję strzelniczą. Cele stanowiły sylwetki człowieka z bronią w prawej ręce. Larry załadował broń i stanął na strzelnicy. Opróżnił cały magazynek, wszystkie piętnaście naboji, w pierwszy cel. Kule zerwały środek figury, pozostawiając ogromną dziurę w miejscu, gdzie znajdowałby się brzuch ofiary. Larry odwrócił się do Sama z chępliwym uśmiechem, jakby chciał powiedzieć: "No i co?"

- Nieźle - pochwalił Sam zerkając na cel. - Strzelasz nie najgorzej, chociaż mogło być lepiej.

- Ważny efekt.

- Pewnie, ale walisz w brzuch. Ja bym nie był taki pewny swego. Ten twój facet mógłby jeszcze żyć, a wtedy kicha, prawda?

- Mając tyle kul w brzuchu? Żartujesz! Nie pożyje długo!

- Wystarczająco długo, żeby wystrzelić.

- Tak sądzisz?

- Znałem takie wypadki.

Larry zaśmiał się niepewnie. Do czego zmierzał Sam? Wreszcie podał mu broń.

- Masz, już ją rozgrzałem - powiedział. - Pokaż, co potrafisz.

Sam wziął od niego pistolet, wyjął pusty magazynek i podniósł ze stołu pełny. Chwilę ważył go w ręku.

- Ile naładowałeś naboji? - spytał.

- Piętnaście.

- Nigdy tego nie rób. Nie słuchaj Spence'a.

- Co...?

Sam wyjął jeden pocisk i postawił na stole.

- Czternaście. CZ-75 to przypuszczalnie najlepsza broń ręczna ogólnego użytku. Lepszej nie znajdziesz. Pamiętaj jednak, że jest delikatna. Czeski producent dostarcza ładunki na piętnaście pocisków i Spence tak ci go ka-

że łądować. W określonych warunkach klimatycznych piętnasty nabój nadmiernie spręża powietrze w sprężynie zacisku. Kula, wchodząca do komory, podchodzi pod kątem trzydziestu siedmiu stopni i blokuje broń.

- Gówno prawda.

- Mój drogi, nie licz na to, że w deszczowy dzień będę na miejscu, żeby podrzucić ci następną pukawkę.

Larry rzucił okiem na cel.

- Tu spisała się dobrze.

- Bo jesteś w klimatyzowanym pomieszczeniu. Skąd wiesz, gdzie będzie robota? Może w Normandii, a może na wybrzeżu śródziemnomorskim? Nawet przy ładnej pogodzie będzie większa wilgotność powietrza. Na Borneo widziałem, jak się taka cezetka zablokowała. Facet, który z niej strzelał, nie przyzna mi racji. Nie może. Zaufaj mi. Ładuj czternaście... Teraz...

Sam zarepetował i wycelował, ani przez chwilę nie spuszczał oczu z Larry'ego.

- Celność to kwestia widzenia peryferyjnego - rzekł.

Strzelił. Wydawało się, że w ogóle nie patrzył na cel. Kula przeszła czysto między oczami drugiej papierowej postaci.

- Ludzie myślą, że wystarczy skierować broń, spojrzeć wzdłuż lufy i pociągnąć za cyngiel. Trzeba do tego podchodzić bardziej trójwymiarowo.

Sam wystrzelił jeszcze trzy razy, wciąż patrząc na Larry'ego. Prawa ręka sylwetki, odcięta kulami, opadła na ziemię.

- Peryferyjne widzenie, Larry, pamiętaj. Wyobraź sobie, że widzisz wszystko z boku.

Strzelił jeszcze dwa razy, trafiając w miejsce serca i pachwiny. Resztą kul w magazynku przeciął trzecią sylwetkę równo na pół.

Larry gapił się jak zaczarowany na poszarpane sylwetki na strzelnicy. Wreszcie wydobył z siebie głos.

- Po mojemu też działa.

- Po mojemu działa lepiej. Czternaście, mój drogi - powtórzył Sam oddając mu broń - zawsze tylko czternaście.

Vincent pojawił się w hali podczas tego małego pokazu strzelania. Sam dostrzegł kątem oka, że wymienił kilka słów z Deirdre. Teraz podszedł do strzelnicy, trzymając w ręku listę zamówień Gregora.

- Mamy sprawy do załatwienia. Jedziemy - powiedział.

- Wszyscy trzej? - spytał Sam.

- Nie, ty i ja.

Larry tylko wzruszył ramionami.

- Dokąd? - spytał Sam.

- Odwiedzimy pewnego faceta. Omówimy sprawy.

- Okej, to coś dla mnie. - Wziął broń od Larry'ego. - Mogę pożyczyć? Larry wyjął nabój z gotowego ładunku.
- Czternaście, Sam, zawsze czternaście - rzekł podając mu go.

## Rozdział 6

Sam wsunął pistolet Larry'ego do odpinanej kabury pod lewym ramieniem i ruszył za Vincentem.

Wyszli z hali tylnymi drzwiami na drogę, która w niczym nie przypominała pełnej uroku paryskiej uliczki biegnącej przed kamienicą, obsadzonej drzewami, z kafejkami wychodzącymi na trotuar. Z tyłu domu panował beton, cegła, obdrapane tynki z liszajem agresywnych graffiti - niszcząca architektura, typowa dla lat pięćdziesiątych. W oddali błyszczały tory kolejowe dworca Montparnasse. Śmiecie wały się przy krawężnikach, wraki samochodów z powybijanymi oknami tonęły w nich po osie. Wszędzie porzucone pudełka po pizzy, opakowania z KFC, kondomy i zakrwawione strzykawki.

- Miła okolica - stwierdził Sam kopiąc na bok kawałek rury.
- Ma swoje dobre strony - odparł Vincent niewzruszenie. - Myślisz, że żandarmi patrolują ten rejon?
- Chwytam dowcip.
- Nasz jest ten brązowy fiat na rogu. Parkuję zawsze pod latarnią, dzięki temu na ogół rano mam jeszcze opony.

Przeszli na drugą stronę ulicy i ruszyli w kierunku fiata. Minęli wypalony wrak samochodu dostawczego, gdy drogę zagrodzili im czterej młodociani opryszkowie, odziani w dżinsy i czarne skóry.

- Przyjaciele, Vincent? - upewnił się Sam.
- Skądże - zaprzeczył Vincent.

Najwyższy z bandytów, wyższy od Sama o kilka centymetrów, wysunął się o krok do przodu.

Miał kucyk z ryżych włosów pokrytych brylantyną i uważał się za szefa bandy. Zagadał do Vincenta po francusku, ignorując Amerykanina. Jeden z pozostałych opryszków oderwał się od pozostałych, usiłując zająć Sama z boku.

- O co chodzi? - spytał Sam, chociaż nie trzeba było geniusza, żeby się domyślić.
- A jak myślisz? - odparł Vincent ostrożnie.
- Tego się właśnie spodziewałem - westchnął Sam.
- Koleś uważa, że powinniśmy mieć zgodę na parkowanie tu.
- Zgodę?
- Twierdzi, że jest opłata za parkowanie w ich rejonie.

- Ich rejonie? Co, myśli, że jest posiadaczem ziemskim?

- Oui, wydaje mi się, że trwa w tym mylnym wrażeniu.

Szef bandy perorował z zacięłym wyrazem twarzy. "Jest w nim coś z zabójcy - pomyślał Sam - nie darmo jest szefem."

- Rozumiem, że ci kłowni domagają się paru franków za parkowanie?

- Nie wiedziałem, że znasz francuski - zgrzytnął Vincent, speszony.

- Nie znam, ale ten język jest uniwersalny. Język dupków, kurs pi-  
erwszy.

To angielskie słowo szef gangu zrozumiał.

- Tak, tak, dupek... franki, dupku, francuskie frank - domagał się teraz od Sama łamaną angielszczyzną.

- Jak myślisz, Vincent, czy ci chłopcy zasługują na coś?

- Jeśli monsieur tak uważa... Chyba nie mamy wyboru.

Vincent uderzył błyskawicznie, na odlew, łamiąc nos przywódcy gangu. Rozległ się trzask podobny do łamanej gałęzi, na boku wypalonego samochodu pojawił się ślad świeżej krwi.

Stojący za nim chłopcy usiłowali podtrzymać kumpla, mimo to osunął się na chodnik, łapiąc rękoma za krwawiący nos. Najbardziej ucierpiała jego duma, bo natychmiast próbował wstać.

Czwarty z gangu zaatakował Sama z boku. W rękę trzymał nóż sprężynowy. Sam wyminął go, schwyciwszy za nadgarstek, szarpnięciem pozba-  
wił broni. Wykręcił mu rękę, uszkodzając staw łokciowy, po czym przew-  
rócił na chodnik.

Zamknął nóż i włożył do kieszeni.

- O rany, chłopie, przepraszam - odezwał się sarkastycznie. Wyciągnął rękę, jakby zamierzał pomóc leżącemu wstać. - Pomóc?

Przerażony opryszek zaczął uciekać. W tej chwili Sama zaatakował inny z bandy, skacząc mu na plecy.

- Rany Julek, ci faceci są dokuczliwi jak muchy.

Sam wywinął się, a cofając się, całą siłą przygwoździł napastnika do zardzewiałego boku samochodu. Sięgnął za plecy, złapał go za włosy i rzucił w ścianę naprzeciwko.

Szef gangu atakował Vincenta. Sam sięgnął do kabury po cezetkę.

- Spokojnie, dość już. Mamy inne sprawy. Może chłopaki pójdziecie do domciu, do mamusi, popatrzeć na telewizję?

Nie zrozumieli jego słów, ale pistolet w rękę Sama wystarczył za wszel-  
kie tłumaczenie.

Rozbiegli się na cztery strony. Vincent krzyknął za nimi po francusku.

- Co im powiedziałaś? - spytał Sam.

- Pytałem, czy chcą jeszcze czegoś.



## Rozdział 7

Otrzeprawwszy się, Sam i Vincent wsiedli do fiata. Samochód ginał w tłumie podobnych wozów wyjeżdżających codziennie na ulice Paryża. Vincent przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Interesujące chwytty... Judo? - przyjrzał się Samowi.

- Jujitsu - odpowiedział Sam, rekonstruując w pamięci, jakich chwytów użył. - Może jeszcze trochę chu fen do.

- Przecież to to samo.

- Wcale nie. Podobne, ale nie takie same.

- Jest różnica?

- Jedno jest o wiele bardziej bolesne od drugiego.

Vincent skwitował to śmiechem i wyjechał na Rue d'Alesia w kierunku północnym.

- Zakładam, że jako Amerykanin skoncentrowałeś się na tych bardziej bolesnych sztukach Wschodu?

- Jest czas i miejsce na wszystko. Moje talenty, jak je nazywasz, są rozmaite. Powiedziałbym, zróżnicowane. Weź pijaka, na przykład. Przeszkadza ci w barze, ale nie trzeba mu robić krzywdy, wystarczy unieszkodliwić. Ale jak ktoś naciera z nożem, wolałbyś go przekonać, że nie warto próbować po raz drugi.

Vincent zapalił ulubionego gauloise'a. Jechał teraz małymi uliczkami, zbliżając się do centrum starego miasta. Ulice stawały się coraz bardziej ludne, coraz więcej było na nich turystów i paryżan.

Na hodnikach kafejki rozkładały się z kolorowymi parasolami, drzwiach restauracji kłaniali się kelnerzy, zapraszając do środka, charakterystyczny zapach falafela zmieszał się z dymem papierosa. Sam nie wytrzymał.

- Mogę? - Wskazał na paczkę gauloise'ów leżącą na przedniej szybie fiata.

- Proszę bardzo.

Vincent pchnął paczkę w jego stronę. Bójka na ulicy za domem stworzyła więź między nimi, poczęstowanie się przez Sama jego papierosem przypieczętowało tylko tę nową wspólnotę.

- Palisz? Od kiedy? - uśmiechnął się z zadowoleniem.

Sam potarł łepkiem drewnianej zapałki o ściankę pudełka. Samochód wypełnił na krótko smród spalanej siarki. Poczował ulgę, swoiste odprężenie.

- Może jednego na tydzień - rozmarzył się, smakując papierosa.

- Jednego? Słownie, jednego? Co to za palenie?

- Dla mnie w sam raz.

- Francuz nie nazwałby tego paleniem. Uznałby to za obelgę dla jego dumy narodowej.

- Cóż, nie jestem Francuzem.

- To na pewno. Jezu, wypalam półtorej paczki dziennie, ale nie tego si-  
ana amerykańskiego - jakbyś palił materace. Przyjacielu, to są prawdziwe  
papierosy - oświadczył z dumą. - Półtorej paczki... powtarzam sobie, że  
mogło być gorzej - dodał już ciszej, jakby do siebie.

Sam nie odpowiedział. Zaciągnął się znowu. Vincent poszedł w jego  
ślady.

- Lubię to cholernie.

Sam wydmuchiwał okrągłe, foremne kóleczka z dymu.

- Owszem, coś w tym jest - zgodził się.

Zatrzymali się na czerwonym świetle. Sam wyrzucił niedopałek do ka-  
łuży przy krawężniku.

- Później rak i cześć pieśni - zawyrokował. - To feler.

- Oui... rzeczywiście.

Vincent westchnął i zdusił w popielniczce do połowy wypalonego papi-  
erosa, zirytowany, że Sam popsuł mu tę chwilę. Wrzucił pierwszy bieg i  
ruszył ze zgrzytem na Pont Neuf. Minęli katedrę Notre Dame z prawej,  
pod nimi zaślśniła Sekwana. Z Ile de la Cite przeprawili się na prawy brzeg.

- Powiesz mi, co to za zadanie? - spytał wreszcie Sam, któremu przeszkadzało niedoinformowanie. - Omówić coś z facetem to duży stopień ogólności.

- To Francuz. Nie zna obcych języków. Ma jakieś informacje na sprze-  
daż. Zajmę się moją działką w tej operacji. Deirdre wspominała, że im  
mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie. Mnie to też dotyczy. Wiem tyle, że fa-  
cet ma nam załatwić odbiór potrzebnego Gregorowi oprogramowania.

Wychodzi na to, że tylko armia francuska i NATO mają to, czego nam  
trzeba. To, co Gregor załatwił, we Francji nie działa tak, jak powinno, a  
Gregor ma kontakty tylko w Bloku Wschodnim.

- Odbieramy CD-ROM, o to chodzi?

- Dowiemy się, gdzie go zwędzić.

- Fajnie. Całkiem prosta sprawa. A ja do czego?

- Obstawa. Nie ufam temu facetowi, do którego jedziemy.

- Dobrze. Potrzeba ci goryla, trzeba było wziąć kogoś większego. Im  
większy, tym lepszy.

Vincent zapalił kolejnego papierosa.

- Takiego, jak Spence? - zapytał.

- Właśnie.

- Albo Larry. Nie musiałbym nawet prowadzić.

- Obojętne. Obaj są odpowiednio duzi.

- Powiedzmy, że w obu wypadkach możliwości konwersacyjne są raczej  
ograniczone. Mogłem wziąć Gregora, ale on się nie nadaje... Nie do tego.

- Skoro już mówimy o ludziach, nie ufałbym Gregorowi ani przez moment. Miej się na baczności - dobra rada od Wuja Sama. Idź zawsze za nim. To były agent, Stasi albo KGB. Nie wolno go nie doceniać. To bardzo, bardzo sprytny gość.

- A dziewczyna?

- Deirdre? Ma głowę na karku. Poza tym jest cholernie niebezpieczna, wierz mi. Ma taki wyraz oczu czasami. Poderżnęła by ci gardło bez zastanowienia.

Vincent roześmiał się.

- Dobrze, zwrócę uwagę przy okazji. Chwilowo nie odrywam wzroku od dupeczki. Ciekawe, czy naprawdę zerwała z IRA?

- Sam się zastanawiam. Może to akcent? Coś mi mówi, że gdyby nie pracowała dla IRA, nie miałyby tego akcentu.

- To nielogiczne.

- Nielogiczne, mówisz? Wiedziałem, że to głupie. Jak by nie patrzeć... Wciąż nie wiem, dlaczego mnie dzisiaj zabrałeś?

Vincent przyhamował i wjechał z impetem na krawężnik. Przechodnie rozpięzchli się, ale zachowali stoicki spokój, przyzwyczajeni do zwyczajów paryskich kierowców. Vincent zgasił silnik, wyrzucił niedopałek i popatrzył wprost na swego towarzysza.

- Zabrałem cię, bo lubię wiedzieć, z kim pracuję i czy mogę na niego liczyć.

- Liczyć?

- Słuchaj, ci faceci to zabójcy. Sam to powiedziałeś. Chciałbym dożyć chwili, w której te papierosy mnie zabiją. Przed chwilą powiedziałeś o sobie "Wuj Sam". To bardzo ciekawe...

- Wielkie mecyje. Tak się nazywam. - Żebyś wiedział, że wielkie. Zabrakło mi czasu, by was wszystkich sprawdzić. Wiem, że byłeś komandosem w Amerykańskich Siłach Specjalnych. Pomagałeś stworzyć Siły Delta. Według informacji dziewczyny, brałeś udział w kilku co bardziej, rzekłbym, tajnych operacjach CIA w Salwadorze, Kambodży, Laosie i Angoli. To tylko niektóre. Rzecz w tym, że byłeś najemnikiem.

Interesujące rozwiązanie. Wynajmować się własnemu rządowi.

Sam milczał. Czekał, żeby zobaczyć do czego zmierza Francuz.

- Zatem, Wuju Samie, teraz twierdzisz, że jesteś czysty. Najemnik, jak my wszyscy.

- Niezupełnie.

- Niezupełnie? Dlaczego to robisz?

- Dla pieniędzy. Jestem czysty od kilku lat, Vincent. Ostatni raz uczestniczyłem w czymś takim pięć lat temu. Teraz hoduję bydło w Montanie. Wiesz, emeryturka, te rzeczy. Korzystam z życia.

Nowe nazwisko, nowa twarz. Ukrywam się. Nikt nie wie, gdzie jestem. A tu nagle coś takiego.

Machają mi przed nosem kasą... Trudno się oprzeć. Mam pozwolić, by mi taka forsa przeszła koło nosa? Ktoś płaci jak Cygan za mamę za tę robotę. A mnie się to podoba.

Akurat ten tok rozumowania był Vincentowi bliski. On też uległ facetowi na wózku. Podjął się zadania dla pieniędzy.

- Ach, Sam - westchnął - to, co mamy zwinąć, musi być cholernie ważne. Ktoś płaci istny majątek.

- Płaci najlepszym.

- To coś musi być... - Vincent sięgnął po kolejnego papierosa, a Sam dokończył za niego:

- Bezcenne.

## Rozdział 8

Jechali w milczeniu, zajęci własnymi myślami. Vincent zastanawiał się, co i skąd mają ukraść, Sam - dokąd jada. W końcu Vincent skręcił w szeroką Avenue Jeanjaures i przyspieszył. Po przejechaniu około półtora kilometra, skręcił w Boulevard d'Indochine i zatrzymał się naprzeciwko niewielkiego parku mieszczącego się pod wiaduktem wielkiej paryskiej obwodnicy zwanej Peripherique. Mimo szumu przejeżdżających górą samochodów, ogród sprawiał wrażenie niezwykłej oazy z kolorowymi kaskadami kwiatów spływających wśród nieskazitelnie utrzymanej zieleni.

- Spotkanie jest w parku - wyjaśnił Vincent gasząc silnik. - Idziemy.

Wysiedli i przeszli na drugą stronę, do ogrodu.

- Całkiem sympatyczne miejsce, prawda?

Sam rozejrzał się uważnie. W zasięgu wzroku nie zauważył nikogo.

- Jezu - stwierdził po chwili. - W Nowym Jorku musiałbyś postawić strażnika, żeby czegoś takiego pilnował dwadzieścia cztery godziny na dobę, a i tak sukinsyny znalazłyby sposób, by to zniszczyć.

Vincent prowadził wąską, wysypaną żwirem dróżką, najpierw w prawo, potem w lewo, znowu w lewo i na niewielki plac z pięcioma ławkami. Pośrodku była fontanna, nieopodal stały trzy kamienne stoły-szachownice. Na środkowej ławce siedział rozczochrany, zarośnięty mężczyzna może trzydziestoparoletni, w brudnym, podartym ubraniu. "Bezdomny" - pomyślał Sam, ale zanim zdążyli podejść, zatrzymał ich głośnym wołaniem po francusku.

- Stój, Vincent. Ani kroku dalej.

Sam szedł dalej, udając, że nie rozumie, ale Vincent powstrzymał go ostrzegawczym położeniem dłoni na ramieniu.

- Francois? - zawołał do włóczęgi, natomiast Amerykaninowi wyjaśnił:
- To nasz łącznik. Mamy się zatrzymać.
- Masz to, po co przyszedliśmy? - ciągnął Vincent po francusku.
- Czekaj, czekaj, nie tak szybko. A to kto? - Francois wyraźnie im nie

ufał.

- Przyjaciel. - Źle dobierasz przyjaciół.
- O co ci chodzi, Francois?

Włóczęga wskazał Sama palcem i zaczął krzyczeć po francusku.

- Vincent, uważaj, przecież to glina, tajniak - wrzeszczał sepleniac i śliniac się. - Już go widywałem. Strzelaj, Vincent, zabij go. Niczego ci nie dam, póki on żyje.

- Co tu się dzieje u licha? - Sam strącił powstrzymującą go rękę Francuza i ruszył w kierunku zacierzewanego Francois. - O co chodzi temu brudasowi?

- Chciałem się przekonać o czymś - powiedział Vincent spokojnie, czym nie uśmierzył wcale wściekłości Amerykanina.

- Przekonać się? O czym, u licha ciężkiego?

Vincent nie unikał wzroku Sama, ale nie odpowiadał. Zamiast niego odezwał się obdartus, mówiąc po angielsku z ciężkim francuskim akcentem.

- Chciał zobaczyć, co zrobisz, gdy zdemaskuję cię jako glinę.

- Zdemaskujesz mnie jako glinę!?! - Sam naprawdę nie posiadał się ze złości.

- Kazał mi tak powiedzieć.

- Kazał? Czekaj no, bratku, przecież mówisz, cholera, po angielsku!

Sam uświadomił sobie dopiero teraz, w jakim języku mówił włóczęga.

- Vincent! Przecież mówiłeś, że on nie zna angielskiego.

- Pomyliłem się.

- Kazałeś mu mówić, że jestem gliną?!

- Chciałem mieć pewność.

- Bardzo jesteś ostrożny!!! Uważaj, z kim zadzierasz!

- Vincent, późno już - wtrącił włóczęga po francusku. Vincent zignorował Sama i podszedł do Francois.

- Czas załatwić nasze interesy - powiedział.

- Jesteś przygotowany?

Mówiąc, obdartus ani na moment nie spuszczał z nich czujnego oka. Vincent poklepał się po kieszeni na piersi, gdzie uprzednio wcisnął wypchaną kopertę.

- Mam tyle, ile chciałeś. Chciałbym zweryfikować dane, zanim dostaniesz forszę.

- Jest pewien szkopuł - Francois otworzył usta w bezzębnym uśmiechu.

- Tak?

- Widzisz te rododendrony tam? - spytał Francois, wskazując głową lekko w lewo. - Alain siedzi tam z karabinem i trzyma cię na celowniku. Jeszcze słowo po angielsku, a przestrzeli ci gardło. Wierz mi, ma niesamowitego cęla. Jasne?

- Oui.

- Otóż, mam informacje, których potrzebujesz, ale one są za gorące. Życie moje złamanego grosza niewarte, jeśli powiem, co wiem. Za wysoka cena jak dla mnie.

- Dalej chcesz zarobić? - zareplikował Vincent bez namysłu.

- Jasne - padła ostrożna odpowiedź.

Pracując dla Firmy, Sam nieraz uczestniczył w wymianie "towaru za pieniądze". Z doświadczenia wiedział, że tym razem zabawa trwa za długo. Wymiana powinna być szybka, najlepiej bez świadków.

Zwlekkanie Vincenta mogło znaczyć tylko jedno - pułapka! Francois nie sprawiał wrażenia szczególnie twardego orzecha do zgryzienia, niemniej nie podobało się Samowi, że włóczęga jest tak pewny siebie. "Nie jest sam" - zgadywał Amerykanin. Kątem oka zauważył, że Vincent wyjmując kopertę lewą ręką i podaje trampowi, wolną ręką sięgając po broń. Tego nie trzeba było Samowi tłumaczyć.

Wyrwał broń z kabury. Pomyślał, że Vincent, mając czyste pole, zdejmie obstawę Francois'a.

Strzelił więc do trampa, trafiając go w ramię. Mężczyzna osunął się na ziemię. Vincent przypadł do ziemi i złożył się do strzału, mierząc w potężny rododendron, który rósł za ławką. Na jego pięć szybkich serii odpowiedziały trzy strzały oddane na ślepo, prawdopodobnie z broni myśliwskiej dużego kalibru, po czym nastąpiła cisza. Najpierw strzelba, a potem jej martwy właściciel runęli z rozłożystych gałęzi.

Mimo rany Francois trzymał w ręku waltera kaliber 22 i mierzył z niego do Vincenta. Nie zdążył odbezpieczyć pistoletu. Trafiły go kolejne kule z broni Sama, ostatnia przebiła mu nadgarstek. Automatyczny walter wyleciał mu z dłoni i poleciał w bok po żwirze.

Vincent przypadł do leżącego i złapał go za koszulę na piersi, grożąc pistoletem.

- Ty gnido, gdzie masz informacje? - syknął. Z trudem Francois wskazał na swoją głowę.

- Tutaj... - uśmiechnął się pogardliwie.

Vincent przygniótł kolaniem krwawiącą klatkę piersiową.

- Przemyśl to, Francois! Umrzesz na pewno, ale chyba nie chcesz umierać w takich męczarniach!

Szeptał mu coś na ucho, ranny coś odpowiedział, po czym Vincent bez żenady przystawił mu pistolet pod brodę i strzelił. Kula rozerwała tył czaszki. Vincent porzucił martwe ciało i odnalazł kopertę z pieniędzmi. Sam masował lewe ucho.

- Znajdź sobie tłumik na to bydlę. Mam uszy wrażliwe na hałas!

Vincent schował kopertę do kieszeni. Lekko uklonił się w kierunku Sama.

- Oui, monsieur - rzekł na zgodę.

- Dobrze. Biorąc pod uwagę, że postawiliśmy na nogi całą okolicę, uważałbym za stosowne spływać stąd.

Vincent uważał podobnie i obaj ruszyli pędem do samochodu. Minutę później grzali już setką po Avenue Jean Jaures w kierunku centrum Paryża.

Scenę obserwował Seamus Reilly. Po pospiesznym odejściu Sama Vincenta Seamus wkradł się na placyk boczną dróżką i upewnił, że obaj Francuzi nie żyją. Opuścił park tak samo niepostrzeżenie, jak przyszedł.

W samochodzie Sam pierwszy przerwał milczenie.

- Wiesz, że to, co zrobiłeś, było a-b-s-o-l-u-t-n-i-e poniżej pasa?

- Musiałem się przekonać, że nie jesteś gliną. Za długo tu mieszkam. Policja paryska zna mnie aż za dobrze. Dawniej znaliśmy się wszyscy po imieniu, co nie znaczy, że lubili mnie bardziej. Wiedzieli, co robię, ale nigdy nie mieli dowodów. Teraz policjant francuski może być z Niemiec, Stanów, Japonii, Irlandii... wybieraj, do wyboru, do koloru. Prawdziwy tygiel narodowy, jak w Ameryce. To nie ten sam Paryż, co dawniej. Kiedy wchodzi policja... no, ostatnio działają przez podstawionych ludzi, facetów, którzy wydają się bardziej godni zaufania od pozostałych, takich - wybacz: jak ty! A na nich trzeba uważać najbardziej. Nie znoszę glin.

- Nie jestem gliną - powtórzył Sam dobitnie.

Zapadło milczenie. Przerwał je Vincent, ale dopiero dobre kilkanaście przecznic dalej.

- Skąd wiedziałeś?

- O czym? - Że w tym rododendronie siedzi facet ze strzelbą?

- To był rododendron? Myślałem, że to ostrokrzew.

- Nie udawaj. Rododendron.

- Zauważyłem kiwnięcie głowy tego włóczęgi. Nie przypuszczałem, że chodzi mu o jakiś szczególnie cenny okaz rośliny. W końcu to tylko rododendron. Resztę wiesz.

- Ale skąd wiedziałeś, że wyciągnę broń akurat wtedy?

- Hej, chłopie, sam bym tak zrobił.

## Rozdział 9

Do domu na Rue de Gergovie dotarli dwadzieścia minut później. Tym razem Vincent zaparkował przed domem, wybierając miejsce pod latarnią. Stawka była za wysoka, żeby ryzykować zemstę ze strony pobitych opryszków.

- Sam, poczekaj.

Vincent zatrzymał Sama, zanim ten wysiadł z wozu.

- Co jest?

- Tam, w parku, wiesz... zawdzięczam ci życie. Zdaję sobie z tego sprawę i chciałbym, żebyś wiedział...

- Drobiazg, chłopie.

Vincent sięgnął do marynarki i wyjął napchaną kopertę z pieniędzmi przeznaczonymi dla Francois. Podał ją Samowi.

- To nic wobec tego, co ci zawdzięczam... - zaczął.

Gestem ręki Sam uciszył Francuza. Otworzył kopertę i przeliczył pieniądze.

- Jezu - jęknął i, wyjąwszy banknoty, podzielił je na dwie kupki. Jedną z nich podał Vincentowi. - Zrobiłem, co miałem zrobić. W końcu pracujemy razem. Potrzebujemy się nawzajem, nie dorabiaj więc ideologii tam, gdzie jej nie ma. To jest czysty biznes - wetknął pieniądze w rękę Francuza. - Bierz.

W końcu to interes. Siedzimy w tym razem, dzielimy się pół na pół. Ubezpieczamy się nawzajem, ja ciebie, ty mnie!

Chwycił za klamkę od drzwi, żeby wysiąść, ale Vincent jeszcze nie skończył.

- Sam?

- Jezu, Vincent, co znowu?

- Mam wobec ciebie ogromny dług.

- Co z tobą? Zamieniasz się w Hindusa?

- Zawdzięczam ci życie.

- Dobrze. Jak sobie życzysz.

Wysiedli z fiata i podeszli do domu. Zanim zdążyli zadzwonić, drzwi otworzyła im Deirdre.

- No i co? - zapytała bez ogródek.

Vincent spojrzał ostrzegawczo na Sama, dając mu do zrozumienia, że sam załatwi sprawę.

- Może wejdziemy - zmitygował ją.

Deirdre cofnęła się i wpuściła ich do pokoju, w którym kiedyś przyjmowano dostojnych gości.



Teraz przypominał bardziej melinę z taniego filmu sensacyjnego z lat czterdziestych. Znaleźli sobie każdy po aluminiowym krześle z brzydką tapicerką i usiedli wokół małego składanego stolika.

Vincent zaciągnął się gauloise'em. Wypuścił nosem gęsty kłęb dymu.

- Mów - zażądała Deirdre, trochę zbyt nachalnie jak na Vincenta. Z jakiegoś powodu unikała wzroku Sama.

Vincent wydmuchał strumień dymu w jej stronę.

- Mam niejasne wrażenie, że otrzymałaś już część informacji, których szukasz.

- Gdyby tak było, nie traciłabym czasu i ludzi wysyłając was po nie. Prawda?! - rzuciła cierpko.

Na ustach Francuza pojawił się lekki uśmiezek.

- Cóż, bawimy się dalej... - popatrzył na Sama. - Nie mamy informacji.

- Jak to?! Niemożliwe!

- Możliwe - wtrącił Sam - bo to było najzwyczajniejsze w świecie wystawienie nas! Francois nie miał żadnych informacji, albo inaczej - nie miał ochoty dzielić się z nami informacją, gdzie zrealizować zamówienia Gregora. Chciał tylko pieniędzy. To była pułapka. Informacje, których szukasz, są w jego mikrym mózdzku i możesz je stamtąd najwyżej wyłyżeczować!

- Co!?

- Facet nie żyje. To samo ten pajac z karabinem, który siedział w krzakach. Musieliśmy ich sprzątnąć.

Wiadomość wstrząsnęła Deirdre, ale nie tak, jak by się można było spodziewać. Odegrała gniew, jak dobra aktorka, podnosząc głos na tyle, aby było ją słychać w kuchni po drugiej stronie sieni.

- To nie do przyjęcia. Słyszycie? To zagraża operacji. I wy nazywacie się zawodowcami?!

Vincent wstał. Ze znaczącym uśmiechem spojrział na Sama, na Deirdre i znów na Amerykanina.

- Wybaczcie, to był długi dzień, jestem zmęczony. Chyba pójdę spać - położył rękę na ramieniu Sama. - Myślę, że trafiła kosa na kamień. Dobranoc. Zobaczymy się rano.

Wyszedł. Sam i Deirdre zostali sami. Spojrzenie jej błękitnych oczu dalekie było od obojętności profesjonalisty.

- Co z pieniędzmi? - spytała rzeczowym tonem. Wzruszył ramionami.

- Podzieliliśmy się pół na pół.

- Nie uważasz, że to niewłaściwe?

- Nie. To taki dodatek za ryzyko.

- Mielicie spotkać się z facetem i wydobyć od niego informacje. Zamiast tego wytoczyliście wojnę.

- Nam wytoczono.

- Proszę?

- Mówię, że to nam wytoczono wojnę. To różnica. My niczego nie zaczęliśmy. Wcale nie byliśmy zachwyceni, jak już okazało się, co jest grane.

- Bidulki, jak wam współczuję - Deirdre pozwoliła sobie na uśmieszek ironii, wiedząc, że są sami.

- Spodziewałem się, że to powiesz. Cytując Vincenta, trafiła kosa na kamień. Rozumiem, że jesteś już w posiadaniu części tych informacji, których potrzebujesz?

Komentarz ten zmiotł uśmiech z jej twarzy. Patrzyła na niego badawczo.

- Odpieprz się - wybuchnęła w końcu i wybiegła z pokoju. Szybkim krokiem przemierzyła przedpokój i kuchnię, mijając po drodze Larry'ego, Spence'a i Gregora.

- No i co? - zagadnął ją Larry, uśmiechając się od ucha do ucha.

- No i co? Powiem ci: "no i co" do cholery! Jeśli nie zdobędziemy potrzebnych Gregorowi informacji, to koniec zabawy. Nie ma Paczki, nie ma pieniędzy dla nas, ot co!!!

Wbiegła po schodach na piętro. Za chwilę usłyszeli trzask drzwi do jej sypialni. Larry spojrzał znacząco.

- Uwaga, kontakt grozi śmiercią lub kalectwem - stwierdził filozoficznie.

Zauważył Sama, który podążył za Deirdre do kuchni.

- Coś ty jej zrobił?

- Nic takiego. Przynajmniej dotychczas, ale miała interesującą propozycję.

## Rozdział 10

Po kolacji złożonej z bochenka chleba francuskiego i sporego kawałka sera brie, około jedenastej trzydzieści, Sam udał się do swego pokoju. Wszedł nie zapalając światła, uchylił nieznacznie h ronkową firankę i spojrzał w dół na ulicę. Zielony peugeot, którego zauważył, gdy wrócili z Vincentem z niebezpiecznej eskapady, stał w tym samym miejscu w cieniu wielkiego wiązu. Za kierownicą si dzał jasnowłosa mężczyzna bawiący się nożem. Sam domyślał się kto to jest, ale uznał, że na konfrontację jeszcze czas. Jego dewizą było czekać, aż druga strona weźmie inicjatywę w swoje ręce.

Zasunął firankę i zapalił światło. Poodsuwał meble pod ściany, zostawiając na środku miejsce do ćwiczenia. Zrzucił ubranie i powoli, płynnie, rozpoczął rozgrzewkę - dziesięciominutowe ćwiczenia do tai chi. Roz-

luźniony, przeszedł do taekwondo. Urozmaicił ćwi czenia serią precyzyjnych, niebywale szybkich kopnięć i uderzeń. Prawa noga szła w górę na długo zanim lewa opadła na dywan Skoncentrował się na prawie półmetrowej wysokości poręczy łóżka, wyobrażając sobie nad nią głowę ludzką, w którą celował. Prawa noga, lewa, lewa, jeszcze raz prawa, na zmianę, jak na przyspieszonym filmie. To wszystko w całkowitej ciszy, cały czas kontrolując oddech.

Wykonał już osiem lub dziewięć wykopów, gdy usłyszał stukanie do drzwi. Zatrzymał się z lewą nogą wysoko w powietrzu, rejestrując szcęk klucza przekręcanego w zamku. W otwartych drzwiach zobaczył Deirdre. Miała na sobie coś, co przypominało męską piżamę, ale Sam rozpoznał to jako strój do hapkido.

- Co to? Drugie Wejście smoka? - zagadnęła złośliwie, widząc uniesioną nogę. - Może nauczyłyś mnie czegoś?

- Nie sądziłem, że cię jeszcze dziś zobaczę. Skąd masz klucz?

- Mam wszystkie klucze, w końcu płacę tu czynsz.

- Czy to wyróżnienie, że skorzystałaś właśnie z mojego klucza?

- Zobaczymy... Trafiła kosa na kamień. - Deirdre zamknęła drzwi za sobą i zasunęła zasuwkę. - Oczekuję wyjaśnienia - stwierdziła stanowczo.

- To nie ja, to Vincent powiedział.

- Powtórzyłeś za nim.

- Zgoda. Wpuścił mnie dziś w maliny. Odbiło mu, podejrzewał mnie, że jestem policjantem i znam francuski. Udowodniłem mu, że myli się w obu wypadkach. W każdym razie, jak już było po wszystkim, domyśliłem się bez trudu, że za tym stoisz ty. Prawda, że mówię po francusku, ale nie jestem policjantem. Vincent zorientował się. Rozumiem, że zdaliśmy egzamin.

- Dobrze rozumiesz. Jednak Francois naprawdę twierdził, że ma dostęp do wskazanego przez Gregora CD-ROM-u. Może kłamał, a może nie. Nie dowiemy się już. Musiałam przygotować alternatywny plan.

Sam uśmiechnął się.

- Dobrze, że miałaś taką możliwość. Wyglądałaś na nieco wkurzoną.

- Wciąż jestem.

- Czyżby? Wyglądasz raczej na śpiącą.

- Sam... - rzekła ostrzegawczo, czując, że drwi z niej. - Zobaczymy, co potrafisz!

Zaatakowała bez ostrzeżenia bombardując go serią ciosów hap. Sam widział ten styl walki, ale tylko raz, podczas operacji daleko na tyłach w Korei Północnej. Koreańczycy to śmiertelnie niebezpieczni wojownicy, mistrzowie cichej śmierci. Deirdre miała doskonałych nauczycieli. Panowała nad ruchami i atakowała z zadziwiającą siłą. Sam cofał się przed nią,

zwinnie odbijając ciosy, ani na chwilę nie spuszczał oczu z jej oczu. Przypominali parę splecioną w niezwykle sugestywnym seksualnie tańcu. Zapędziwszy go pod ścianę, dziewczyna dostrzegła szansę i wymierzyła błyskawiczny cios w klatkę piersiową. Nie przewidziała, że Sam chwyci ją za rękę i, wykorzystując impet ciosu, okręci dookoła, jednocześnie przyciągając do siebie i przytrzymując w pasie. Oparła się ciężko o niego.

- Koleś, nie baw się ze mną w judo. Nie jestem pijakiem w barze - wycedziła przez zęby zduszonym głosem. - Dam sobie radę ze wszystkim, co masz w zanadru. Łokciami uderzyła go w żebra, wystarczająco silnie, aby uwolnić się z uścisku. Sam nie miał wątpliwości, że gdyby tylko chciała, pogruchotałaby mu kości. Zrobiła kilka kroków i znalazła się na środku pokoju, gotowa do dalszej walki. Sam stanął naprzeciwko, złączył dłonie w pozdrowieniu i uklonił się. Wyprostowawszy się, przyjął klasyczną pozycję do chu fen do.

- Kumite? - zapytał z uśmiechem.

- Kumite.

- Do śmierci? Jesteś pewna?

- Coś mi mówi, że nie zajdziesz tak daleko. Zresztą, inaczej nie chcę.

Deirdre zmrużyła oczy. To już nie była zabawa. Powoli okrążała przeciwnika, nie spuszczał go z oka. Nie miała zamiaru przegrać tego pojedynku. Zaatakowała, ale Sam nie uległ szybkiej serii jej ciosów.

- Przeszkadza ci ego - zaczął konwersacyjnie. - Pozbądź się ego, to połowa sukcesu. Yin i yang, jeśli wolisz. Akcja determinuje reakcję.

Natarł, ale odparowała jego ciosy z doskonałą precyzją.

- Ale ty to wiesz, prawda?

Deirdre wyrzuciła nogę w lewo i z zamachem skierowała ją w kierunku prawego boku Sama.

Po raz pierwszy oderwał oczy od jej oczu. Uznała to za chwilową dekoncentrację i zadała ostateczny cios. Stojąc lewą nogą pewnie na dywanie, prawą wyrzuciła w górę, mierząc w jego szczękę.

To była pułapka. Lewym nadgarstkiem odbił jej nogę, rozpraszając siłę uderzenia. Prawą nogą podciął ją. Padając, zahaczyła jeszcze prawą kostką o jego lewą nogę i pociągnęła go za sobą. Padli oboje na środek dywanu, w pozycji co najmniej dwuznacznej, spoceni i zdyszani.

Sam uśmiechał się do niej z góry.

- Dobra jesteś. Bardzo dobra. Na ogół kontroluję oddech.

Podniosła biodra gwałtownie. Poczul, jak prowokacyjnie przyciska ciało do jego przyrodzenia.

Nie mógł oderwać wzroku od jej oczu.

- Straciłeś kontrolę nie tylko nad oddechem - wyszeptała lubieżnie. - Jestem dobra, jeszcze się o tym przekonasz.

Pocałowała go - namiętnie, przeciągle. To Sam przerwał pocałunek.

- Coś mi mówi, że to tylko dodatek - premia, jeśli wolisz. Ale wiedząc, kim jesteś... no, wiesz, twoje kontakty z IRA, mam nieodparte wrażenie, że podwójna gra to twoja druga natura.

- Nie mówię nie.

- Toteż gdy myślę o tym wszystkim, zastanawiam się, jakie skryte pobudki kazały ci przyjść tu dzisiaj?

- Mogę o nich chwilowo zapomnieć.

- A gdybym ja nie mógł?

- Zaczнешz żyć niebezpiecznie, kolego.

Przytuliła się mocniej i agresywnie pocałowała w usta.

Tonął w jej oczach całą wieczność. Wreszcie znalazł w sobie słowa.

- Mam nadzieję, że nikt inny nie ma klucza do tego pokoju. Cholernie nie lubię, gdy mi ktoś przeszkadza spać.

## Rozdział 11

Podczas gdy Sam i Deirdre poznawali się lepiej w sferze intymnej, Spence i Gregor zażywali nocnego powietrza na dachu kamienicy. Była pełnia, ale zasnuwane niebo nad Paryżem nie pozwalało dostrzec gwiazd. Zresztą mężczyźni nie zwracali uwagi na piękno nocy ani na romantycznie oświetloną wieżę Eiffla w oddali. Wyszli na dach, bo chcieli porozmawiać na osobności, bez świadków.

Gregor zapalił cienkie kubańskie cygaro i usiadł na niskim parapecie. Przed nim rozciągał się widok na Paryż nocą. Dym z cygara kłębił się leniwie.

- Zdaje się, że zabicie Amerykanina sprawi mi największą przyjemność - powiedział.

- Którego? - zapytał Spence z kamienną twarzą.

- Myślałem raczej o Samie... Nie śmiałybym odbierać ci satysfakcji zabicia Larry'ego.

- Zrozum mnie dobrze, Gregor... Nie znajduję satysfakcji w zabijaniu.

- Nie gadaj. Takiś wrażliwy?

Spence omal się nie roześmiał.

- Nie to miałem na myśli. Zabijanie nic mi nie robi. Zero reakcji. Trudno więc mówić o satysfakcji.

- Mówisz, że to tylko środek do celu?

- Właśnie.

Gregor strzepnął cygaro. Patrzył, jak popiół spada na chodnik na dole.

- Czy musimy to przerabiać jeszcze raz?

- Nie sądzę. Dopracujemy szczegóły, jak już będzie wiadomo, gdzie jest Paczka. Ile czasu potrzebujesz?

- Nie mogę komunikować się z satelitą natowskim bez odpowiedniego oprogramowania. Deirdre twierdzi, że ma alternatywny plan i dostanę CD-ROM do jutra. Wtedy... myślę, że będziemy gotowi.

- Jeszcze coś...

- Co?

Niespodziewanie Spence chwycił Gregora za szyję od tyłu, jednocześnie wykręcając mu rękę za plecami i zwalając na ziemię. Cygaro wypadło Gregorowi z ust. Zaciskając chwyt na szyi, Spence przyłożył mu do skroni swego glocka 19/19.

- Co ty?... - wysapał Gregor. - O co ci chodzi?

- Uważaj, Gregor, mnie nie oszukasz.

Mocniej przycisnął pistolet do skroni leżącego.

- Spence, ja nie...

- Nie ufam ci, koleś.

Gregor łapał oddech z trudem.

- Spence, chłopie, potrzebuję ciebie. Sam tego nie zrobię. Musimy działać we dwóch. Nie mogę bez ciebie.

Spence jeszcze przez chwilę przyduszał go kolanem do podłoża. Wreszcie podniósł się i zatknął pistolet za pasek. Gregor pozbierał się z ziemi, pocierając szyję, żeby przywrócić krążenie.

- Pamiętaj, z kim masz do czynienia - powiedział zimno Spence. Wykręcił się na pięcie i znikł w drzwiach prowadzących z dachu do budynku.

Gregor podszedł do parapetu wciąż masując szyję. Daleko w dole, na chodniku, dostrzegł jasny punkcik dogasającego cygara.

- Co za kmiotek - mruknął do siebie. - To było cygaro za pięćdziesiąt franków.

## Rozdział 12

Niedługo przed świtem Deirdre uznała, że czas wymknąć się z pokoju. Na wschodzie dopiero zaczęło się rozjaśniać. Sam wydawał się spać, wyczerpany nocnymi ćwiczeniami. Zsunęła nogi z łóżka i usiadła na brzegu, długimi palcami odgarnęła ciemne włosy. Przeciągnęła dłońmi po wciąż napiętych piersiach. Westchnęła cicho i byłaby wstała, gdyby nie ciepła od snu ręka mężczyzny wyciągnięta ku niej. Poczula go za sobą. Jego usta musnęły jej ucho.

- Jak to? Bez pożegnania? - wyszeptał.

- Myślałam, że śpisz.

Pocałował nagie ramię dziewczyny, ona zaś wyprężyła się, odchylając głowę na bok. Sięgnął dłońmi i otoczył jej piersi, całując wyprężoną szyję. Deirdre jęknęła zmysłowo, ale po chwili wyprostowała się i odsunęła go delikatnie.

- Nie mamy na to czasu.

- Tego się obawiałem.

- Sorry.

- Zadanie, co?

- Sam, nie zrozum mnie źle... To, co było dziś... między nami... już się nie powtórzy. Nie może.

- Chryste, mam nadzieję... omal nie straciłem głowy!

- Dobrze wiesz, że nie mówię o hapkido!

- Cholera, chyba nie mówisz o tym, co było później!?

Uśmiechnęła się.

- Właśnie.

- Deirdre, nie oczekuję od ciebie żadnych wyjaśnień. Naprawdę.

- Wiem. O to mi chodzi właśnie... że nie muszę niczego ci tłumaczyć.

Tylko, że to pierwszy raz...

Znaczy się, wczoraj... pierwszy raz... - brakowało jej słów, których uparcie szukała na suficie.

- Daj spokój - powiedział Sam uspokajająco. - Już ci mówiłem. Nie oczekuję żadnych wyjaśnień.

Zaśmiała się bezgłośnie.

- Aja właśnie chcę ci powiedzieć. Chcę, żebyś mnie poznał lepiej. Sama tego nie rozumiem... - odetchnęła głęboko i zaczęła jeszcze raz, powoli. - Kiedy byłam w IRA... byłam "patriotką". Jezu, już prawie zapomniałam... W każdym razie, byłam Dziewczyną. Było przyjęte, że prześpię się z każdym dla Sprawy. Wiesz... Jeśli trzeba było kogoś wystawić. Zależało, rzecz jasna, od sytuacji. Czasami chodziło o szantaż. Wiesz, zdjęcia, potem informacje. Zdziwiłbyś się, jacy pokręcani są niektórzy ci Brytyjczycy.

- Jak wszędzie na świecie.

- Czasami chodziło o to, żeby wystawić faceta na śmierć... Kilku zabiłam sama.

- Funkcja "Patriotki".

- Z pewnością... Ale IRA to nie oświecona organizacja feministyczna, o nie. Dla większości facetów, z którymi pracowałam, byłam po prostu Dziewczyną. Te gnoje tak się do mnie zwracały:

"Niech Dziewczyna idzie to zrobić". Wskazując kciukiem przez ramię, jakbym była meblem lub w ogóle mnie tam nie było. "Powiedzcie Dzi-

ewczyńnię, żeby zajęła się tym". Wiesz, jak to jest. "Niech Dziewczyna prześpi się z nim. Niech facet umiera z uśmiechem na ustach".

Sam ujął jej rękę w swe dłonie i chciał coś powiedzieć.

- Nie - ubiegła go. - Nic nie mów. Całą noc czułam, że jesteś przy mnie. Czułam coś między nami nawet we śnie. Teraz patrzę na ciebie i myślę sobie, że wiesz, co mi chodzi po głowie.

Akceptujesz mnie taką, jaką jestem. Nie mniej, nie więcej. Lubię cię za to.

Uśmiechnął się i lekko pocałował w usta.

- Jesteś najemnikiem, jak my wszyscy. Nie ma powodu... Jesteśmy zawodowcami.

- Właśnie. Wczoraj chciałam być z kimś podobnym do mnie, kto rozumie mnie choć odrobinę.

Sam śledził wzrokiem jej ruchy, gdy zakładała strój do hapkido na gołe ciało. Nie przypominał sobie, by któraś z jego kobiet ubierała się z podobnym wdziękiem. Wróciła do łóżka, na którym siedział i jeszcze raz go pocałowała. W jej pokoju po drugiej stronie korytarza rozległ się przytłumiony dźwięk telefonu. Dzwonił dobrą minutę, zanim Deirdre przerwała pocałunek i westchnęła.

- Pójdę odebrać - powiedziała tęsknie.

- Obowiązki wzywają?

Spojrzała na niego ciepło.

- Tylko interesy, Sam. Zobaczymy się na dole.

Wyszła z pokoju. Za chwilę przestał dzwonić telefon. Sam wyskoczył z łóżka i wyjrzał przez uchyloną firankę. Peugeot stał w tym samym miejscu pod wiązem, tyle tylko, że kierowca nie bawił się już nożem. Przyciskał do ucha telefon komórkowy.

## Rozdział 13

W południe napięcie sięgnęło szczytu. Gregora zjadały nerwy, inni też mieli dość czekania na płytę CD-ROM. Vincent został wysłany, żeby "dopracować szczegóły", Larry natomiast cierpiał z powodu niedoinformowania. Cały ranek spędził dłubiąc przy silniku nowego volvo S70 GLT sedana ze wszystkimi bajerami, ale w końcu znudził się i przyszedł na strzelnicę postrzelać. Podeszedł do Sama, który zajmował czas i ręce czyszczeniem automatycznego karabinu Springfield SAR-8.

- Co jest? - zapytał olbrzym. Sam wzruszył ramionami.

- Niewiele. Siedzę na czterech literach i czekam.

- Myślę, że należą się nam wyjaśnienia! Już czas. Ta suka przetrzymuje nas wystarczająco długo.



- Porozmawiaj z nią - zaproponował Sam, choć doskonale zdawał sobie sprawę, że zirytowany zabijaka nie poradzi sobie z Deirdre. Nie sądził, by to określenie "suka" uszło mu płazem.

Deirdre siedziała przy okrągłym stoliku. Sam poszedł za Larrym, przywołując pozostałych kiwnięciem dłoni.

- No, kochani - powiedziała, wodząc oczyma od jednego do drugiego. - Zdaje się, że macie coś do mnie...

Sam uśmiechnął się do niej, ale wytrzymała jego spojrzenie, zachowując zimny i obojętny wyraz twarzy.

- Dobrze, powiem, co będę mogła. Kto pierwszy?

- Czyich słuchasz rozkazów? - pierwszy zapytał Spence.

- Na to nie odpowiem. To was nie dotyczy i nie ma wpływu na nasze zadanie. Znajdujemy Paczkę, bierzecie pieniądze i koniec.

Larry jęknął i potoczył oczyma dookoła.

- Jezu, dużo się od niej nie dowiemy. No, to powiedz, czego, u licha, szukamy? Na przykład, czy jest to duże?

- Było w walizce, ale już nie jest - Deirdre sięgnęła do skórzanej aktówki i wyciągnęła fotografię.

- Tak wygląda nowa teczka. Wyróżnia się, może trochę bardziej beżowa w kolorze. Łżejsza niż wygląda na zdjęciu. Nie chciałam mówić wam o tym, dopóki nie ruszymy, żeby uniknąć przecieków.

Sądzę, że rozumiecie tę przykrą konieczność. Nie mogę pozwolić na to, żeby ktokolwiek poza tym domem wiedział, jak wygląda.

- Kombinerki.

Wszystkie oczy zwróciły się na Sama.

- Co takiego? - nie wytrzymał Spence.

- Kombinerki. Żeby przeciąć metal. Pomyślcie. Ktokolwiek ma Paczkę lub ją transportuje, będzie miał teczkę przyczepioną do ręki. Zakładając, rzecz jasna, że nadal mamy do czynienia z teczką, jak utrzymuje Deirdre. Potrzebujemy kombinerki, bo inaczej trzeba będzie facetowi odrąbać rękę. Ma ktoś tasak rzeźniczy?

Deirdre zapisała uwagę na kartce.

- Widzisz - stwierdził Sam - to zebranie nie jest takie całkiem bezproduktywne - usiadł wygodniej i splótł ręce za głową. - Skoro już o tym mowa, powiedz gdzie... Poproszę szczegóły.

- Przerabialiśmy wszystkie możliwości: w mieście, na przedmieściach, na wsi. Wiecie, co robić, bez względu, gdzie to będzie. - Deirdre spojrzała na Gregora. - Wyjaśnij im.

- Chodzi o to, żeby zlokalizować obiekt za pomocą sieci satelitarnej, wykorzystując do naprowadzenia jego telefon komórkowy. Liczyłem na sowieckiego satelitę, bo tutejsze instytucje strzegące praworządności nie

mają kodów wejściowych, łatwiej więc uniknąć kontroli. Rzecz w tym, że ten sowiecki grat zepsuł się, nie działa, kaput! Muszę teraz przeprogramować mój komputer, żeby odczytywał sygnały z natowskiego lub francuskiego satelity. Potrzebuję nowego oprogramowania, a to ma rząd francuski i armia. Vincent pracuje nad tym.

- Zatem czekamy - stwierdził Sam. - Skąd wiemy, że Paczka jest jeszcze we Francji?

- Nie wiemy. Po tym opóźnieniu... Może być wszędzie.

- A jeśli nie ma jej w kraju?

- Za późno, żeby ją odzyskać. Zwijamy się... I nikt nic nie zarobi.

- Co jest w walizce? - dociekał Sam w imieniu wszystkich.

Po raz pierwszy od chwili, gdy zasiedli do stołu, Deirdre pozwoliła sobie spojrzeć mu w oczy, ale nic nie powiedziała.

- Więc? - nalegał Larry.

- Nie wiem.

- Nie wiesz?

- Nie. Ma swoją wartość. Wystarczy.

- Wiesz, kto ją ma? - spytał Spence.

- Nazwiska są nieistotne - Deirdre wyjęła kolejne zdjęcie i pokazała je wszystkim. - Zrobiono je niedawno. Oczywiście mógł zgolić brodę lub wąsy, lub jedno i drugie. To zawodowiec i jest niebezpieczny.

Właśnie dlatego wybrano was.

Sam obejrzał fotografię i uśmiechnął się do siebie. To był on!

- Poradzimy sobie z nim, ale co z jego armią...?

- Armią? - powtórzył Larry niepewnie.

- Wiemy coś o jego obstawie? Wyjdzie w praniu, tak?

Vincent wybrał ten moment, żeby wejść.

W rękach trzymał długie kartonowe pudełko, takie jak te, w których kwaciarnie przesyłają tuziny róż.

Położył je na stole.

- I co? - Deirdre nie kryła niepokoju w głosie.

Vincent rozejrzał się bez słowa. Spojrzał pytająco na Deirdre.

- Mów. Powiedziałam im o walizce.

- Wiem, gdzie jest CD-ROM, ale jest już za późno, żeby go wykraść. Trzeba go odkupić od pewnych ludzi po tamtej stronie. To znaczy z kontaktami po tamtej stronie. Spotkanie jest dziś o dwudziestej drugiej.

- Wcześniej nie da rady?

- Nie ufają mi. Chcą dokonać wymiany po zapadnięciu zmroku.

- No to czekamy - stwierdził Sam filozoficznie.

- Oui... nie mamy wyboru.

- A co tu mamy? - Sam postukał palcem w pudełko leżące na stoliku. - Więcej zabawek?

Vincent otworzył pudełko i wyjął pojemnik wielkości małego kartonu mleka. Podsunął go Gregorowi.

- Dla ciebie - oznajmił.

Gregor otworzył pojemnik i wyjął dziwnie wyglądający elektroniczny gadżet z serią kolorowych lampek z boku.

- Przetestuję go popołudniu.

- Co to jest, do diabła? - Larry nie posiadał się z ciekawości.

- Służy do zmiany świateł na skrzyżowaniach.

Larry roześmiał się niedowierzająco.

- Chcesz powiedzieć, że gonimy faceta, a on zatrzymuje się grzecznie na jakichś tam światłach?

- On nie - wyjaśnił mu Sam. - Ale facet przed nim pięknie go zablokuje, gdy się zatrzyma!

Larry przestał się śmiać.

- Rany, nie pomyślałem...

Teraz Vincent wyjął z pudełka ognie sztuczne. Rzucił je Gregorowi.

- Co to? Chiński Nowy Rok? - spytał obdarowany.

- Drobnie zamieszanie, dywersja, że tak powiem - pospieszył z wyjaśnieniem Sam. - Podłączasz do zdalnie sterowanego radia, wrzucasz do śmietnika gdzieś w pobliżu i... bum! Odciąga uwagę. Potrafisz?

- Potrafię.

- Dobrze.

Sam dostrzegł jeszcze jeden przedmiot w pudełku.

- Co tam jeszcze masz? Kwiaty dla damy?

- Przyszło mi do głowy, że przyda się coś do przecinania metalu.

## Rozdział 14

Rzucił okiem na Vincenta, który siedział obok, sztywny jak drut.

- W porządku? - spytał.

- Pewnie.

- Cieszę się, bo ja się boję komputerów jak diabeł święconej wody. Nie licz na to, że ci pomogę, jak schrzanisz robotę!

- Gregor wytłumaczył mi wszystko. Proste jak drut. Tu wkładam CD-ROM - Vincent wskazał stację w przenośnym komputerze trzymanym na kolanach - i wsuwam do środka. Jak się...

- Przestań - Sam podniósł rękę, żeby powstrzymać potok słów Francuza.

- Mówię ci, że komputery to dla mnie czarna magia! Wystarczy, że spojrzę i już się psuje.

- Zawiesz - poprawił go Vincent.
- Cokolwiek - Sam machnął ręką niechętnie.

Larry prowadził ich volvo. Wjechał właśnie na Boulevard Brune i ruszył na zachód w kierunku Sekwany. Wrzucając wyższy bieg, rzucił przez ramię do pasażerów.

- Gregor powinien był jechać z nami. Załatwił " sprawę z tym CD-ROM-em bez wpadek.

Dlaczego nie pozwoliła mu?

- Bo nie może go stracić - wyjaśnił Vincent, gestykulując mimo trzymanego w rękach urządzenia. - Nie będzie płakać po stracie kogokolwiek z nas czy komputera, ale jak straci Gregora, to cześć pieśni!

- Nie ufam facetowi - stwierdził Larry ponuro. - Jest teraz sam. Wiadomo, co robi!?

Sam wzruszył ramionami, to nie Gregor go martwił.

- Pewnie testuje ten numer ze światłami. Pamiętaj, Larry, każdy z nas ma rolę do spełnienia.

Larry nie dał się zbyć tak łatwo. Zwrócił się z wątpliwościami do Vincenta.

- Vincent, znasz tych ludzi, z którymi mamy się spotkać?

- Nigdy nie miałem z nimi do czynienia. Nie znam ich nawet z widzenia. Gregor twierdzi, że to, co dostał od nich faxem, jest absolutnie wiarygodne. Jeśli tylko uda mi się otworzyć ten CD-ROM na tym cacku, to ryba jest w sieci. Bierzemy i spierdalamy. Wiem coś na ten temat. To proste podłączenia na hasło.

- Panowie, po co ta podejrzliwość? - wtrącił się Spence. - Po tej wczorajszej historii z Francois zachowujecie się jak paranoicy. Głowę dam, że mamy do czynienia z maniakami komputerowymi, którzy chcą zarobić parę groszy. Dla nich ten CD-ROM jest bezużyteczny. Co zyskają nie dając go nam?

- Pewnie masz rację, Spence - zgodził się Sam. - Z drugiej strony, dobrze być przygotowanym na każdą ewentualność. Wszystko jest możliwe. Mają coś rządowego i bardzo tajnego. Skąd wiesz, ile ich kosztowało wejście w posiadanie tego drobiazgu? Jeśli nie mają nic wspólnego z komputerami, to są po prostu paserami kontrabandy, a wówczas mogło im przyjść do głowy, że dostaną więcej od kogoś innego, jeśli my będziemy wachać kwiatki od spodu.

- Teraz gdzie? Dojeżdżamy do rzeki - Larry spojrzał pytająco na Vincenta, którego widział w lusterku.

- W prawo tuż przed mostem i na przystań.

- Tu?

- Tak. O, właśnie tutaj.

Larry zjechał powoli z rampy na przystań.

- Jedź dalej - komenderował Vincent. - Zatrzymaj się jakieś trzydzieści metrów przed kolejnym mostem i zgaś światła.

Siedzieli w ciemności. Wsłuchiwali się w ciszę. Po lewej światła miasta odbijały się w wodach Sekwany, przed nimi wyrastał ciemny zarys mostu Mirabeau, a za nimi jaskrawo oświetlona sylwetka wieży Eiffla. Ciemna przestrzeń pod wznoszącym się łukiem mostem sprawiała wrażenie głębokiego tunelu.

- Zabawa w czekanie - mruknął Larry przerywając ciszę. -Co?

- Wszystko. Całe życie czekasz na coś. Siedzisz i czekasz, aż wszystko wybucha ci w twarz.

Wtedy umierasz i idziesz do piekła.

Sam i Vincent ryknęli śmiechem niemal równocześnie. Tylko Spence siedział z kamienną twarzą, jakby nie zrozumiał. Wreszcie zapytał:

- A ty, Larry, wybierasz się do piekła?

- Chłopie, wszyscy tam pójdziemy, bez wyjątku. Kwestia tylko, kto dotrze tam pierwszy i zajmie pokój z najlepszym widokiem.

- Nie ma piekła.

Vincent odchrząknął, podnosząc do góry brew. - Łatwiej ci robić, co robisz, Spence, wierząc, że piekła nie ma? Osobiście, mam nadzieję, że masz rację. Czas pokaże.

- Ile miałeś kobiet? Ile wzięłeś głów?

Usłyszeli go wszyscy, mimo że Sam zdawał się mówić do siebie.

- Coś ci się przypomniało? - spytał Larry.

- To stare przysłowie Dajaków, łowców głów z północnego Borneo. U nich nie ma piekła, bo nie ma czynów godnych potępienia. Zabijanie ludzi i uwodzenie kobiet to wręcz powody do dumy. Ale nie ma też nieba z tego samego powodu.

- Pewnie, ale to nie chrześcijanie.

- Celna uwaga, Larry. Nie tak, jak ty i ja - zadrwił Sam.

- Są - zaalarmował Spence, dostrzegłszy ciemny zarys wozu wyjeżdżającego z czeluści pod mostem.

Czarny citroen wtoczył się na przystań. Światła mrugnęły dwa razy, po czym zgasły.

- Zrób to samo - poleciał Vincent.

Citroen zatrzymał się w odległości dziesięciu metrów od nich. Wszyscy oprócz Larry'ego wysiedli z volvo.

- Zawróć wóz na wszelki wypadek - poleciał Sam zatraskując drzwi. - Możemy spieszyć się przy pożegnaniu.

- Jasne.

- Masz komputer? - upewnił się Spence, nie spuszczając z oka citroena.

- Mam.
- Pieniądze?
- Też.
- Idziemy.

Spence ruszył w kierunku ciemnego wozu.

- Róbcie to, co ja. Mam doświadczenie w takich akcjach. Ubezpieczajcie mnie.

Sam i Vincent popatrzyli po sobie z niedowierzaniem.

- Popatrz, popatrz, wyszło sztydło z worka - szepnął zgryźliwie Sam.

Vincent rozejrzał się jeszcze raz, spojrzął na most, potem w kierunku drogi nad przystanią.

- Ubezpieczaj go. Poczekam tu, aż się wyjaśni.

Sam zamarł, rzucając Vincentowi podejrzliwe spojrzenie. Francuz zauważył i skwitował lekko.

- Chłopie, przecież nie zależy mi na twojej śmierci.

- Dostałbyś moją część.

- Nie potrzebuję.

- Ha, ha!

- Idź, Sam. Dobrze wiesz, że ktoś musi pilnować tyłów. Musimy się rozdzielić.

Z Citroena wysiadło dwóch mężczyzn uzbrojonych po zęby. "Wcale nie maniaci komputerowi" - pomyślał Sam, cofając się o krok. Spence zrobił jeszcze kilka kroków i stanął między nimi.

- Ktoś z was mówi po angielsku? - spytał na początek.

- Oui.

- Okej. Macie to, po co przyszliśmy?

- Oui. Zgodnie z zamówieniem.

Mężczyzna, który wcześniej wysiadł z prawej strony Citroena, sięgnął pod marynarkę. Sam i Spence zareagowali odruchowo. Francuzi roześmieli się, a ten, który sięgnął, wyjął z wewnętrznej kieszeni plastikowy pojemnik na CD-ROM-y.

- Verifie? Sprawdźcie, proszę.

- Rzecz jasna.

Spence obejrzał pudełko. Sądząc po okładce były to największe przeboje Tammy Wynette. Nie spuszczać oka z mężczyzn, pokazał płytę Vincentowi.

Ten skinął głową i ruszył w kierunku Citroena, mijając po drodze Sama, któremu wręczył kopertę z pieniędzmi.

- Masz, trzymaj, aż sprawdzę, czy wszystko w porządku - wycedził przez zęby.

Doszedłszy do citroena, postawił komputer na masce i włączył go. Wsunął CD-ROM do właściwej stacji, poczekał, aż odpowiednie okienko pojawi się na ekranie i otworzył wskazany przez Gregora dokument. Następnie wyjął z kieszeni kartkę papieru i pracowicie porównał informacje zapisane na kartce z tym, co widział na ekranie. Zgadzało się.

- Cest bon. To jest to, o co chodzi.

- Le fric? - zapytał mężczyzna, rozpoznawszy w Vincencie rodaka.

- Co? - zaniepokoił się Spence i zażądał, żeby mówili po angielsku.

- Pyta się o pieniądze - wyjaśnił Vincent i skinął na Sama.

- Non - powstrzymał go mężczyzna - Pójdę do niego. Komputer zostaje tu, a ty - wskazał na Spence'a - chodź ze mną.

- Szef ma maszynkę do sprawdzenia pieniędzy w samochodzie - wyjaśnił Spence'owi w drodze do Sama.

- Co takiego?

- No wiesz, żeby sprawdzić, czy nie są fałszywe.

- Jasne. Jak wam się podoba. Mamy interes do załatwienia. Gdzie jest ten twój szef?

- W samochodzie w tunelu.

Dotarli do Sama.

- Daj mi pieniądze - powiedział Spence. - Facet musi pokazać je szefowi.

- Mam zanieść szefowi - powtórzył Francuz. - Ma maszynkę do sprawdzania. W samochodzie, tam, w tunelu.

- Daj mi kopertę, Sam. Skończmy z tym wreszcie.

Sam oddał kopertę. Francuz wzruszył ramionami i przeprosił:

- Je suis desole.

- Pewnie. Mnie też jest przykro.

Ruszyli we trzech w kierunku tunelu. Sam zatrzymał się przy citroenie.

- Czekaj, Spence - ostrzegł. - Niech ten klown idzie z pieniędzmi do szefa. Poczekamy na nich tutaj.

Spence poklepał się po kieszeni, w której tkwiła koperta.

- Sam zaniosę. Nie spuszczę tej koperty z oczu, dopóki nie załatwimy sprawy. Może zamienią na fałszywe? I powiedzą, że to my ich oszukaliśmy?

- Czyś ty zgłupiał? Chcesz tam iść?

- Idę, Sam, a ty ze mną!

- Nie opowiadaj!?

- Jesteś moją obstawą.

- Obstawą? Obudź się, frajerze! Poważnie chcesz wejść do tego tunelu?

Przecież to zasadzka, a my mięso armatnie!

Spence patrzył na niego tępo. Sam uniósł wzrok do góry i wyrzucił ręce w powietrze w geście rozpaczy.

- Czy ktoś mi może powiedzieć, po co ten facet tam idzie?!
- Za dużo myślisz, Sam. To twoja wada.
- Tak? Nie musisz mi tego mówić.

## Rozdział 15

- Vite. Vite. Szef nie będzie czekał całą noc.
- Czekaj, koleś - powstrzymał go Sam. - Nie popędzaj nas!  
Spence westchnął.

- Zróbmy to wreszcie. To prosta wymiana.

Sam wpatrywał się w ciemną jamę tunelu. Wydawało mu się, że dostrzeżę zarys czarnego samochodu zaparkowanego w głębi, pierwszy błysk odbitego światła na charakterystycznym trójramiennym znaku Mercedesa na masce. Nie mógł stwierdzić, ilu mężczyzn siedziało w wozie.

- Co jest? - spytał Vincent. - Sam? O co chodzi?

- Nie podoba mi się to. Tu jest wszystko - nośnik, pieniądze. Koleś, powiedz szefowi, żeby sam tu przyszedł po pieniądze.

Spence wyciągnął kopertę z kieszeni. Stukając Francuza kopertą w ramię, powiedział:

- Idziemy. Sam?

- Odpieprz się. Daj mu forszę i spływamy. Jak mu się nie podoba, to jego problem. Niech nas gonią. Jesteśmy czyści, nie wpuszczamy go w maliny.

Spence nie słuchał, szedł w kierunku tunelu.

- Jezu - warknął bezsilnie Sam.

Vincent wręczył mu komputer i ruszył za Skandynawem.

- Vincent, co ty?

Sam spojrzął na komputer.

- Co ja z tym zrobię? Vincent? Hej, Vincent? Dobrze wiesz, że nie powinniśmy tam iść! Cholera!

- Płacą mi za to - zawołał Vincent przez ramię. - Mówię po francusku, może uda mi się szybko to wyjaśnić.

- Jezu, sami idioci! Vincent? Słyszysz mnie? Trzymaj się lewej ściany, w razie czego możesz schronić się pod arkadami. Będę cię miał po prawej. Jakby co, wal do ważniaka w mercu. Użyj go jako tarczy.

W tym momencie Larry pojawił się u boku Sama.

- Co się dzieje? - spytał.

- Nasi przyjaciele chcą popełnić samobójstwo. Sam wcisnął mu komputer.

- Zabierz to i trzymaj silnik na chodzie.



Spojrzał na Francuza, który wciąż tkwił w tym samym miejscu. - Rozumiesz po angielsku? - spytał.

- Oui.

Sam wyciągnął broń i przyłożył ją Francuzowi do nosa.

- Znakomicie - rzekł. - Sprawdź, czy olej nie cieknie z miski olejowej!

- Ależ, monsieur, mój garnitur - zaprotestował Francuz.

- Jak mi przykro, nie pomyślałem. Zdejmij marynarkę, a przy okazji oddasz mi tę pukawkę, którą tam chowasz.

Mężczyzna zrobił, co mu kazano i wlaź pod samochód. Sam wyrzucił broń do Sekwany i wraz z Larrym podążył do volvo. Odwrócił się w pół drogi, zyskując tym szersze pole do obserwacji.

Vincent i Spence zbliżali się do celu. Z wozu ukrytego w tunelu wysiadło dwóch mężczyzn.

Jeden z nich zawołał do nich po francusku.

- Wystarczy. Szef mówi, żebyście położyli pieniądze na ziemi.

- Regardez - Vincent wskazał na przystań za nimi. Para zakochanych, trzymających się za ręce, szła wolno w ich kierunku, nieświadoma rozgrywającej się sceny. Cała czwórka zastygła w bezruchu, obserwując siebie nawzajem i intruzów. Rozbawiona para zatrzymała się, zaskoczona widokiem i niepewna, czy aby na pewno chce być tego świadkiem.

Zachowując zimną krew, Vincent roześmiał się i nawet klepnął po kolanie z radości.

- Znakomity kawał, Marcel. Opowiedz go kapitanowi, kiedy wrócimy na komendę. Uwielbia twoje żarty.

Pozostali zawtórowali mu śmiechem, choć dopiero po chwili. Zakochani, uspokojeni, ruszyli dalej. Z mercedesa wygramolił się niski, korpu-lentny mężczyzna, odczekawszy najpierw, aż para zniknie z pola widzenia. Liczył około sześćdziesiątki, był łysy, dobrze ubrany i obwieszony złotem.

Sygnety połyskiwały na tłustych palcach. Odezwał się po angielsku bez najmniejszego śladu akcentu.

- Kładźcie pieniądze na ziemi i cofnijcie się. Nie będę powtarzał.

Charakterystyczny tępy upór malował się na twarzy Spence'a.

- Pieniądze są w porządku. Tyle, ile chciałeś. Co do joty.

Odwrócił się, żeby odejść, Vincent za nim.

- Stać! Ani kroku dalej.

Od strony rzeki dobiegały ich coraz wyraźniej dźwięki muzyki. Wielka oszklona barka płynęła w dół Sekwany. Na pokładzie tańczyli ludzie, ich głosy niosły się po wodzie, monstrualnie zniekształcone w przestrzeni pod kamiennymi arkadami. Ogromne reflektory omiatały brzegi, wydobywając z mroku miejsca ciekawe dla turystów. Z głośników dobiegał głos prze-

wodnika mówiącego po japońsku, który rozpaczliwie usiłował przekrzy-  
żyć panujący na statku hałas.

Sam schował pistolet za siebie. Reflektory oświetliły przestrzeń pod  
mostem, jakby to była scena w teatrze. Widział, jak Spence podchodzi do  
tłustego człowieka, stojącego przy mercedesie, i jak Vincent rozgląda się  
nerwowo, trzymając się w pewnej odległości od Spence'a, ale cały czas  
zerkając na płynącą barcę. I właśnie wtedy wypatrzył go. Mężczyzna z ka-  
rabinem stał ukryty w stalowym szkielecie podbudowy mostu. Celował  
wrażnie w Szweda.

- U góry, nad tobą - wrzasnął Sam i rzucił się w kierunku tunelu. Sna-  
jper zdążył wystrzelić pięć lub sześć razy, zanim dosięgła go kula Sama.  
Spadł jak worek kartofli, odbił się od maski mercedesa i runął na ziemię.

Vincent i Spence strzelali w kierunku trzech ochroniarzy. Kierowca  
mercedesa włączył światła, żeby ich oślepić.

- Cholera, nic nie widzę - krzyknął Spence, zasłaniając oczy. - Vincent,  
widzisz ich?

Ale Vincent był tak samo oślepiony, jak on.

Dwoma szybkimi strzałami Sam rozbił reflektory mercedesa. Grubas  
wyrwał tylne drzwi wozu i dał nura do środka. Sam bezbłędnie wpakował  
po kulce w widoczne jeszcze kostki mężczyzny.

Spence odzyskał już wzrok. Stał pewnie na wprost samochodu i strze-  
lał w kuloodporną przednią szybę mercedesa. Po siódmej serii szyba za-  
padła się. Z półśmiechem na ustach Spence zlikwidował kierowcę strza-  
łem między oczy. Spokojnie obszedł wóz i zabił szefa. Tymczasem Vin-  
cent załatwił trzech ochroniarzy.

Wzdłuż przystani pędził w ich kierunku inny czarny mercedes.

- Wynosimy się - wrzeszczał Sam.

Na barce część pasażerów rzuciła się w poszukiwaniu bezpiecznego  
schronienia, inni stali przy relingu jak sparaliżowani. Troje z zimną krwią  
nagrywało wszystko na wideo. W niebieskozielonkawych strugach światła  
reflektorów ze statku scena na przystani musiała przypominać akcję na  
planie filmu sensacyjnego.

Sam rzucił okiem na most. Pędziły nim wozy policyjne. Ciszę nocną  
rozdarły charakterystyczne syreny policyjne.

- Jazda - krzyczał Vincent. - Spływamy.

Larry, który obserwował strzelaninę z wozu, wrzucił teraz wsteczny bi-  
eg i nacisnął gaz. Z piskiem hamulców zatrzymał się przy citroenie. Wsi-  
adając, Sam krzyknął do Spence'a.

- Potrzebna nam dywersja. Zrób coś!

- Już się robi.

Spence wyrwał z kieszeni granat rozpryskowy i rzucił go pod Citroena. Leżący tam ochroniarz wyskoczył jak oparzony i rzucił się do Sekwany. Larry wrzucił pierwszy bieg i ruszył. Wybuch granatu uniósł Citroena kilka metrów w powietrze, tam eksplodował. Wielka pomarańczowa kula ognia spadła z powrotem na przystań.

Wozy policyjne zjeżdżały z obu pobliskich mostów w kierunku płonącego wraka.

- W którą stronę? - krzyczał Larry do Vincenta.

- Prosto, jedź prosto. Dołem, nie górą. Wzdłuż przystani. Pod mostem.

Larry docisnął pedał gazu, trzymając się ściśle wskazówek Vincenta.

- Sam, pilnuj tyłów. Larry, jedziesz prosto, pod Peripherique.

- Pod czym?

- Rany, obwodnicą, prosto pod obwodnicą. Przy następnym moście skręć w lewo do miasta. W żadnym wypadku na most! Sam?

- W porządku. Gliny lecą do Citroena.

Przy Pont d'Issy Larry sforsował światła i skręcił ostro w lewo w Rue Rouget de l'Isle. Sam złapał go za ramię.

- Chryste, chłopie, zwolnij. Nikt nas nie goni. Zwolnij, do cholery.

Przypadkiem spojrzął na Spence'a i zdębiał. Twarz Szweda zszarzała, oddychał nierówno.

- Rany, Spence, dostałeś?

- Ach... ja...

Sam dotknął go. Spence wydawał się zimny jak lód.

- Dostałeś?

- Mam CD-ROM... i forszę - Szwed wyciągnął kopertę i rzucił na deskę rozdzielczą. - Dobra robota.

Oparł czoło o oparcie siedzenia przed nim.

- Znajdź jakąś boczną uliczkę i zatrzymaj się - dyrygował Sam. - Spence chyba dostał.

- Nie, nie. Wszystko w porządku - zaoponował Spence. - Ale zatrzymaj się, jak będziesz mógł.

Zaraz zwymiotuję... Tak jest zawsze, gdy robię... to... Jak już po wszystkim...

Larry skręcił w wąską alejkę i zatrzymał się przy krawężniku. Spence wypadł z samochodu, oparł głowę o mur i zwymiotował całą zawartość żołądka. Larry i Sam spojrzeli sobie w oczy w tylnym lusterku.

- I on chce mnie przekonać, że nie ma piekła - westchnął Larry. Wrócili do bazy odzywając się do siebie zaledwie półsłówkami.

Słowa Larry'ego musiały zapaść głęboko w ich umysłach. Deirdre i Gregor czekali na nich przy drzwiach.

- Udało się? - usłyszeli od niej zamiast powitania.

Vincent oddał komputer Gregorowi, a Sam wręczył Deirdre pojemnik z CD-ROM-em. Spojrzała na okładkę.

- Co to, do diabła? Tammy Wynette?

Sam wzruszył ramionami.

- Nie ma to jak wiara w swego faceta - powiedział dobrotliwie. Zignorowała go i otworzyła pudełko.

- Vincent, sprawdzałeś to?

- Tak, jak Gregor pokazywał. Jest wszystko, co miało być.

Zamknęła pudełko i oddała Gregorowi, który pomknął do hali magazynowej i zajął się instalowaniem nośnika na swym komputerze.

Pospieszyli za nim. Chwilę potem Gregor obwieścił rezultat.

- Jest.

- Na pewno? - Deirdre aż podskoczyła na krześle.

- Sprawdźmy. Vincent, weź telefon komórkowy i zadzwoń do kogokolwiek.

Podczas gdy Vincent wybrał numer, Gregor przeglądał na ekranie kolejne fragmenty mapy podzielone siatką współrzędnych.

- To proste - Gregor mówił tonem wykładowcy omawiającego wyjątkowo oczywistą teorię. - W tym wypadku wiem, gdzie szukać, ale pokażę wam krok po kroku, żebyście się zorientowali, jak to działa. Patrzcie, oto mapa Europy. Widzicie? - wskazał na ekran.

Deirdre obserwowała go uważnie. Sam spojrział bezradnie w górę, a Larry gestem dał do zrozumienia, że w jego opinii Gregor oddaje się mentalnej masturbacji.

- Patrzcie uważnie. Francja to ten podświetlony kawałek.

Gregor nacisnął kolejne klawisze.

- Tu są współrzędne Paryża. Widzimy, że gość dzwoni z Paryża.

## Rozdział 16

Ich mała ekspedycja kosztowała już tyle, że Sam miał prawo przypuszczać, iż polecą do Nicei pierwszą klasą, a może nawet wynajętym helikopterem. Mylił się. Jak prawdziwa bojowniczką IRA, Deirdre unikała rzucania się w oczy. Poza tym, twierdziła, że nie była w stanie załatwić tego tak szybko.

Pojadą wozem. Ustąpił jej miejsca przy kierowcy, ale sama myśl spędzenia kilku godzin w charakterze sardynki na tylnym siedzeniu fiata należącego do Vincenta przyprawiła go o mdłości.

Umówił się więc z Vincentem, że będą prowadzić na zmianę.

Larry ucieszył się perspektywą jazdy, szczególnie, że jego podrasowany volvo-sedan prowadził się doskonale. Ku przerażeniu towarzyszy, całą

drogę trzymał pedał gazu do dechy, mknąc z szybkością powyżej stu czterdziestu pięciu mil na godzinę. W rezultacie dotarli do Nicei prawie dwie godziny przed resztą. Nawet dobrze się złożyło, ponieważ mieli co robić przed przyjazdem Deirdre, która dała im długą listę poleceń. "Wszystko ma grać!" - brzmiało najważniejsze z nich.

W punkcie wynajmu samochodów na Rue Trachel za dworcem w Nicei wynajęli mało charakterystyczny brązowy minibus z przyciemnionymi szybami. Gregor zapłacił gotówką, pokazując fałszywe prawo jazdy i paszport. Siadł za kierownicę w towarzystwie Spence'a. W dwa wozy ruszyli za miasto w kierunku Antibes. Znalazłszy w lesie cichy zakątek, wymontowali siedzenia z minibusu, ustawiając zamiast nich sprzęt komputerowy. Gregor sprawdził działanie przenośnej bazy operacyjnej, po czym wrócili do Nicei i przejechali całą długość modnego bulwaru Promenade des Anglais. Z lewej mijali modne restauracyjki, z prawej ciągnął się wąski pas plaż, wypełniony po brzegi wakacyjnym tłumem, i niesamowicie błękitne wody Zatoki Aniołów, a dalej, Morza Śródziemnego.

Widok wybrzeża usianego setkami kobiet opalających się topless rozmarzył ich.

Spotkanie było wyznaczone w małej letniej restauracyjce, Cafe Jules, na półprywatnej plaży w Cap Ferrat na wschód od Nicei. Deirdre zależało na zachowaniu anonimowości do czasu rozpoczęcia akcji. Potem nie będzie to już istotne. O ile Sam i Vincent wtapiali się w tłum bez problemu, o tyle pozostała trójka zwracała uwagę.

Larry zaparkował volvo przed drzwiami Cafe Jules, wysiadł i rozejrzał się wzdłuż plaży. Na tarasie restauracji było dość pusto mimo obiadowej pory. Przy stolikach siedziało kilka raczej starszych pań, wszystkie bez biustonoszy. Za to kelnerów było więcej niż klientów. Byli to młodzi, opaleni mężczyźni, każdy prezentujący nagi, dobrze zbudowany tors. Gregor zaparkował minibus tuż za volvo.

- Cholera - rzekł Larry rozmarzonym głosem, pokazując kciukiem kobietę w skąpym stroju kąpielowym, z którego miała na sobie i tak tylko dolną połowę. Kobieta prowadziła na smyczy miniaturowego pudelka.

- Patrzcie na jej cycki. Czegoś takiego nie uświadczysz w Galveston.

Spence stanął obok niego.

- Tak, powinieneś czuć się tu jak w domu. W Nicei rezydują wszystkie francuskie prawicowe oszołomy i rasiści. Poczekaj, aż zobaczysz, jak traktują tu Afrykanów. Gorzej od tego psa. Na niego nikt przynajmniej nie pluje. Le Pen, Front Narodowy... Wszystkie dupki mieszkają w Nicei.

- Pieprzę cię, blondasie.

Spence wziął to na serio.

- Uważaj, bo inaczej... - zagroził, pokazując sugestywnie, co ma na myśli.

Gregor uznał, że czas interweniować.

- Zamknijcie się, do cholery! - wrzasnął jednemu i drugiemu w ucho, a gdy miał pewność, że go słuchają, dodał cicho: - Pamiętajcie, mieliśmy nie rzucać się w oczy. Mamy zadanie do wykonania, nie spieprzcie teraz wszystkiego.

Weszli na taras i wybrali stolik z dala od innych klientów.

Larry zjadał się właśnie drugą dokładką ciasta biszkoptowego nasączonego rumem, gdy przed restaurację zajechał brązowy fiat z Deirdre i jej obstawą.

- Hej, Vincent - powitał go międzyjednym a drugim smakowitym kąsem. - Samochód ci się zepsuł?

- Podziwialiśmy widoki.

- Pomyliło ci się, koleś. Tu są dopiero widoki - Larry potoczył okiem po plaży. - Wybacz wulgarność, Deirdre, ale to jest cypowate miasto.

Deirdre przyjęła ten komentarz chłodno. Wybrała ten odosobniony zakątek dlatego, że chciała sama powygrzewać się w słońcu, ale jej zapał do kąpieli słonecznych bez bluzki został nagle ostudzony.

Gestem przywołała kelnera. Wszyscy zamówili napoje bezalkoholowe, świadomi, że czeka ich praca. Przy stoliku zapanowała prawdziwie profesjonalna atmosfera.

- Dobrze - zaczęła Deirdre, jak tylko kelner się oddalił - powtórzmy jeszcze raz plan. Gregor, zaczynaj.

Gregor paranoicznie nie lubił zaczynać. Spojrzał więc lodowato po wszystkich.

- Co tu dużo mówić. Jestem gotowy. Sprawdziłem sprzęt. Wszystko, o czym rozmawialiśmy rano w Paryżu, jest przygotowane.

Deirdre nie ustąpiła.

- Gregor, powtórz krok po kroku!

Gregor patrzył na nią wyzywająco, w końcu jednak ugiął się. Rządziła nimi... przynajmniej na razie.

- Sprawdziłem ten numer jeszcze raz i wiem już, gdzie nasz klient się ukrywa. Twoje rozpoznanie było dobre, tyle że Villa Berteaux to prawdziwa forteca i nie mamy szansy przejąć Paczki, o ile facet nie wychynie stamtąd.

Powiedziawszy to, odczekał chwilę, obserwując ją badawczo.

- Rozmawiałem ze Spenc'em i myślę, że wszyscy - tu obejrzał się na resztę - chcielibyśmy wiedzieć, z kim lub z czym mamy do czynienia. Nazwisko, organizacja, te rzeczy. Zasłużyliśmy na to, żeby wiedzieć.

- Nie potrzebujecie wiedzieć. Im mniej wiecie, tym lepiej. Stara dobra zasada z wojska. Facet działa sam. Widzieliście jego zdjęcie. To wam musi wystarczyć - zawahała się. -Jeszcze coś.

Niewykluczone, że będzie więcej ochroniarzy, niż się spodziewaliśmy. Facet wie, że ma w ręku coś ważnego i że są tacy, którzy chętnie by mu to zabrali. Wie też, że musi wyjść z tym z tej swojej fortecy.

Deirdre nie dostrzegła żadnej reakcji na ich twarzach. Czekali na to, co jeszcze powie.

- Nie przypuszczam, by to miało być dla was problemem - dodała słodko i zwróciła się do Gregora. - Ciebie to nie obchodzi. Masz faceta namierzyć, utrzymywać komunikację i operować światłami drogowymi. Strzelanie należy do reszty.

- Zrobiłem, co do mnie należało - zaprotestował ponuro Gregor. - Minibus w pogotowiu, sprzęt uzbrojony, tak blisko morza nie ma żadnych przeszkód dla satelity, żadnych gór czy wieżowców, które mogłyby przeszkadzać. Gdziekolwiek facet się ruszy, satelita namierzy go i przekaże dane do komputera, który przeanalizuje je i poda dokładną lokalizację. Czy to chciałaś usłyszeć?

- Właśnie to - odparła Deirdre chłodno, piorunując go wzrokiem, aż uzyskała pewność, że nie będzie nadal kwestionował jej autorytetu. - Znalazłeś sobie dogodne miejsce? - zapytała wreszcie.

- Zaparkuję na Promenadę des Anglais w pobliżu Rent-a-Car Systeme. Mają tam minibusy zaparkowane na ulicy. Wśród nich nasz nie będzie rzucał się w oczy. Przy okazji będę bardzo blisko punktu, skąd zaczniesz się atak.

- To nie moja broszka - wtrącił się Vincent - ale jak go namierzysz, jeśli facet nie użyje telefonu, gdy już będzie siedział w samochodzie?

Gregor spojrział na Deirdre, która skinęła głową.

- Użyje telefonu w samochodzie, a poza tym, masz rację. Rzeczywiście, to nie twoja broszka.

- Dalej - przerwała Deirdre. - Larry? Jak ci poszło?

- Jechaliście tu tak długo, że miałem sporo czasu na poznanie Nicei. Ładne miasteczko. Mapy, które mi dałaś, są w porządku. Jednym kolorem zaznaczyłem ulice jednokierunkowe, żeby uniknąć niespodzianek. Nie potrzebujemy ciekawskich glin na ogonie. Wystarczy to, co było wczoraj. Zakreśliłem też ulice, gdzie ruch może nie być nam na rękę.

Chodzi mi przede wszystkim o ciężarówki. Klient może użyć ich jako osłony, a tego byśmy nie chcieli. Poza tym, ciężarówki utrudniają precyzję w działaniu, a w takich wypadkach czas jest sprawą krytyczną.

- Skąd najlepiej zaatakować?

Larry rozpostarł plan miasta przed sobą i wskazał paluchem punkt na mapie.

- Tutaj, gdzie Rue du Congres wpada w Promenadę des Anglais.

Spence potrząsnął głową.

- Chyba zgłupiałeś.

- Nie, wcale nie. Dokładnie przed biurem pieprzonego American Express.

Larry przerzucił mapę na drugą stronę, gdzie widniały okolice Nicei. Pociągnął palcem przez Niceę.

- Przede wszystkim, to jest jedyna droga z tej jego fortecy na lotnisko.

Oderwał wzrok od mapy i spojrzał na Deirdre.

- Jesteś pewna, że tam nastąpi spotkanie z tym facetem?

- Mur beton. Czarter przylatuje jutro o jedenastej trzydzieści. Moje źródła już to potwierdziły. • - No to musi przejechać przez miasto. Na Promenadę des Anglais będzie się czuł najbezpieczniej. Czujność obstawy zostanie uśpiona. Pełno turystów, kafejek, cycowatych babek...

Kto by planował akcję w takim miejscu?

Rzucił okiem po twarzach zgromadzonych.

- Zakładam, oczywiście, że jesteście tak dobrzy, jak mówicie. Widziałem Sama w akcji i wiem, że odstrzeliliby nogi pchle na odległość dwustu metrów. Mam szczerą nadzieję, że zarówno ty, Spence, jak i ty, Vincent, dorównacie mu.

- Niczego się wczoraj nie nauczyłeś? - zagadnął Vincent oschle.

- Wciąż jeszcze dygoczesz, koleś! - odparował Larry. - Wcale tak dobrze nie było. Jutro robota musi być czysta.

- Moja jest czysta - stwierdził urażony Spence.

- Cieszę się - skwitował to Larry. - Jutro więc... Założę się, że ci ochroniarze nie będą mogli oderwać wzroku od tych wszystkich dupek i cycuszków paradujących po ulicy. Zgodzicie się chyba ze mną, nie? No, to mam nadzieję, że złapiemy ich z opuszczonymi gatkami - zastanowił się chwilę nad tym, co powiedział i zaśmiał się. - Cholera, może nawet dosłownie? W każdym razie, sądzę, że ci faceci nie mogą się z nami równać. Pewnie, że są zawodowcami, ale to nie nasza liga. Jak dojdzie co do czego, będą najpierw patrzeć, co się dzieje dokoła. Żeby nie trafić jakiegoś sobowtóra Madonny z kawusią czy dzieciaka z kaczką-myszka Miki.

- Kaczką-myszka Miki? - powtórzył nieco zdezorientowany Spence.

- No, z jakąś tam zabawką plażową, wiesz, tymi nadmuchiwanyymi zwierzakami.

- Ale to musi być albo kaczką, albo myszką. Nie może być i to, i to.

- Nie łap mnie za słowa, blondasie.

- Dajcie spokój.



Sam odezwał się po raz pierwszy podczas tej rozmowy. Ostrzegawcza nuta w głosie natychmiast przywołała ich do porządku.

- Dzięki - rzekła Deirdre nie podnosząc wzroku na niego. Zwróciła się do Szweda.

- Zostawmy w spokoju zabawki plażowe, dobra? Larry nieźle to wymyślił. Rzeczywiście, ochroniarze mogą być bardziej zajęci babkami niż tym, co dzieje się dookoła. Miejmy nadzieję, że obędzie się bez niepotrzebnych ofiar wśród matek i dzieci, ale jakby co, pamiętajcie, że chodzi o Paczkę. Wszystko inne jest nieważne. Spence? Wiesz, co robisz?

- Jadę z grubasem.

- Czep się tramwaju - warknął Larry. - Jak to wszystko się skończy, niech twoja noga nie stanie w Teksasie, bo ci pokażę, gdzie raki zimują.

Spence udał, że nie słyszy. Tępo wpatrywał się w Deirdre.

- Jak tylko unieszkodliwimy samochód klienta, wypadam z ciężką artylerią. Wywalam szyby, zdejmuję kierowcę i ochroniarzy, jeśli są.

- Samochód na przedzie trzymam na muszce granatnika - wtrącił Larry.

- Nie trzymaj go na muszce, tylko go rozwal - poradził Vincent. - Nie życzę sobie niespodzianek z tamtej strony.

- Okej, rozwalam go na wstępie. Lepiej?

- Lepiej.

Vincent spojrzał pytająco na Deirdre. Skinęła przyzwalająco.

- Wszystko jasne? - spytała go.

- Nie jestem przekonany do miejsca wybranego przez Larry'ego. Ale nie widzę alternatywy.

Może się uda... Podczas gdy Larry i Spence załatwiają tych na czele, my, to znaczy ty, ja i Sam, zajmujemy się ogonem.

- Tak jest. Spence?

- Jak już droga będzie wolna, zabieram klientowi Paczkę.

- Zgadza się.

Deirdre przeniosła wzrok na Sama. Nikt poza nim nie zauważył ciepła w jej spojrzeniu skierowanym do niego.

- Sam...

- Słucham.

- Ochroniasz Spence'a. Paczka jest najważniejsza. Wychodzisz po nią, gdyby Spence'owi coś się stało.

- Nic mi się nie stanie.

- Oczywiście, Spence.

Spojrzała teraz na Larry'ego.

- Wracamy do ciebie, Larry. Mając Paczkę, ty i Spence zjeżdżacie. Jak tylko to się zacznie, będziemy mieli na głowie żandarmów. Wieczór wykorzystajcie na ustalenie trasy ucieczki. Najlepiej kilka tras, na wszelki

wypadek. Nie zaszkodzi. Przejedźcie się nimi, jeśli trzeba. Sam, Vincent i ja zajmiemy się tymi, co zostaną. Opracujcie też kilka tras ucieczki dla fiata. Nie jest tak szybki jak volvo, więc znajdźcie mi jakieś dobre jednokierunkowe uliczki, żebyśmy się szybko wydostali stamtąd. Spotkamy się tutaj po trzech kwadransach od przejścia Paczki. Są pytania?

Pokręcili głowami.

- Dobra. No, to, kochani, nic nam nie pozostaje, jak upewnić się, że dożyjemy dnia wypłaty.

## Rozdział 17

Deirdre zarezerwowała im sześć pokoi w Hotelu Negresco przy Promenade des Anglais, zaledwie kilka przecznic na zachód od biura American Express. Okna ich pokoi wychodziły na morze, a bliskość miejsca akcji pozwoliła dobrze zapoznać się z terenem. W pojedynkę przemierzali trasy, które przyjdzie im nazajutrz forsować. Każdy z nich koncentrował się przede wszystkim na własnej działce.

Dochodziła dwudziesta pierwsza, gdy Sam stwierdził, że ma dość. Rozejrzał się za cichą kafejką na Promenade des Anglais i usiadł w ogródku jednej z nich, ze dwie przecznice na wschód od miejsca ataku. Zamówił czerwone wino. Przepasany białym fartuchem kelner przyniósł mu kieliszek akurat w chwili, gdy spostrzegł na ulicy Deirdre. Szła z aparatem fotograficznym w rękę, przypominając do złudzenia prawdziwą turystkę.

- Jadłaś już? - zawołał do niej.

Zaskoczona, spojrzała w jego stronę. Tak jak i oni, sprawdzała teren. Mimo zewnętrznych atrybutów turystki, otaczała ją zimna aura wyrachowanego zawodowca. Weszła do kafejki i podeszła do stolika. Patrzyła na niego z rosnącą sympatią.

- Czadowy pomysł. Nie boisz się, że będzie to cokolwiek podejrzone dla innych, jak nas tu zobaczą?

Sam szarmancko wysunął dla niej krzesło.

- Ja bym się nie przejmował. Mają ważniejsze rzeczy na głowie.

Deirdre usiadła i zamówiła wino u kelnera, który wyrósł obok niczym spod ziemi.

- Zdenerwowana? - zapytał Sam. - Przed jutrem? - Żadna nowość dla mnie.

- Czyżby? Z chłopakami z Belfastu, prawda? Jakoś nie wydaje mi się, żeby jutro było tak samo.

Nie będzie to takie proste, jak pakowanie kulki w łeb jakiemuś biednemu protestantowi, który napił się o jednego za dużo w lokalnym pubie.

Deirdre skoczyła na równe nogi, ale Sam chwycił ją za rękę uspokajająco.

- Przepraszam - rzekł ciepło. - Nie chciałem cię urazić.

Usiadła.

- Bo pożałuję, że cię znam. Jeśli sądzisz, że Billy Wright i jego LVF są lepsi od IRA, to się mylisz. Wright zabił więcej katolickich chłopców - co ja mówię, katolickich dziewcząt i dzieci - niż ktokolwiek inny w tym kraju. To był piękny dzień, gdy go wreszcie pochowali. Mówię ci.

- Oho, wróciła patriotka - uśmiechnął się Sam.

- Myślisz, że jesteś lepszy, bo walczyłeś w szeregach regularnej armii?

- Myślę o dniu jutrzejszym. Walczyłem nieraz wręcz, oko w oko, ramię w ramię. Widziałem Vincenta i Spence'a w akcji. Myślę, że Larry też da sobie radę. Tylko ty i Gregor jesteście niesprawdzeni. Chciałbym mieć pewność, że podołasz zadaniu. IRA znana jest z zasadzek, ale zawsze działała na chybił trafił. Jutro wojna będzie totalna. Dwie armie staną do boju.

- A ty jesteś wojownikiem, panie Ronin? - zapytała cierpko.

- Ja ci tylko mówię, że już przez to przeszedłem. Jeśli masz jakiegokolwiek wątpliwości... co będzie, gdy staniesz z człowiekiem oko w oko i będziesz musiała go zdmuchnąć, powiedz mi o nich teraz.

Przegrasz, jeśli zawahasz się w ostatniej chwili.

Deirdre patrzyła na niego z taką intensywnością, jakby chciała mu przewiercić mózg.

- Jestem gotowa.

- To chciałem usłyszeć. A raczej zobaczyć w twoich oczach. Mam złe przeczucia jeśli chodzi o jutro. Za wysoka stawka, żebyśmy wszyscy przeżyli. Nie chciałbym jednak, no, wiesz... nie chcę, żeby padło na ciebie.

- Dzięki.

- Mówię, co myślę.

- Nie wątpię.

Uśmiechnęli się do siebie serdecznie.

- No to, pani McLaughlin, jak się w to wplątałaś? - powiedział z udawanym akcentem irlandzkim.

- Uwiódł mnie i zdradził taki jeden bogaty skurwysyn. Przecież nie mogłam mu na to pozwolić.

- Tak jak i w moim wypadku, he, he.

- Czyżby? Mój był podstarzałym angielskim dżentelmenem z siwym włosom i śmiesznym wąsikiem. A twój?

- Może się kiedyś dowiesz. Powiem ci tylko, że jest ich więcej i mieszkają w Waszyngtonie.

Mówiąc to patrzył na ulicę. Wyprostował się nagle.

- Oho, ktoś zażywa wieczornego chłodu.

Deirdre wykręciła głowę do tyłu. Cztery limuzyny podjeżdżały właśnie do mieszczącego się kilka metrów dalej przy promenadzie Hotelu Meridien.

- Założę się, że nasz koleś wychynie zaraz z hotelu.

- Co on robi w mieście? Przecież powinien być w Villa Berteaux!

- Lepsze żarcie, kobiety... Facet przyjechał coś zjeść - pożądlawie spojrział na Deirdre, ale dziewczyna zignorowała go.

Rzucił kilka banknotów na stół i wstał.

- Chodź. Zobaczymy, z kim mamy do czynienia.

Szli szybko w kierunku hotelu.

- Ej, rozluźnij się. Jesteś moją żoną. Jesteśmy na wakacjach. Uśmiechnij się. Dobrze się bawimy, no nie?

- Coś ty wymyślił?

- Idziemy do Meridiena. Sfotografujemy sobie tych facecików. Chyba masz film w tym aparacie?

- Pewnie, całą rolkę.

- Znakomicie, kochanie.

Weszli do holu. Sam rozejrzał się szybko.

- Jak światło?

- Ujdzie. Mam wysokoczuły film.

- Dobrze. Pamiętaj, bez lampy.

Spojrzał w prawo, akurat gdy otworzyły się drzwi windy, wypuszczając trzech mężczyzn, a za nimi ich klienta. Sam odetchnął. Przypuszczał, pragnął wręcz, żeby to był Alex. Skórzana walizeczka była przypięta kajdankami do jego ręki.

Wiedząc, że Alex rozpozna go, gdyby go zobaczył, Sam odwrócił się błyskawicznie.

- Deirdre, patrz, to on - wyszeptał. - Facet przy windzie. Ogolił brodę i wąsy, ale ma teczkę. To ten?

Deirdre też go zauważyła.

- Bezwzględnie.

- Cofnij się. Trzymaj się za mną i rób zdjęcia. Nie może mnie zobaczyć. Sfotografuj ich wszystkich.

Deirdre zaczęła mówić głośniej:

- Kochanie, wspaniale! Stój tak. Słuchaj, stań tam przy palmie. O, tak będzie dobrze.

Pstrykała zdjęcia, robiąc każdemu z nich portret, podczas gdy Alex i jego ochrona przechodzili przez hol przy recepcji.

- Wspaniale, kochanie. Wiesz, jak mama będzie zazdrosna, gdy wrócimy do Belfastu i pokażemy jej te zdjęcia? Mówiłam ci, że powinna była przyjechać tu z nami. Chyba nigdy w życiu nie widziała palmy...

Sam podniósł rękę i podszedł do niej. Pochylił się i pocałował w policzek, szepcząc przy tym prosto w ucho:

- Widzisz tego portiera z wózkiem. Zaraz na niego wpadnę, zrobię trochę hałasu.

Zobacz, jak zareagują, co zrobią.

Jeszcze raz ją pocałował i zaczął cofać się w kierunku lady recepcji.

- Może jeszcze tutaj, kochanie?

Cofając się, nabrał rozpędu. Portier zauważył go, ale nie zdążył nic zrobić. Sam stanął na brzegu wózka, zachwiał się, zamachał rękoma, żeby odzyskać równowagę, po czym wpadł razem z wózkiem na stojącą obok wielką szklaną lampę. Oszłamiający huk poderwał wszystkich znajdujących się w pobliżu. Sam leżał twarzą do podłogi, efektownie przywalony kilkoma walizkami.

Deirdre, która zdążyła przysiąść w wielkim fotelu na wprost wejścia do hotelu, obserwowała rozwój wypadków znad stronic jakiegoś pisma kobiecego znalezionej na stoliku obok.

Kiedy szklana lampa rozbiła się z hukiem o marmurową podłogę, Alex obrócił się na pięcie.

Zaskoczenie malowało się na jego twarzy. Natychmiast jeden z ochroniarzy znalazł się przed nim, zasłaniając ciałem teczkę. Pozostali dwaj sięgnęli po broń, ale, zorientowawszy się błyskawicznie, co się stało, równie szybko i niezauważenie schowali pistolety. Nikt oprócz Deirdre nie widział tego.

Deirdre spostrzegła również czterech innych mężczyzn, którzy pojawili się jakby znikąd. Podobnie ubrani jak trzej ochroniarze, nie wyciągnęli broni, ale nietrudno było się domyślić, że są uzbrojeni po zęby. Dołączyli do Alexa i jego ochroniarzy i cała grupa pospiesznie wyszła.

Upewniwszy się, że Alex już zniknął, Sam pozbierał się z podłogi i otrzepał ubranie.

- Niech to szlag - powiedział do leżącego portiera, podając mu rękę. - Przepraszam, nie widziałem cię. Pomogę ci wstać.

Po chwili siedział już z Deirdre w barze hotelowym sącąc calvadosa.

- Naliczyłem siedmiu.

- Ja też.

- Są bezwzględnie dobrzy. Jeden chroni teczkę, dwóch ochrania człowieka. Nikt nie panikuje.

Broń pojawia się i znika. Czysto i sprawnie. Dobra robota.

- To już wiemy!

- A poza tym mają czterech kierowców i Bóg wie ilu facetów na ranczo. Potrzebujemy dodatkowych ludzi.

- Nie mamy dodatkowych ludzi.

- To zadzwoń do szefa - rzekł jakby od niechcienia.

- Nie ma szefa - odparła gwałtownie.

- Daj mi numer, sam zadzwonię - zaśmiał się cicho.

- Nie ma szefa, jestem ja - powtórzyła uparcie. Sam spojrzał na sufit i westchnął.

- Dziecko, posłuchaj. Zależy ci na tej rzeczy? Tej teczce? Jeśli tak, to mówię ci, że potrzebujemy wsparcia. Mamy jeszcze dwanaście godzin. Dodatkowi ludzie mogą być stąd i nie muszą wiedzieć o niczym. Chodzi o to, żeby ściągnęli na siebie ogień, bo inaczej wszystko pójdzie na nas. Jeśli zginą, nie będziemy płakać. Przecież to nic takiego.

- Niemożliwe. Nikogo więcej nie będzie. Strach cię obleciał? Ty, żołnierz? Boisz się?

- Jasne, że się boję... Myślisz, że mam opory, bo mi tu tak dobrze?

Deirdre wypła jednym haustem resztę calvadosu i wstała.

- Nie będzie więcej ludzi.

- Wychodzisz? A co z kolacją?

- Zjemy jutro.

- A co po kolacji dziś? Co ty na to?

- Sam?

- Co?

- Idź się wyśpij.

## Rozdział 18

Punkt ósma Deirdre czekała z rolką filmu przy drzwiach sklepu fotograficznego "Monsieur Quickie", gdzie przyszczaty młodzieniec mocował się z kluczem. Gdy wyszła z powrotem na zalany słońcem chodnik, zobaczyła Sama, który czekał na nią oparty o parkometr.

- Tak myślałem, że tu cię znajdę.

- Dzień dobry. Jak się spało?

- Skoro pytasz, to ci powiem - źle spać samotnie. Kiedy będą obrazki?

- Za dwadzieścia pięć minut. To pierwsze zamówienie dzisiaj.

Sam wskazał na czteropasmową Promenadę des Anglais i biuro Rent-a-Car Systeme, przed którym stał, obok trzech podobnych, minibus Gregora.

- Nasz spec komputerowy jest już na miejscu. Od piątej trzydzieści, bo się obawiał, że później nie znajdzie miejsca.

- Kazałam mu być tak wcześnie. Nie chcę ryzykować. Jesteśmy już tak blisko celu.

- Może zanieść mu kawy i rogalika? Sama wiesz, że kocha te maszyny tak, że oka z nich nie spuszcza.

- Proszę bardzo. Poczekam tu na zdjęcia. Niech wszyscy przypatrzą się facetowi, tak jak wygląda teraz, bez wąsów i brody. I tym ochroniarzom. Jak poznają ich twarze, będą strzelać bez zastanowienia. Weź też komunikatory od Gregora. Nie chcę tam chodzić. Im mniej nas będzie łązić tam i z powrotem, tym lepiej.

- Dobrze.

Sam poszedł spacerkiem do pobliskiej cukierni, gdzie kupił dwa rogaliki z czekoladą i dzbanek kawy. Wrócił wolno do minibusu, gdzie Gregor drzemał za kierownicą. Sam musiał zastukać, żeby go obudzić.

- Pomyślałem, że zjadłbyś coś.

- Dzięki.

- W porządku?

- Jasne. Klient ćwierka już od rana. Dzwonił na Bermudy - Gregor wskazał na ekran komputera przed nim. - Tam jest południe. Rozmawiał z kimś w Hotelu Princess.

- Hmm, a z którym pokojem?

Gregor nie zrozumiał żartu.

- Chyba gdzieś na piętrze, bo sygnał jest bardzo wyraźny. Myślę, że to ta osoba, której ma sprzedać Paczkę.

- Moglibyśmy podsłuchać?

- To wymaga innego sprzętu. Deirdre nie sądziła, że będzie potrzebny - uśmiechnął się wreszcie.

- Chyba nie liczyła, że będę miał takie kosztowne zachcianki.

- Spójrz na to z innej strony. Może będziesz mógł to zatrzymać?

Gregor jakby zamarł. Unikał wzroku Sama i głos mu się łamał.

- Zobaczymy. Nie ustaliłem jeszcze, co będzie, gdy spotkamy się po akcji.

Sam przyjrzał się mu uważnie. Gregor coś ukrywał, tylko co?

- Przygotowałeś petardę? - spytał w końcu, żeby przerwać milczenie.

- Eeee... no tak. Masz.

Sięgnął do tyłu i wyciągnął paczkę petard, do której podłączył wcześniej dziewięciowoltową baterię i mały odbiornik radiowy. Podał ją Samowi razem z kontrolką wielkości pudełka od zapalek.

- Tak naprawdę, to szalenie prosty mechanizm. Przesuwasz tę wajchę na kontrolce, odbiornik natychmiast odbiera impuls i uruchamia kontakt z baterią. Ogrzewa to małą spiralkę, a ta zapala lont. - Świetnie. A opóźnienie? Kiedy mam się spodziewać moich strzałów na niby?

- Testowałem ten materiał. Zapalał się niezmiennie po czterech sekundach.

- Wspaniale.

Sam włożył petardy do jednej kieszeni a kontrolkę do drugiej.

- Deirdre prosiła o komunikatory dla nas.

Gregor otworzył małe pudełko i wyjął cztery przyrządy wielkości aparatów dla niesłyszących.

- Te są dla was czterech. Nie będziecie gadać, tylko słuchać. Ten bardziej skomplikowany jest dla niej. Będę was informował na bieżąco, co się dzieje, ale to ona wydaje rozkazy. Ten jest dla niej.

Gregor dał Samowi jeszcze jeden przyrząd, do którego dołączony był srebrny długopis.

- Mówi do długopisu. Tylko nie pomył tych na uszy. Deirdre musi mieć ten. On jest tak skonstruowany, żeby mikrofon jej nie przeszkadzał. Ona wie, jak się z nim obchodzić. Testowaliśmy je razem.

- Odległość?

- Do ośmiu kilometrów bez problemu.

W tym momencie komputer Gregora zaczął wydawać sygnał podobny do pagera, tyle że mniej natrętny. Gregor zajął się przyciskami i po chwili zaklął.

- Cholera.

- Co jest?

Sam zajrzał mu przez ramię.

- Ruszył.

- Co?

- Ruszył z Villa Berteaux.

- W jakim kierunku? Co jest grane, do cholery? Przecież samolot ląduje dopiero za trzy godziny!

Gregor sprawnie wywoływał kolejne informacje na ekranie.

- Rozmawia z lotniskiem. Cholera, Sam, wydaje mi się, że ruszył. Może lot jest wcześniej?

- Samolot jest tu bez znaczenia. Albo jest, albo go nie ma. Jeśli ruszył, to i my ruszamy. Ile czasu, zanim dojedzie do punktu zero?

Gregor przeglądał mapki z szybkością uniemożliwiającą Samowi nadążanie.

- O tej porze, przy obecnym natężeniu ruchu, może tu być już za dwadzieścia minut.

- Cholera!

Sam zatknął jeden z komunikatorów na lewe ucho.

- Powiedz coś, Gregor. Zobaczmy, jak to działa?

Gregor podniósł lewą rękę i zaczął mówić do zegarka.

- Testuję. Testuję. Dziesięć - dziewięć - osiem...

- Słyszę cię. Informuj mnie, gdzie jest Obiekt. Idę ogłosić alarm.



Wyskoczył z minibusu i przeszedł szybkim krokiem półtorej przecznicy w kierunku starej Nicei.

Na rogu Rue Halevy stała automatyczna maszyna z gazetami. Włożył dwie pięciofrankówki, otworzył klapę i włożył petardy pomiędzy gazety. Wrócił równie szybko. Gdy przechodził obok Gregora, usłyszał jego głos w słuchawce.

- Sam? Jest w La Turbie. Teraz jestem pewny. Jedzie tu.

Sam ruszył lekkim truchtem w kierunku sklepu fotograficznego, gdzie widział Deirdre.

Wręczając jej słuchawkę i długopis, powiedział:

- Zapomnij o obrazkach. Obiekt w ruchu.

- Jak to?

- Ruszył. Jedzie tu. Kurtyna poszła w górę.

- Ale ma jeszcze trzy godziny!

- I co z tego? Ruszył się. Idziemy po tamtych. Zabawa się zaczęła.

Chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą w kierunku ich hotelu.

Deirdre sprawnie wsunęła słuchawkę na ucho i zaczęła niepostrzeżenie mówić do trzymanego w ręku długopisu.

- Gregor? Gregor? Odbiór?

- Jestem.

- Jesteś pewny?

- Tak. Mija La Turbie. Tak jak mówiłaś. Jest w stałym kontakcie z kimś na lotnisku.

Przypadkiem tylko jest to o trzy godziny wcześniej.

- Cholera.

Sam podał jej dwie inne słuchawki.

- Spokojnie, mamy czas - odezwał się. - Zrobimy, co trzeba, jeśli tylko złapiemy chłopaków. Nic się nie zmienia. Plan ten sam. Tylko bez zmian.

Deirdre odetchnęła głęboko i powoli wypuściła powietrze z płuc.

- Masz rację. Powinno wystarczyć czasu.

- W hotelu idziemy do telefonów hotelowych. Ja szukam Vincenta i ustawiamy się z fiatem tak, jak było uzgodnione. Ty znajdujesz Spence'a i Larry'ego, dajesz im słuchawki i nie pozwalasz im spanikować. Mamy dość czasu. Tylko wbij im do łbów, że w planie nic się nie zmieniło. Wszystko zagra, jeśli będziemy trzymać się planu!

Larry'ego znaleźli bez trudu. Właśnie szedł na śniadanie. Deirdre przekazała mu słuchawkę, informując o rozwoju wydarzeń, podczas gdy Sam skierował się do telefonu hotelowego.

- Chcesz powiedzieć, że będę musiał odwalić tę robotę na głodniaka? - rzekł Tekszańczyk flegmatycznie.

- Gdzie jest Spence? - Deirdre nie miała ochoty na żarty.

- Niby skąd mam wiedzieć?

Sam wrócił od telefonów.

- Vincent jest w drodze na dół. U Spence'a nikt nie odbiera.

Mężczyźni spojrzeli na Deirdre.

- Decyzja należy do ciebie - powiedział Sam. - Idziemy bez niego... albo wcale.

- Nie mogę odwołać. Nie teraz. Zaszłam już za daleko. Ale jeśli to bunt... nic na to nie poradzę.

Jeśli chcecie się wycofać... to idźcie. Coś wymyślę.

Spojrzała najpierw na Sama, potem na Larry'ego. Obaj wzruszyli ramionami. Byli z nią. Drzwi windy otworzyły się i podszedł do nich Vincent.

- Gdzie Spence?

- To największa zagadka dzisiejszego poranka - zadrwił Sam.

- Oddalił się bez pozwolenia - wyjaśnił spokojnie Larry.

- La guerre... Cóż... - Vincent spojrzał na Deirdre. - Zakładam, że idziemy bez niego? - Łatwo ci mówić - wtrącił się Larry. - Miał kryć mój tyłek, nie twój.

- Ale ty nie wycofujesz się?

Deirdre czekała na jego decyzję.

- Jasne, że nie.

- Czekaj w holu. Może Spence się znajdzie - zakomenderowała. - Gregor powie, kiedy Obiekt minie Avenue Gallieni. Wtedy ruszasz, z nim albo bez niego.

Podniosła długopis do ust.

- Gregor?

- Jestem.

- Ile mamy jeszcze czasu?

- Trudno powiedzieć.

- Ile, Gregor?

- Może dziesięć minut, może mniej.

## Rozdział 19

Gregor podniósł zegarek do opalonej twarzy.

- Deirdre?

- Jestem, Gregor.

- Obiekt dotarł na Avenue Gallieni.

- Zrozumiałam. Larry, to twój znak. Czas ustawić volvo bez względu na Spence'a.

Larry, który nie tracąc czasu wyjadał ciastka prosto z tacy na wózku kelnerskim, zaklął pod nosem. Jeszcze raz poszukał wzrokiem kolegi i mamrocząc coś o pieprzonych Szwedach wyszedł z hotelu.

Deirdre siedziała przy stoliku w kafejce jakieś trzydzieści metrów od miejsca, gdzie miał nastąpić atak. Zamówiła kawę i croissanty i udawała, że pisze pocztówki trzymanym w ręku srebrnym długopisem.

Obserwowała, jak Larry wsiada sam do volvo i włącza się do ruchu na Promenade des Anglais w kierunku wschodnim. Patrząc w przeciwnym kierunku, dostrzegła Vincenta i Sama jadących fiatem na zachód. Podniosła długopis do ust udając zamyślenie.

- Sprawdzam, czy mnie słyszycie - powiedziała. - Kiwnijcie głową, że tak.

Fiat i volvo minęły się przed nią. Cała trójka spojrzała na nią i energicznie kiwnęła na znak, że wszystko w porządku. Fiat jechał na zachód do łaźni publicznych, gdzie Vincent zawrócił i zaparkował przodem w kierunku miejsca akcji. Kierowca volvo zrobił to samo, tyle że w przeciwną stronę.

Stał teraz przed operą, patrząc na miejsce planowanego ataku od wschodu.

- Obiekt dotarł do dworca autobusowego - poinformował Gregor. Deirdre po raz ostatni skontrolowała ulicę.

- Wszyscy na miejscu. Za minutę Obiekt będzie w polu widzenia. Jak się zacznie, słuchajcie, co do was mówię. Pilnuję waszych tyłów. Pamiętajcie o petardach. Wyciągacie broń, dopiero jak walnie maszyna z gazetami.

Zgodnie z przewidywaniem, po minucie mercedes otwierający konwój pojawił się zza rogu i skręcił na bulwar, kierując się na zachód. Bezpośrednio za nim jechała limuzyna Obiektu, a za nią dwa ubezpieczające samochody. Larry włączył się do ruchu jakieś dziesięć lub dwanaście długości samochodu za konwojem.

- Vincent, widzimy go - przekazała Deirdre. - Ustaw się.

Vincent ruszył a Sam stwierdził z uśmiechem:

- Kurtyna poszła w górę.

- Bon chance, mon ami.

- Et vous.

- Więc mówisz po francusku?

- Nigdy się nie dowiesz, kolego.

Vincent wmanewrował fiata na wewnętrzny pas. Deirdre odezwała się, gdy podjeżdżali już do biura American Express.

- Gregor, załatw światło. Światło zmieniło się na czerwone. Fiat stał pierwszy przed przejściem dla pieszych. Po drugiej stronie skrzyżowania, na

zewnątrznym pasie, stał pomarańczowy renault. Za nim cztery mercedesy, limuzyny. Larry ustawił się na wewnętrznym pasie kilka długości samochodu za nimi, czekając na swój ruch.

Wszyscy czekali w skupieniu, aż zmienią się światła.

Nic.

Nic się nie działo.

Minęło trzydzieści sekund.

Nadal nic.

Po kolejnych trzydziestu sekundach odezwał się klakson w limuzynie.

Kierowca pomarańczowego renault wrzucił pierwszy bieg i powoli ruszył do przodu. Vincent podniósł złotą blaszkę policyjną i machnął nią w kierunku renault, grożąc przy tym palcem. Renault zatrzymało się natychmiast.

Dziesięć sekund później mercedes ruszył z zamiarem ominięcia stojącego renault. Larry wcisnął sprzęgło i volvo skoczyło do przodu, uderzając w lewy błotnik limuzyny i unieruchamiając wóz. Teksańczyk wysiadł z samochodu i wyrzucając ramiona w górę zaczął przedstawienie.

- Ty głupi sukinsynu - wyrzekął głośno - co z tobą? Nie widzisz, gdzie jedziesz?

Siedzący przy kierowcy ochroniarz też wysiadł. Cmoknął na Larry'ego, usiłując go uciszyć srogim spojrzeniem.

Vincent przejechał czerwone światło. On i Sam wysiedli z wozu, Vincent machając z daleka odznaką.

- Cest une probleme? - zapytał grzecznie.

- Ano - zaciągnął Larry. - Mamy problem. Ten głupi sukinsyn zajechał mi drogę.

- Aha... To pan jest Amerykaninem?

- No i co z tego?

- Dobrze, niech panowie szybciotko wymienią się dokumentami i nie tarasują drogi.

- Dobrze... - Larry sięgnął do wnętrza samochodu, wyjął kluczyki i ruszył do bagażnika. - Ten cały interes jest gdzieś w bagażniku. Muszę poszukać.

Otwierając bagażnik, kiwnął niepostrzeżenie na Sama, który przesunął wajchę na kontrolce.

Larry zaczął liczyć po cichu.

- Jeden, dwa, trzy, cztery.

Otworzył bagażnik. W maszynie sprzedającej gazety zaczęły wybuchać petardy. Do złudzenia przypominały ostrzał z broni automatycznej. Drzwi limuzyny otworzyły się. Zanim jednak ktoś z nich wypadł, Larry sięgnął

po granatnik, schowany pod pokrywą bagażnika, wycelował i strzelił, sam rzucając się za swoje volvo. Samochód ochrony stanął w płomieniach.

Z dwóch pozostałych mercedesów wypadli ochroniarze z pistoletami w rękach. Część ruszyła na maszynę z gazetami, ale większość zawróciła w kierunku volvo. Sam i Vincent zajęli pozycje za fiatem i otworzyli ogień. Larry leżał ukryty za karoserią volvo, czekając na sposobność.

Ochroniarz towarzyszący Alexowi nie tracił czasu. Pod osłoną palącego się wraku, zaszedł Larry'ego z drugiej strony i przyłożył mu lufę pistoletu do potylicy.

- Nie masz szczęścia, grubasie - syknął naciskając spust.

Gdy nastąpił strzał, Larry zdziwił się, że to nie jego mózg spłynął po asfalcie. Ochroniarz padł martwy przy oponie volvo, a gdzieś obok głos Spence'a powiedział:

- Facet nie miał szczęścia.

- Rany, Spence, jak ja się cieszę, że cię widzę. Gdzieżeś się podziewał?

- Musiałem coś załatwić.

- Wspaniale... - Larry podniósł się ostrożnie. - Zmienił się czas akcji, ale poza tym wszystko idzie według planu - z bagażnika wyciągnął karabin marki Springfield SAR-8 i rzucił go Spence'owi.

- Zabieraj się do roboty.

Spence odryglował zamek, stanął przed mercedesem faceta z teczką i zaczął metodycznie strzelać wprost w kuloodporną przednią szybę. Wypaliwszy serię dwudziestu pocisków, cofnął się do bagażnika volvo po zapas amunicji.

W tym czasie Larry dołączył do Vincenta i Sama, którzy próbowali zlikwidować ostrzeliwujących się ochroniarzy i kierowców z dwóch ubezpieczających wozów. Wyraźnie nie docenili przeciwnika pod względem liczebności i wyszkolenia. Mężczyźni byli doskonale zgrani i uzbrojeni po zęby. Gdy kończyła im się amunicja w jednym pistolecie, odrzucali go i z zanadru wyciągali kolejną naładowaną broń.

Widząc, że jej ludzie są w tarapatkach, Deirdre opuściła miejsce przy stoliku. Wyciągnęła pistolety i, zachodząc ich od tyłu, z zimną krwią wykończyła dwóch ochroniarzy, którzy na początku akcji rzucili się sprawdzić maszynę z gazetami. Atakując pozostałych od tyłu, przekazała własnym ludziom swoją pozycję za pomocą długopisu trzymanego w wargach, jakby to był papieros.

- Idę na nich. Pilnujcie się. Strzelajcie czysto.

Sam trącił Vincenta w ramię.

- Idę po teczkę. Ubezpieczaj mnie.

Przemknął za fiatem i wypadł z drugiej strony akurat w chwili, gdy Alex otwierał tylne drzwi samochodu, próbując salwować się ucieczką.

Walizeczka była przyczepiona kajdankami do jego lewego nadgarstka. W prawej ręce trzymał pistolet marki Beretta Tomcat. Sam zobaczył przed sobą otwór lufy pistoletu i padł na ziemię. Strzał chybił, przelatując ze świstem nad jego lewym ramieniem.

Celnym strzałem unieszkodliwił prawą rękę Alexa. Rzucił się w kierunku limuzyny. Alex zamachnął się teczką, ale Sam uniknął ciosu, wpychając go z powrotem do samochodu.

Spence roztrzaskał wreszcie przednią szybę i pozbył się kierowcy.

- Gdzie kombinerki? - wrzeszczał Sam, siadając okrakiem na mężczyźnie i dźgając go bronią w okolicy serca.

- Koniec drogi, Alex - powiedział do ofiary.

- Sam... Ronin - wyszeptał niepewnie Alex. - Mówili mi, że nie żyjesz.

- To się chyba pomylili.

Na czole Alexa perlił się pot. Jąkał się, próbując negocjować.

- Moglibyśmy... Być może... dojść do porozumienia... w tej sprawie. Podniósł lekko teczkę.

- Słaba pozycja do negocjacji, nie sądzisz, Alex?

- Chyba masz rację, ale... z uwagi na dawną znajomość...

Sam chrząknął i potrząsnął głową.

- Myślałeś, że zabicie Huntera Blacka ujdzie ci bezkarnie? Odnalazłbym ciebie na końcu świata i bez teczki!

- Już mówiłem, myślałem, że nie żyjesz. Wciąż pracujesz dla Firmy?

- Pracuję na własny szczerot. Zawsze tak było, zawsze będzie.

W tym momencie doszedł go dobrze znany dźwięk pocisku ładowanego do magazynku półautomatycznego pistoletu. Wciskając własny pistolet głębiej w pierś Alexa, odwrócił się.

Na zewnątrz wozu stał Spence, w prawej ręce trzymał glocka 32. Podniósł broń na wysokość twarzy Sama.

- Czas, by sprawy wzięły inny obrót - powiedział zimno, naciskając na spust.

## Rozdział 20

Kula z glocka przeszła centymetr nad prawym uchem Sama, trafiając Alexa tuż powyżej nosa.

Wyszła z tyłu czaszki i zaryła się głęboko w skórzanym obiciu tylnego siedzenia mercedesa.

- Trzeba tam jeszcze trochę pozamiatać - Spence przepchnął się obok Sama trzymając w ręku kombinerki. - Zajmę się teczką. Taki był plan, pamiętasz?

- Racja - Sam potarł ucho. - W wolnej chwili zaopatrzyć się w tłumik, co?

Wygramolił się z wozu akurat, gdy Deirdre kładła trupem ostatniego z ochroniarzy. Vincent dopadł fiata i wskoczył za kierownicę. Podjechał jakieś piętnaście metrów. Deirdre wśliznęła się na tylne siedzenie. Sam zawrócił do limuzyny w momencie, gdy Spence wyskoczył z mercedesa z walizką w garści. Szwed pomachał nią zwycięsko.

- Mam ją.

Sam pokazał mu kciukiem znak zwycięstwa i pognał za fiatem. Tuż za nim biegł Larry.

Przebiegli dziesięć lub piętnaście kroków, gdy rozległy się dwa szybkie strzały i w sekundę później trzeci. Sam odwrócił się w pół kroku, usiłując rozpaczliwie zrozumieć, co się dzieje. Przecież zlikwidowali wszystkich.

Larry padł na kolana. Prawa nogawka była czerwona od krwi. Spence leżał kilka metrów od limuzyny, twarzą do asfaltu, z odstrzelonym tyłem głowy. Nad nim stał Gregor, do piersi przyciskał teczkę, trzymając w ręku jeszcze dymiący pistolet. Sam podbiegł do Larry'ego, wołając do Gregora.

- Co się dzieje, do diabła? Skąd się wziąłeś?

- Kierowca - odkrzyknął Gregor. - Jeszcze żył. Wyciągnął broń. To on załatwił Spence'a.

Nie miało to sensu, ale nadjeżdżające wozy policyjne nie pozwalały dłużej analizować sytuacji.

Syreny wyły coraz głośniej. Sam zamachał do Gregora.

- Dobra. Zapomnij o busie. Bierz teczkę i ładujmy się do fiata. Spieprzamy stąd.

Chwycił Larry'ego pod ramię i zaczął ciągnąć go w kierunku fiata. Vincent już cofał w ich kierunku. Zanim jednak dopadli samochodu, rozległ się jeszcze jeden strzał. Sam spojrzał za siebie.

Gregor leżał. Nigdzie śladu krwi, ale było widać, że Rosjanin z trudem usiłuje wstać. W końcu dźwignął się na nogi i, chwając się, rzucił teczką, jak piłką futbolową, do Sama.

- Zabierz ją. Wynoście się. Nie dam rady. Padł na chodnik.

Sam oddał teczkę Larry'emu i zaczął biec w kierunku Gregora. Zrezygnował jednak, widząc nadjeżdżające wozy policyjne. Wrócił do Larry'ego.

- Wynośmy się stąd.

Vincent podjechał do nich tyłem. Sam wepchnął Larry'ego na tylne siedzenie i wskoczył na miejsce pasażera z przodu.

- Dawaj, Vincent. Mamy policję na karku. Wiem, że nie przepadasz za żandarmami.

Vincent nie dał się prosić, ruszając z piskiem opon w kierunku starej Nicei. Pędził całkowicie opustoszałą Quai des Etats Unis, wyprzedzając policję, która zatrzymała się najpierw na miejscu strzelaniny przed biurem American Express. Zwolnił kilka przecznic dalej.

- Masz peta? - spytał Sam.

Vincent rzucił mu paczkę gauloise'ów.

- Proszę. Zapal jednego dla mnie.

Przy okazji spojrzął na niego.

- Sam, co to?

- Co?

- To świństwo na koszuli!

Sam spojrzął po sobie. Wszędzie miał drobiny beżowej farby. Wyciągnął koszulę ze spodni i energicznie strzepnął. Zauważył podobne płatki farby na dłoniach. Potarł ręce o siebie, chcąc usunąć beż ze skóry.

- Jak tam noga, Larry? - rzucił do tyłu nie patrząc.

- W porządku, przeżyję. Kula przeszła na wylot. Kilka szwów i będzie dobrze.

- Mogę się tym zająć.

Sam spojrzął wreszcie na tylne siedzenie. Larry postawił walizkę na siedzeniu obok siebie i robił opaskę uciskową powyżej rany. Jego dłonie i koszula również były pokryte beżową farbą. Sam popatrzył na teczkę. Tam, gdzie zeszła farba, zaczynała prześwitywać spod spodu czarna skóra.

Deirdre jeszcze raz przeciągnęła ręką po walizce. Farba schodziła całym płatem.

- Co u licha? - mruknęła.

- Zatrzymaj się - krzyknął Sam.

- Co?

- To, co słyszysz. Zatrzymaj się. Natychmiast.

Vincent skręcił ostro w prawo i depnął po hamulcach. Sam sięgnął na tylne siedzenie, chwycił teczkę i wyskoczył z wozu. Jednym susem znalazł się po drugiej stronie niskiego murku oddzielającego drogę od plaży, wziął zamach i rzucił walizkę daleko w morze. Spojrzął w obie strony wzdłuż plaży, ale nie zauważył nikogo. Wcisnął ręce do kieszeni i powoli wrócił do samochodu.

- Coś ty zrobił? - Deirdre nie posiadała się z gniewu.

Fiat stał na jałowym biegu, Vincent i Larry gapili się na niego, obaj w stanie szoku.

- Pytam raz jeszcze - odezwał się Sam - co było w teczce?

- Czyś ty oszalał? Idzie na dno!

- Właśnie! Co tam jest w środku?

- Nie wiem, na rany Chrystusa. O co ci chodzi? Postradałeś zmysły?

Sam wszedł do wozu i całkiem spokojnie odwrócił się do niej. Patrzył surowo, długo. W końcu rzekł:

- Może rzeczywiście nie wiesz. Zakładam jednak, że to, co miało być w środku... nie posłałoby walizki na dno... Przecież to ma być informacja, a



nie rzecz. Informacje to papier, więc teczka powinna unosić się na powierzchni.

Wszyscy czworo odwrócili się, by zobaczyć walizkę znikającą w falach Morza Śródziemnego.

Sam wzruszył ramionami.

- To nie jest ta teczka. Oszukano nas. Deirdre, kto rządzi tym interesem?

Nie ruszyła się, wpatrzona w miejsce po walizce.

- Słuchaj - zaczął jeszcze raz - to koniec. Sprawa wymknęła się trochę spod kontroli. Siedzimy w tym po uszy. Jedyne, co możemy jeszcze zrobić, żeby coś uratować, to odnaleźć właściwą teczkę.

Vincent roześmiał się i stwierdził:

- IRA.

- Czy to prawda? - spytał Sam. - Czy oni to aranżowali?

- Tak.

- Przecież mówiłaś, że odeszłaś od nich? - naiwnie zdziwił się Larry.

- Jezu, Larry, kłamałam. W porządku?

- Co jest w teczce?

- Nie mam pojęcia - wrzasnęła. - Musicie mi uwierzyć. Po prostu nie wiem.

Larry popatrzył na Sama.

- Skąd wiedziałaś, że to niewłaściwa walizka? To znaczy, kto nas oszukał?

- Gregor.

- Co takiego?

- Gregor. On wcale nie zginął. Nie było śladu krwi. Gregor udawał.

- Nie rozumiem.

- Okej. Dlaczego w ogóle wylazł z busu? Ponieważ on i Spence mieli to uzgodnione od początku.

To jedyna wiarygodna odpowiedź. Przypomnij sobie. Ty, ja i Larry biegniemy do fiata. Jesteśmy odwrócenii plecami do limuzyny. Gregor opuszcza bus i zamienia się ze Spencem na aktówki. Spence ma przebiec tylko kilka kroków, upaść i udawać, że dostał. Wtedy ma nam rzucić aktówkę. Ale Gregor jest zachłanny. Po co mu Spence? Niepotrzebny, teraz już nie. I jeszcze mu ufać!? Rozwala mu łeb i zamienia się z nim miejscami. Daje nam pomalowaną walizkę i znika z prawdziwą, gdy my odjeżdżamy.

- Ale po co malowana? - zdziwiła się Deirdre, która zaczęła rozumieć spiskową teorię Sama.

- Nie wiedzieliśmy, jak wygląda, aż do przedwczoraj, kiedy pokazałaś nam zdjęcia. My pojechaliśmy po CD-ROM, a on został sam. Chyba nie sprawdzałaś z nim tych cholernych świateł?

- Racja, pojechał sam.

- Nie wiemy więc, co wtedy robił. Miał jednak problem. Walizka nie była typowa. Zresztą, kto to wie, do czego wcześniej służyła. Gregor przeszukał Paryż, ale nie mógł znaleźć beżowej. Kupił więc czarną i przemalował.

- Możliwe...

- Wiesz, że tak było, Deirdre - Sam wskazał na miejsce, gdzie zatonała walizka. - Ta teczka była za ciężka. Przypomnij sobie wieczór w Hotelu Meridien. Walizeczka, którą niósł Alex, ważyła tyle, co piórko. Pamiętasz, z jaką łatwością nią operował.

Deirdre uśmiechnęła się niepewnie.

- Skąd wiedziałeś, że na imię ma Alex?

- Gliny - wtrącił się Vincent patrząc w tylne lusterko.

- Co?

- Jadą wozy policyjne. Jedźmy, żeby nie budzić niezdrowego zainteresowania. Nie powinniśmy tu sterczeć, bo nas zaczną wypytywać.

Fiat ruszył powoli i włączył się do ruchu. Vincent skręcił w kierunku basenu starego portu rybackiego.

Kiedy beżowa teczka znalazła się niemal na dnie Morza Śródziemnego, zapalnik Gregora zadziałał. Osiem pałek dynamitu wybuchło, posyłając gejzer dziesięć metrów w powietrze nad powierzchnię wody.

## Rozdział 21

Oliwkowego koloru range-rover stał tam, gdzie go Gregor zaparkował poprzedniego wieczoru - na Rue de la Buffa, naprzeciw kościoła anglikańskiego, trzy przecznice od miejsca akcji. Pozwolił Szwedowi wybrać wóz, nie chcąc wzbudzać jego podejrzeń. Poszło jak z płatka. Spence nie spodziewał się niczego, gdy Gregor stanął za nim i wpakował mu kulę w głowę.

Co innego zostawienie wozu całą noc bez opieki. W Rosji samochód wzbudzałby pożądanie na każdym kroku. Gregor nie ośmieliłby się zostawić go na ulicach Moskwy, nie opłaciwszy najpierw suto jakiegoś ulicznego stróża.

Z lubością powiódł dłonią po metalowej kratownicy z przodu. Nie zanościło się na polowanie na nosorożce w południowej Francji. Stanął przy drzwiach od strony kierowcy i odczekał, aż miną go pędzące wozy policyjne. Wsiadł i wsunął beżową teczkę pod siedzenie pasażera. Otworzył otwór w dachu. Wpadło ostre śródziemnomorskie słońce, rzucając strumień światła na deskę rozdzielczą. Gregor uśmiechnął się, pogładził wykończe-

nie w orzechowym drewnie i skórzane siedzenia. Wyjął z kieszeni telefon komórkowy, który dostał od Deirdre, i wystukał z pamięci numer.

- Mam ją - rzekł, usłyszawszy znany głos z drugiej strony. - Jak za dawnych czasów, Jurij, prawda?

- Jasne, Gregor. Zleceniodawca inny, ale gra ta sama - towar za forszę.

- Gdzie się spotkamy?

- Nie za wcześnie?

- Dokładnie trzy godziny wcześniej. Nieprzewidziane zmiany w planie.

Jurij zastanowił się.

- W Arles. Będę w Arles za cztery godziny. Zdażysz?

- Dlaczego nie? Gdzie konkretnie?

- Na Quai Max Dormay jest kafejka z widokiem na Rodan. Nazywa się "Le Mejan"...

Powiedzmy, że jest... czarująca. Umówmy się tam.

- Masz forszę?

- Ależ oczywiście, Gregor, zgodnie z umową.

- No, to do zobaczenia za cztery godziny. Jurij?

- Słucham?

- Przyjdź sam.

- Rzecz jasna - Jurij zaśmiał się do telefonu.

Gregor wyłączył komórkę i włączył silnik range-rovera. Wozy policyjne na światłach i z wyjącymi syrenami wciąż pędziły w kierunku Promenade des Anglais. "Ciekawe - pomyślał - jak daleko odjedzie fiat, zanim wybuchnie dynamit". A może Vincent będzie jechał tak szybko, że on, Gregor, nie usłyszy eksplozji? Trochę się zaniepokoił, ale akurat, gdy wjeżdżał na autostradę, usłyszał w oddali wybuch. - Żegnajcie, rywale - uśmiechnął się do siebie.

Nie spodziewał się aż takiego ruchu na autostradzie, a i range-rover prowadził się dość ciężko. Żałował, że Spence nie wybrał bardziej sportowego wozu zamiast tego przerośniętego czołgu, który żłopał paliwo jak spragniony hipopotam. Mimo to zajechał przed "La Mejan", zanim wybiła pierwsza godzina.

Jurij siedział przy stoliku w pobliżu okna restauracji, toteż wystarczyło, że Gregor zapukał w szybę i pokazał mu na migi, żeby wyszedł. Jurij zostawił kilka banknotów na stole, zarzucił sobie na ramię wypchany worek żeglarski i skierował się do wyjścia. Był to wysoki i szczupły mężczyzna, rudy jak wiewiórka. W garniturze za dwa tysiące dolarów przypominał bardziej modela niż łącznika rosyjskiej mafii.

Podszedł do Gregora i podał mu rękę.

- Nie wyglądasz za dobrze, Gregor. Kapitalizm ci nie służy?

- Wsiadaj - powiedział krótko Gregor. Zapalił silnik, zawrócił w miejscu, skręcił w lewo i jeszcze raz ostro w lewo.

- Czujesz się tu jak w domu - skomentował rudzielec. - Dokąd mnie wiesziesz?

- Chcę ci coś pokazać.

- Aha... Gdzie teraz pracujesz, skoro nie masz ciepłej państwowej posadki? Mam nadzieję, że nie głodujesz?

- Pracuję na własny rachunek. Wiem, komu mogę zaufać.

Jurij roześmiał się.

- Powinieneś pracować dla Mikhiego - powiedział. - Popatrz tylko na siebie. Zdenerwowany, spocony, źle ubrany. Przecież nic na ciebie nie pasuje. Mikhi dobrze wszystko urządził. Poza tym jest ten plus, to znaczy, pewien rodzaj bezpieczeństwa wynikający z faktu, że człowiek pracuje dla mafii.

Jeśli jest się czystym, żyje się jak pasza.

Gregor zatrzymał wóz na Boulevard Combes, naprzeciw cmentarza ze starymi nagrobkami porośniętymi mchem.

- Dobrze miejsce na początek. Jurij, żadnych małych sztuczek, ostrzegam, bo wylądujesz tam z nieboszczykami.

- Lubisz dramatyzować, co?

Gregor wyciągnął swoją cezetkę z długim tłumikiem i gestem kazał mężczyźnie podnieść ręce do góry. Sprawdzał go od stóp do głów ręcznym detektorem metali. Kiedy urządzenie zadzwieczało w okolicach paska z lewej strony, Gregor wymacał tam pistolet. Okazało się, że jest to broń typu uzi Orzeł kaliber 9 mm.

- Kupujecie wciąż u Izraelczyków? A ja, głupi, myślałem, że to spotkanie towarzyskie.

Jurij śledził jego ruchy, gdy rzucał broń na tylne siedzenie wozu.

- Trudno o dobre egzemplarze. A... życie jest... niepewne.

- Oj, tak, Jurij, nawet nie wiesz, jak bardzo.

- Tyle razem przeszliśmy, nie sądziłem, że będziesz miał mi to za złe. Świat dzisiaj jest taki... taki...

- Niebezpieczny?

- Właśnie.

- Przekonasz się zaraz, jak bardzo.

Trzymając pistolet wycelowany cały czas w pierś pasażera, Gregor wrzucił pierwszy bieg i ruszył ostro, na najbliższym skrzyżowaniu skręcając w prawo, w Boulevard des Lices. Zatrzymał się kilkaset metrów dalej, przed Jardin d'Ete, gdzie w cieniu rozłożystego dębu bawiła się grupka dzieci. Kilkoro dzieci biegło właśnie wysypaną żwirem dróżką, trzymając zakupione u ulicznego sprzedawcy kolorowe balony.

- Odkręć szybę.

Jurij wykonał polecenie.

- Widzisz tę dziewczynkę z żółtym balonikiem? Z tym chłopczykiem?

- Tak - Jurij spojrzał w ich stronę. - A co, znasz ich?

- W życiu ich nie widziałem.

Gregor złożył się do strzału i nacisnął spust. Obserwujący go z rosnącym niepokojem Jurij w ostatniej chwili podbił rękę, tak że strzał poszedł w dach samochodu. Jurij dostrzegł jeszcze pękający pomarańczowy balonik, który narobił więcej huków niż broń Gregora. Chłopczyk rozplakał się w głos.

- Czyś ty oszalał? - zasyczał Jurij Gregorowi w ucho. - Po co to robisz?

- Żeby coś udowodnić!

- O co ci chodzi?

- Nie znam tej dziewczynki... Ale bez wahania rozwalilibym jej małą główkę. Już raz dziś zabiłem z tej broni.

Jurij patrzył na niego z przerażeniem.

- Nie martw się, Jurij, to był facet, nie dzieciak, i zasłużył na śmierć. Chodzi mi o to, że nie pałam do ciebie nadmierną sympatią, wyobrażasz sobie więc, co zrobię, jeśli spróbujesz jakichś małych sztuczek. Jasne? A teraz interesy... Może pokazałbyś mi pieniądze?

Jurij położył torbę, którą niósł na ramieniu, na siedzeniu między nimi.

- Jest cała suma - rzekł. - Przelicz, jeśli masz na to ochotę.

Gregor nie potrafił odmówić sobie tej przyjemności. Położył pistolet na kolanach i jednym szarpnięciem rozsunał suwak. W środku zobaczył pakiety studolarowych banknotów amerykańskich i aż sapnął z wrażenia. Wyciągnął z kieszeni cienkopis, specjalnie zaprojektowany do wykrywania fałszywych pieniędzy. Sprawdzał kolejno przypadkowo wybrane paczki banknotów.

Jurij wykorzystał swój czas mądrze. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wydobyl przedmiot, który przypominał stylizowany breloczek do kluczy. Włożył palec w otwór i skierował przedmiot na Gregora.

- Wiesz, Gregor, coś cię też nie lubię.

- Co to jest? - Gregor gapił się na dziesięciocentymetrowy breloczek w rękę przeciwnika.

- Z braku lepszego słowa nazywam to pistoletem. Fantastyczne urządzenie. Wymyślili go Bułgarzy. Utwardzony plastik, kula też plastikowa, kaliber 32 mm. Nie wykryje go żaden detektor metali. W Budapeszcie możesz je kupić na ulicy za dwadzieścia dolców. Jeden pocisk... Ale bardzo skuteczny na tę odległość.

- Powinienem być kazać ci się rozebrać.

- Jasne... A teraz, gdzie moja paczka?

- Pod twoim siedzeniem.

Nie spuszczać go z oczu, Jurij poszukał nogą pod fotelem i po chwili wymacał teczkę.

Uśmiechnął się. Sięgnął po nią prawą ręką, trzymając plastikową broń wymierzoną w twarz Gregora.

W chwili, gdy Jurij przechylił się, Gregor wycisnął sprzęgło. Range-rover, który stał na biegu, skoczył gwałtownie do przodu, w jednej chwili zgasł mu silnik. Gregorowi to wystarczyło, by, chwyciwszy wroga za nadgarstek, wytrącić mu broń z ręki. Zmęczony grą, przyłożył lufę cezetki do czoła pasażera i pociągnął za spust. Zabrawszy wszystkie papiery, jakie udało mu się znaleźć przy zabitym, otworzył drzwi i wypchnął ciało na zewnątrz.

Uruchomił samochód i wkrótce gnał już po drugiej stronie Rodanu. Po kwadransie jazdy zauważył miejsce opisane na tablicy informacyjnej jako punkt widokowy. Zjechał i przejrzał dokumenty znalezione przy ofierze. Na odwrocie wizytówki z paryskiego toru łyżwiarskiego znalazł to, czego szukał - nazwisko Mikhiego i numer telefonu komórkowego. Gregor odnalazł swój telefon i wystukał numer. Mikhi odebrał natychmiast po pierwszym sygnale.

- Jurij? Już po wszystkim? Masz Paczkę?

Gregor roześmiał się z sadyzmem w głosie.

- Tak, Mikhi, już po wszystkim.

Nastąpiło długie milczenie. Przerwał je Gregor.

- Jesteś tam, Mikhi?

- Gregor? To ty?

- Tak, mój drogi. Czujesz się chyba rozczarowany!

Gregor bawił się wizytówką, zginając ją w palcach na różne strony.

- Wciąż sypiasz z tą chudą łyżwiarką? Sądziłem, że znudziła się już toba.

- Słuchaj, Gregor, to jakaś pomyłka. To nie tak miało być. To był pomysł Jurija. Moim zdaniem, trzeba było grać z tobą czysto. Układ to układ. Wiesz przecież, że to moja dewiza.

- Bo sprzedam Paczkę z powrotem prawowitym właścicielom. Mam kontakty, tamci zapłacą bez mrugnięcia okiem.

- Nie, nie rób tego.

- Nie zmuszaj mnie. Słuchaj... Paczka właśnie podrożała... pięciokrotnie.

- Gregor... Gregor... Wiesz, że nie dysponuję taką sumą. Chcesz więcej niż dostają wszyscy zaangażowani w tę sprawę. To więcej niż całkowity koszt tej operacji.

Gregor zaśmiał się tylko.

- Już dobrze. Muszę mieć tę Paczkę, muszę - uspokajał go Mikhi. - Co mam zrobić, żeby ją dostać?
  - Czekać.
  - Jak długo?
  - Zadzwoń. Muszę znaleźć bezpieczne miejsce na spotkanie. Zadzwoń, gdy będę gotowy.
  - Kiedy?
  - Co, Mikhi, płyta ci się popsuła?
- Gregor wyłączył swój telefon i rzucił go do tyłu.

## Rozdział 22

- Merci bien, madame. - Vincent uśmiechnął się do staruszki, która odliczyła mu resztę. Zabrał papierową torbę z lady pokrytej nierdzewną stalą i wyszedł z apteki na Rue Mari w starej Nicei.

Pogwizdując, okrążył dom, zatrzymując się dopiero przy schodach przeciwpożarowych na tyłach niewielkiego Hotelu Meuble Genevois. Rozejrzał się i, nie widziany przez nikogo, wskoczył zręcznie na schody. Wdrapał się na trzecie piętro. Przez otwarte okno wszedł do pokoju, w którym czekali na niego Sam, Deirdre i ranny Larry.

- Masz, co trzeba? - spytał Sam.
- Oui.

Sam odebrał od niego papierową torbę, wyjął butelkę spirytusu, igłę i nić chirurgiczną, watę oraz wysterylizowane opatrunki z gazy jałowej. Podszedł do łóżka. Larry wciąż uciskał ranę na nodze.

- Tyle cię zaboli, co zacięcie żyłką - pocieszył go Sam. Zdezynfekował ranę gazą zamoczoną w spirytusie. Larry skrzywił się z bólu.

- Wrażliwy z ciebie facet - mruknął Sam ze współczuciem. - Jak się czujesz?

- W porządku.
- Jasne... Co prawda lepiej nie obrywać. Wówczas nie ma problemu. Nawłóknął igłę i rzucił okiem na Vincenta.

- Jak tam na ulicach?

- Gorąco. Pali się nam pod nogami, Sam. Wszędzie pełno policji. Znaleźli minibus Gregora.

- A volvo? - spytał Larry, po czym zaklął szpetnie, czując na udzie ukłucie igły.

- Trzy szwy. Zrobię szybko. Przeżyjesz. Jesteś dużym chłopcem.

- Samochód przesunęli na bok - Vincent zapalił papierosa. - Chyba myślą, że należy do turysty, który spanikował i wróci po niego później.

- Może to pułapka? - rozmyślała Deirdre.

- Pułapka czy nie, z pewnością będą przesłuchiwać każdego, kto zgłosi się po niego.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Zamarli, słysząc, jak ktoś wkłada klucz do zamka. Vincent błyskawicznie stanął za drzwiami, blokując je nogą, tak by nie otworzyły się więcej niż na kilka centymetrów - Oui?

W szparze widać było pokojówkę.

- Proszę mi wybaczyć - mówiła po francusku, nieco zdziwiona, że ktoś stoi za drzwiami. - Nie wiedziałam, że jest tu ktoś.

Vincent uśmiechnął się do niej znacząco.

- Pokój był wolny.

- Mam tu napisane - stwierdziła wskazując na trzymany w ręce grafik. - Rezerwacja jest dopiero od jutra.

- Z pewnością masz rację. Widzisz, mieszkam z żoną w innym pokoju, ale rozumiesz, spotkałem tę dziewczynę, na ulicy... - Mówiąc to Vincent dawał Deirdre rozpaczliwe znaki. Dziewczyna zrozumiała w lot i zaczęła chichotać jak pensjonarka.

- Masz tu - powiedział Vincent wciskając pokojówce do ręki dwudziestofrankowy banknot. - Zaraz sobie stąd pójdziemy.

- Oczywiście, rozumiem. Nie chciałam przeszkadzać.

Wzięła pieniądze i zamknęła drzwi za sobą. Vincent odsapnął dopiero, gdy znalazła się poza zasięgiem głosu.

- Cholera, teraz naprawdę musimy się stąd wynosić.

Sam kończył bandażować nogę Larry'ego.

- Racja, Vincent, znikamy. Larry, spróbuj wstać.

Larry wstał, ale wykrzywił się z bólu.

- Rany Julek, ale boli. Szczęście, że to nie noga "sprzęgłowa" - powiedział.

- Chyba zacznę zwracać się do ciebie per "panie doktorze". Gdzieś się tego nauczył?

- W południowo-wschodniej Azji. Jeszcze fajniej jest, gdy stosują pijawki do oczyszczenia rany.

- Sam, wynosimy się stąd - powtórzył Vincent.

- Zgadzam się z tobą w stu procentach, a może nawet więcej. Tylko dokąd? Deirdre? - zwrócił się do ich nominalnego szefa.

- Tak?

- Jak myślisz, komu Gregor może chcieć sprzedać Paczkę?

Milczała, ale trudno było wytrzymać spojrzenie trzech par oczu skierowanych na nią.

- Rosjanom.

- Ale którym?

- Nie wiem. Może rządowi, a może mafii.



- Czemu nie odsprzeda jej IRA? - spytał Larry naiwnie.  
- Wie, że jesteśmy splukani. Nie sprostamy jego wymaganiom.  
- To znaczy, że negocjuje z mafią - stwierdził spokojnie Sam.  
- Rząd rosyjski ma jeszcze mniej forsy od IRA. Deirdre, czas na telefon do wyższej instancji.

Nie żartuję, potrzebujemy pomocy.

- Nic z tego, dopóki nie będzie miał pewności, że mamy Paczkę. Nie oszukuj! On nie lubi spapranej roboty. Już taki jest.

- Przynajmniej przyznajesz, że jest wyższa instancja.

Deirdre spojrzała na Sama z wściekłością.

- Odpieprz się.

- Już tego próbowaliśmy i nie zaszliśmy daleko, przypominasz sobie?

Vincent, który niewiele zrozumiał z tej wymiany słów, skierował rozmowę na sprawy bieżące.

- Dobrze, dobrze - odezwał się, zapalając kolejnego papierosa. - Mamy znaleźć Gregora. Tylko jak się do tego zabrać, oto jest pytanie.

Sam rzucił Deirdre obojętne spojrzenie.

- A jak ty go znalazłaś?

- Tak jak ciebie, za pośrednictwem kaleki.

- Facet w wózku naraił ci Gregora? - zdziwił się Sam niepomiernie.

- Tak.

- No to mogła. Nic ci nie powie, nawet jeśli coś wie. Pracowałem z nim nieraz, niechętnie udziela informacji.

- Telefon komórkowy - Vincent uśmiechnął się radośnie.

- Jak to?

- No, rusz łepetyną. Gregor to były agent. Tam, we wschodniej Europie, nie miał takich zabawek.

Widziałeś, jak głąskał to cudo?

- Co z tego?

- To, że nie pozbędzie się go. Będzie go używał. Nie da go przecież na złom.

- Masz rację - przyznał Sam. - Potrzebny nam odpowiedni sprzęt.

- Sprzęt ma policja. Cały cholerny minibus. Nie odzyskamy go tak łatwo.

Sam odetchnął głęboko i wypuścił powoli powietrze.

- Vincent?

- Tak?

- Dasz mi papierosa?

- Oui.

- Mam pomysł. Nie wiem, czy będzie skuteczny, ale warto spróbować, n'est ce pas?

- Czy on zakłada odzyskanie volvo?
- Sorry, Larry, ale nie.
- Vincent, możemy skorzystać z drzwi frontowych? Larry nie da rady wyjść po schodach przeciwpożarowych.
- Jasne, tylko idźmy w pojedynkę.
- Dobrze.

Larry pierwszy pokuśtykał na dół, za nim Vincent. Gdy zostali we dwoje, Deirdre westchnęła cichutko.

- Jestem zdenerwowana, okej?
- Przepraszam czy co?
- Tak.
- Tak mi się wydawało. Nie przejmuj się, kochanie.
- Nie mam zamiaru. Skąd wiedziałeś, że facet ma na imię Alex?
- Jezu, pamięć jak u cholernego słonia!
- Więc?
- Kierowca mówił do niego Alex.

Uśmiechnęła się do niego i podeszła do drzwi. Stojąc już za oknem, Sam rzucił na odchodnym.

- Spotkajmy się w tej samej kafejce, gdzie byliśmy dziś rano. Za pół godziny.

- Dobrze.

Vincent czekał na niego na dole.

- Nie lubisz drzwi frontowych? - spytał.
- Chciałem mieć ją na oku.
- Poprosiłem o to Larry'ego.
- Mądry z ciebie gość, Vincent. - Źle dziś poszło.
- Byłem... Człowiek zaczyna się zastanawiać, czy warto.
- Kupa ludzi zginęła.
- Nie pierwszy raz. Widywałem wielu zabitych.
- Ja nie... nie tak, jak dzisiaj.
- Nie chcę powiedzieć, że zasłużyli sobie, ale pamiętaj, Vincent, to bandyci.

- A my co, aniołki?

Sam wzruszył ramionami.

- Przyzwyczyłaś się?
- Retoryczne pytanie?
- Nie.
- Bałem się, że to nie jest... Co z wami, Francuzami?
- Więc co odpowiesz?
- Nie wiem... Człowiek uczy się żyć z tym, to wszystko. Wynajduje sobie jakieś idiotyczne uzasadnienie i żyje dalej.

- Nie będę kłamał. Były sytuacje, w których musiałem to robić, kiedy warunkiem przeżycia była śmierć tego drugiego. - Żyjemy w szczególnym świecie, kolego.

- Nigdy nie sądziłem, że jestem częścią twojego świata. Jestem złodziejem, małym rzeźmieszkim. Wielkim człowiekiem w swojej branży, ale na małą skalę. Dla tutejszej policji jestem rarytasem, legendą dla lokalnych bandziorów, ale gdzie mi tam do ciebie. W twoich oczach jestem tylko jeszcze jednym tanim najemnikiem.

- Najemnikiem tak, ale nigdy tanim. To, co wydarzyło się dziś rano, nie było łatwe dla kogokolwiek z nas. Nie wierz temu, kto twierdzi inaczej.

- W każdym razie, długo będę pamiętał, bez względu na to, czy znajdę uzasadnienie, czy nie.

Chwilowo postaram się przeżyć.

- Vincent, Vincent. Wiesz, co ci dolega?

- Nie.

- Czytasz za dużo Camusa.

Trącił go w ramię.

- Chodź, frajerze, muszę odnaleźć pewien telefon.

## Rozdział 23

Deirdre usiadła w kawiarnianym ogródku, wybierając stolik pod ścianą. Na Promenade des Anglais roiło się od patroli policyjnych, a ona nie miała pojęcia, czy policja dysponuje ich rysopisami i portretami pamięciowymi. Detektywi wyczyścili teren dość szybko, głównie ze względu na nieprzerwany strumień turystów, a także w nadziei na uniknięcie niekorzystnego rozgłosu. Śmierć w Nicei nie była dobrą wiadomością w wieczornym dzienniku, a co dopiero śmierć piętnastu osób w ciągu czterech minut. Volvo wciąż stało zaparkowane w odległości kilku metrów, pilnowane przez taniaka, który siedział na niskim murku po drugiej stronie ulicy i udawał, że wertuje gazetę.

Do jej stolika podszedł Sam; na głowie miał czapkę baseballową. Czerwony napis nad daszkiem informował, że w Nicei jest fajnie.

- Dobrze - pochwalił ją za wybór stolika. - Szukają, ale nie tak intensywnie jak rano. Pewnie uważają, że tylko idiota wróciłby na miejsce zdarzenia tak od razu.

- Miejmy nadzieję, że nie jesteśmy idiotami. Właściwie to po co przyszliśmy tu?

- Oczywiście, żeby odnaleźć Gregora. Daj mi numer jego komórki.

Deirdre napisała numer na serwetce i podała mu. Z półuśmiechem bawiącym na ustach stwierdziła:

- Wiesz, Larry nie nadaje się na ogon. Trudno nie dostrzec ogromniastego, kuśtykającego Amerykanina, idącego wszędzie za tobą.

Sam roześmiał się.

- To nie mój pomysł. Nie mam z tym nic wspólnego. Vincent przeraził się trochę i wcale mu się nie dziwię po numerze, jaki wykręcił dziś Gregor.

Tymczasem rozglądał się po ulicy.

- Zamów mi kawę z ekspresu. Zaraz wracam.

Wyszedł z kafejki i skierował się na zachód. Ominął volvo, nie zwracając na nie uwagi. Kilka kroków dalej zauważył mężczyznę w garniturze wsiadającego do samochodu. Podbiegł do niego.

- Przepraszam, proszę pana, czy mógłby mi pan wskazać drogę do najbliższej poczty?

Mężczyzna odwrócił się.

- Czyja pana znam?

- No nie, nie sędzę. Raczej nie, proszę pana.

- To skąd pan wiedział, że mówię po angielsku?

- Herald...

- Co?

- Herald Tribune. Wystaje panu z kieszeni anglojęzyczna gazeta.

Mężczyzna spojrzał bezmyślnie na gazetę i roześmiał się.

- Rzeczywiście - rzekł - gazeta... No, ale czego pan potrzebuje? Bo tu poczta służy do wielu różnych rzeczy. Jak panu potrzebne tylko znaczki...

- Potrzebuję pomocy, Lukas - przerwał mu Sam z całkowitą powagą. Zbliżył się jeszcze bardziej do niego dla podkreślenia wagi swych słów.

Mężczyzna rzucił gazetę na tylne siedzenie. Zdjął ciemne okulary i odłożył je na deskę rozdzielczą. Zmierzył Sama ciężkim spojrzeniem.

- Myślałem, że wyjechałeś - przerwał wreszcie milczenie.

- Wyjechałem.

- Wyjechałeś? Czas przeszedł. To co? Jesteś czy cię nie ma?

Sam ociągał się z odpowiedzią.

- Przecież wypadłeś z gry.

- Wypadłem. Masz rację, wypadłem.

Sam patrzył nie na Lukasa, tylko na falujące za nim morze.

- Pomożesz? - zapytał w końcu.

- Ja... Nie wiem.

- Lukas, potrzebuję twojej pomocy. Czas jest na wagę złota. Nie mam funduszy.

- Jesteś czy cię nie ma?

- Jezu, czy musimy roztrząsać to teraz?

- Firma lubi mieć gwarancję.

- Zwróćę wszystko... Na koniec.
- Na koniec może być za późno.
- Nie mogę obiecać nic więcej. To moje ostatnie słowo.
- Jeszcze raz -jesteś czy cię nie ma?

Sam nie odpowiedział. Lukas skinął głową w niezobowiązujący sposób.

- Czego chcesz? Nie wiem, czy potrafię pomóc.

Sam podał mu serwetkę z numerem napisanym przez Deirdre.

- Tu jest numer telefonu, a ja chcę wiedzieć, gdzie on teraz jest.

Mężczyzna spojrział na numer.

- To telefon komórkowy. Skąd wiesz, że pozostanie w miejscu, gdzie go znajdują, jeśli go znajdują?

- Zaryzykuję.

Sam odwrócił się i z powrotem poszedł do kafejki. W dziesięć minut później pojawił się przy stoliku Vincent.

- No i co? - spytał Sam.
  - Siedział w samochodzie, potem zadzwonił. Zachowajmy nadzieję.
  - Przyjaciel? - chciała wiedzieć Deirdre.
  - Kto? Lukas? Razem chodziliśmy do budy. Nicea to małe miasteczko.
- Jeszcze kwadrans siedzieli przy stoliku, zamawiając kolejną kawę.
- Jak długo czekamy? - spytał wreszcie Vincent.

Sam pokręcił głową i mruknął coś, ale nie odpowiedział.

Vincent skomentował kwaśno:

- Wszyscy są przyjaciółmi, dopóki nie trzeba się rozliczyć.
- Pardon, monsieur? Kelner mówił coś do Sama.
- Il y a un appel, pour vous. Sam poszukał wzrokiem Vincenta.
- Telefon do ciebie.
- Do mnie?
- Oui, monsieur.

Sam podszedł do telefonu przy barze. Wrócił po minucie.

- Gdzie jest Larry? - warknął.
- Pilnuje fiata na Rue Rossetti.
- Idziemy.
- Gdzie on jest?
- Kto? Gregor?
- Tak.
- W Arles.

## Rozdział 24

Okolo 49 roku p.n.e. - po tym jak zmiotł z powierzchni ziemi Marsylię za karę za opowiedzenie się miasta po stronie Pompejusza - wielki Juliusz

Cezar osobiście wsparł niewielką osadę w Arles. W efekcie Arles przeżyło okres rozkwitu jako jedno z czołowych ogniw w łańcuchu osad łączących Europę z bezkresem Morza Śródziemnego. Miasto rozrosło się i w pierwszym wieku naszej ery powstała konieczność zbudowania w nim Les Arenes.

Les Arenes to amfiteatr położony kilkaset metrów od brzegów Rodanu. W czasach rzymskich mógł pomieścić do dwudziestu pięciu tysięcy widzów, zwykłych, dobrych ludzi, którzy zamieniali się w żądną krwi publiczność wszelakich igrzysk, od wyścigów rydwanów po walki gladiatorские na śmierć i życie, walki dzikich zwierząt i egzekucje. W minionych wiekach wykorzystywano amfiteatr jako fort, a na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku jako dość przedziwny kompleks mieszkalny, przez co budowla nieco ucierpiała na wyglądzie.

Po rekonstrukcji, która przywróciła jej poprzednią wspaniałość, Les Arenes stało się sceną koncertów muzycznych, rocka oraz muzyki klasycznej, przedstawień operowych, ale także okazjonalnych walk byków. Jeśli danego dnia nie ma żadnego koncertu, amfiteatr zwiedzają nieliczni turyści z zabłąkanego autokaru wycieczkowego. Gregor uznał, że to miejsce nadawało się znakomicie na dokonanie wymiany towaru za pieniądze.

Mikhi miał przysłać dwóch swoich ludzi z pieniędzmi. Mieli lecieć z Paryża helikopterem, przynajmniej tak twierdził Mikhi. Gregor nie był na tyle głupi, by wierzyć w tę gadkę o dużych pieniądzach, ale spodziewał się, że ludzie mafii jakąś forszę będą przy sobie mieli.

Gregor postanowił na tym poprzestać. Miał dość. Weźmie, co przywiózł. Od Deirdre dostał już sporo, potem od Jurija. To, co Mikhi mu da, będzie już tylko lukrem na torcie. Weźmie forszę, powie im, jak odnaleźć walizkę i zniknie, gdzie pieprz rośnie. Skończy z tym wszystkim i pójdzie na zasłużoną emeryturę.

Jeszcze raz zlustrował ruinę, po czym poszedł w dół Rue Voltaire. Szumiące liściaste drzewa rzucały głęboki cień na kilka stolików ustawionych w ogródku kafejki pod nazwą Chez Pepin. Gregor usiadł z dala od wąskiej uliczki. Słońce stało już nisko, kryjąc się gdzieś za Rodanem. W efekcie, dla kogoś patrzącego z ulicy, był prawie niezauważalny. Zamówił kawę z mlekiem i słodką bułeczkę.

Nabazgrał kilka słów na kartce papieru wyrwanej z notesu. Za dziesięć minut na Rue Voltaire pojawili się dwaj mężczyźni w niedopasowanych garniturach. Zatrzymali się przed szewcem naprzeciwko Chez Pepina. Sprawiali wrażenie zagubionych.

W kawiarni siedziała para nastolatków. Włosy ufarbowane na kruczą czerń, blada cera, jaskrawo umalowane oczy i brązowoczarna pomadka na ustach, podarte czarne siatki zamiast ubrań. Na ramieniu chłopaka

pyszniły się męskie tatuaże, natomiast dziewczyna miała na szyi nabijaną ćwiekami obrozę. Właśnie zbierali się, żeby zapłacić rachunek.

- Przepraszam, czy mówicie po angielsku? - zaczepił ich Gregor.

- Tak - odpowiedział chłopak.

- Czy mogę prosić was o drobną przysługę?

- Mianowicie?

- Widzicie tego faceta w brązowym garniturze? Stoi tam przy szewcu. To mój brat i chciałbym go zaskoczyć... Obchodzi właśnie urodziny. Czy moglibyście, wychodząc, dać mu tę karteczkę?

Chłopak wziął kartkę i rzucił okiem.

- Ależ to po rosyjsku.

- Tak, obaj jesteście Rosjanami.

- Jasne... A co ja z tego będę miał?

Gregor odebrał im rachunek za obiad.

- Ja stawiam.

- W dechę. Masz to jak w banku.

- Aha. Tylko nie mów mu, że jestem w środku. Popsujesz niespodziankę.

- Nie pękaj.

Chłopak i dziewczyna zabrali skórzane torby i, omijając po drodze stoliki, wyszli z kafejki.

Gregor obserwował ich uważnie. Podeszli do stojących mężczyzn i podali kartkę temu w brązowym garniturze. Odbiorca kartki zaczął ich wypytywać, ale chłopak w skórze wzruszył ramionami na znak, że nic nie wie i nic go to nie obchodzi, po czym oboje spokojnie odeszli w kierunku amfiteatru.

Gregor wystukał numer na komórce. Niemal natychmiast zaterkotał telefon w budce kilka kroków na lewo od szewca. Blondyn w brązowym garniturze skoczył, by odebrać.

- Da?

- Powinieneś mówić po francusku lub angielsku, jeśli nie chcesz odbijać za bardzo od tutejszych.

- Nie znam francuskiego.

- Masz więc ograniczony wybór, prawda?

- Czy to ty, Gregor?

- We własnej osobie. Nie traćmy czasu. Idźcie do Les Arenes, znaczy się, do amfiteatru i kupcie sobie bilety na oprowadzanie o osiemnastej. Nie wejdziecie bez biletów. Bez sztuczek, bo wezwą straż. Jak już wejdziecie, zostańcie w tyle za grupą. Idźcie dookoła 1 na drugi poziom, do sektora C, na lewo od sceny. Na pewno znajdziecie, jest dobrze oznaczona. Znajdę was. Jasne?

- Da.

Gregor wyłączył komórkę i poczekał, aż mężczyźni udadzą się w kierunku amfiteatru. Zapłacił rachunek, swój oraz pary punktów, i opuścił kafejkę tylnym wyjściem, które wychodziło na niewielką uliczkę. Poszedł do amfiteatru, kupił bilet na siedemnastą trzydzieści, po czym wmieszał się w tłum amerykańskich turystów.

W środku zgubił grupę i szybko odnalazł sektor C. Ten poziom tworzył labirynt połączonych korytarzy. Niektóre z nich wychodziły na widownię. Kontrast między ciemnościami panującymi w przejściach a oślepiającymi promieniami zachodzącego słońca uderzył Gregora. "Nic to" - pomyślał - wykorzysta to jako atut.

Usadowił się w otworze jednego z korytarzy prowadzących do sektora C i uzbroił się w cierpliwość. Jego goście pojawili się pół godziny później, niemal co do minuty. Tyle że zamiast dwóch, było ich trzech.

Gregor przypatrzył się nowemu.

- Siergiej, to ty? - spytał cicho.

Mężczyźni spojrzeli jak jeden mąż w kierunku, skąd dobiegł ich głos. Oświetleni światłem zachodzącego słońca, wyglądali jak aktorzy na scenie. Niemal wtopiony w mur, Gregor był dla nich mało widocznym cieniem, za to jego broń z tłumikiem rysowała się wyraźnie.

Wszyscy trzej usiłowali osłonić oczy podniesionym ramieniem, żeby dojrzeć go w ogóle.

- Gregor, to ja, Siergiej.

- Czy już nikt nie pracuje dla KGB? Chyba cierpią na braki kadrowe!

Siergiej roześmiał się.

- Idzie się za pieniądzem. Teraz jesteśmy drapieżnymi kapitalistami, prawda?

- Wiesz, wzruszyłem się. Nie sądziłem, że Mikhi przyśle kogoś twego kalibru. Za pierwszym razem wyraźnie mnie nie docenił. Dobrze, że nie popełnia tego samego błędu drugi raz.

- Właśnie, Gregor, to był błąd. To znaczy, wysłanie do ciebie Jurija. Mikhi zrobił to bez porozumienia ze mną.

- Aha, chcesz powiedzieć, że zbiesił się i nie chce słuchać? Czy tak?

- Nigdy nie umiał za dobrze słuchać. Wiesz to lepiej ode mnie.

- To prawda. Więc to Mikhi wymyślił, nie ty? Takie załatwianie sprawy wydaje mi się bardziej podobne do starej szkoły.

- Cokolwiek. To teraz nieistotne. Było, minęło.

Gregor jeszcze bardziej wcisnął się w mur i podniósł pistolet na wysokość twarzy Siergieja.

- Masz forszę?



- Nie udało nam się zdobyć sumy, której zażądałeś, w tak krótkim czasie. Mam nadzieję, że zrozumiesz to. Przyniosłem dwa razy tyle, ile chciałeś na początku.

- Targujemy się...

- Obawiam się, że wpędziłeś Mikhiego w kozi róg.

- Tak się składa, Siergiej, że mam dziś dobry humor. Przyjmuję układ... ze względu na stare czasy. Pokaż mi forszę.

- A masz towar?

- Jak zobaczę forszę.

- Słońce mnie oślepia, Gregor. Nie widzę, czy masz teczkę. Podnieś ją do góry, żebym mógł się przekonać.

- Pokaż mi pieniądze.

- Dopiero, jak będę miał pewność, że...

- Czy naprawdę macie zamiar sprzeczać się o to cały boży dzień?

Sam pojawił się niespodziewanie za Gregorem. Pakując mu lufę pistoletu między żebra, obezwładnił go.

- Może jesteś supertechnikiem, Gregor, ale w terenie nie masz szans.

Siergiej usiłował dojrzeć cokolwiek pod światło.

- Gregor, co się dzieje? - krzyknął.

- Nic mu nie jest - powiedziała słodko Deirdre, celując w nich z obu pistoletów.

Goryle Siergieja sięgnęli po broń, ale zatrzymał ich w pół ruchu trzeci głos.

- Tylko spokojnie, mes amis - ostrzegł ich Vincent.

## Rozdział 25

Przyłożył broń do skroni Gregora i odciągnął zamek. Rozległo się ciche, ale jakże dobrze znane wszystkim obecnym, kliknięcie.

- Nic nie mów, Gregor, chyba że masz mi do powiedzenia coś, co chciałbym usłyszeć. Nie masz wyboru, więc nie zastanawiaj się, jak wygrać, tylko jak się wywinąć z życiem. Potrzebna mi Paczka.

Dasz mi ją, ajak nie, to cię zastrzele. To takie proste... Masz pięć sekund na decyzję!

- Myślałem, że nie żyjesz.

- Dlaczego wszyscy wciąż tak myślą?! Gdzie jest ta cholerna Paczka?

Mocniej wcisnął lufę pistoletu w miękkie miejsce nad uchem Gregora.

- Ja... - Gregor spocił się, ze strachu głos mu się załamywał -... jej nie mam.

- Gówno prawda. Dobrze wiesz, że nie to chciałem usłyszeć.

Sam oparł tłumik o nos Gregora i posłał kulę w starożytny mur.

Rykoszetowała długo w głębi korytarza.

- Na Boga - wrzasnął Gregor - nie mam jej, naprawdę!

- Bóg nie istnieje, Gregor. Powinieneś to wiedzieć... Pytam po raz ostatni: gdzie jest Paczka?

- W Paryżu.

- Co?

- Wysłałem ją do Paryża.

- Dokąd?

- Do Paryża, na skrytkę pocztową, którą wynająłem w Dziewiątym Okręgu.

- Nie spodziewasz się chyba, że ci uwierzę?

- Przysięgam, Sam, uwierz mi. Oni już raz próbowali mnie zabić. Nie mogłem ufać im za drugim razem. Musiałem się zabezpieczyć.

- W tym korytarzu - usłyszeli głos przewodnika - w tym korytarzu, tu na lewo, zobaczą państwo doskonały przykład bardzo starego rzymskiego graffiti.

Sam rzucił okiem w kierunku oświetlonej słońcem areny. Grupa amerykańskich turystów ciągnęła się za przewodnikiem jak długie pęto kolorowych serdelków. Pchnął Gregora w kierunku pozostałych Rosjan w głębi korytarza.

- Ruszaj się - warknął.

Weszli do cienia zaledwie dwa metry od Siergieja. Grupa turystów stłoczyła się wokół wylotu korytarza, ciekawie zaglądając do środka w nadziei zobaczenia rzymskiego napisu. W tym momencie Siergiej rozpoznał Sama.

- Ależ ja cię znam - wykrzyknął, wskazując go palcem. Patrzył jednak na Gregora. - Przecież to facet z CIA. To ich agent.

- Co? - wyrwało się Deirdre.

- Widziałem go w zeszłym roku w Travniku. Mówi po naszemu jak swój!

Blondyn w brązowym garniturze wykorzystał zamieszanie, by sięgnąć po broń. Wyciągnął spod marynarki półautomatyczny pistolet, ale nie zdążył go użyć, bo Sam przestrzelił mu przedramię.

Gregor zdał sobie sprawę, że to jego szansa na ucieczkę. Uderzył Sama łokciami w żebra, zrobił unik pod jego wyciągniętą ręką i pobiegł w kierunku turystów.

Tymczasem Siergiej wydobyl broń i strzelił w plecy uciekającego Gregora. Strzał poszedł góra, w ostatniej chwili bowiem Vincent podbił mu ramię, słusznie przewidując, że kula wleciałaby w tłum turystów. Przeróżliwy huk wypełnił korytarz.

Ludzie zareagowali jak to ludzie po usłyszeniu strzału. Jedni rzucili się na ziemię, inni zamarli, wrzeszcząc wniebogłosy. Jeszcze inni szukali osłony przed ogniem, podczas gdy nieliczni ciekawscy bezwiednie ruszyli w kierunku strzałów. Gregor rozepchnął ich i zbiegł po kamiennych schodkach na arenę. Sprintem rzucił się w kierunku wyjść z drugiej strony. Deirdre odepchnęła Sama i ruszyła za nim. Jedyne Vincent pozostał bez ruchu, wpatrując się w Sama z odrazą.

- Jesteś gliną? - spytał wreszcie.

- Chłopie, nie rozumiesz, że chcą nas skłócić?

Drugi goryl miał już broń w rękę, podczas gdy blondyn w brązowym garniturze sięgał po swój pistolet zdrową lewą ręką. Jedyne Vincent pozostał bez broni. Rzucił się więc na stojącego Rosjanina z takim impetem, że zderzyli się obaj z przeciwległą ścianą. Sam zabił oszołomionego goryla trzema strzałami w pierś; kula, którą zabity zdążył wystrzelić w jego kierunku, nieprzyjemnie rykoszetowała od ścian korytarza. Wyleciała wreszcie przez wylot z tunelu, strasząc pozostałych turystów, którzy rozbiegli się z krzykiem.

Siergiej wpadł w panikę. Strzelił na oślep w kierunku mocujących się mężczyzn, wyrwał się Samowi, który usiłował go obezwładnić, i pobiegł w głąb korytarza. Sam dopadł Vincenta.

- Dostałeś?

Vincent podniósł się znad ciała mężczyzny, spojrzał pogardliwie na Sama i, nie odpowiadawszy, ruszył za Siergiejem.

Tymczasem blondynowi w brązowym garniturze udało się opanować broń lewą ręką i strzelał Vincentowi w plecy. Uderzeniem lewej nogi Sam złamał mu nadgarstek w dwóch miejscach i wyjącego z bólu pozbawił przytomności ciosami w twarz. Zostawił go leżącego na zimnych płytach podłogi i ruszył truchtem za Vincentem.

Larry, siedzący za kierownicą fiata zaparkowanego na Rue Diderot, na południe od amfiteatru, nie mógł nie usłyszeć strzałów. Silnik pracował, bo Larry spodziewał się szybkiego odwrotu, ale strzelanina zaniepokoiła go. Wygramolił się z wozu i rozejrzał po okolicy, zastanawiając, kiedy pojawi się policja. Syren nie było jeszcze słyhać, ale Larry wiedział, że ten błogi stan nie potrwa długo. Zatrzasnął drzwi fiata i oparł się o nie, omiatając wzrokiem oba krańce uliczki. Była zdumiewająco pusta. Nieliczni przechodnie zniknęli gdzieś w popołudniowych cieniach. Został tylko jeden człowiek - mężczyzna o jasnych włosach, ubrany w tweedową marynarkę. Szedł w jego kierunku.

Lany nie znał Seamusa Reilly'ego. Nigdy go nie spotkał, więc nie żywił żadnych podejrzeń w stosunku do tego Irlandczyka.

- Przepraszam - zagadnął go Seamus. - Szukam domu Van Gogha. Powiedziano mi, że dawno już został rozebrany. Może wie pan, gdzie on był?
- Spływaj, koleś.
- No, no, typowo amerykańska arogancja.
- Co powiedziałeś, gnido?
- Nic, nic, tłusty amerykański brzydalu.

Mimo tuszy, Seamus zaatakował z szybkością kobry. Wbił nóż w serce Tekszańczyka, wyciągnął ostrze równie szybko i jeszcze dla efektu poderżnął gardło. Larry nawet nie pisnął, tylko przewrócił białkami i byłby upadł, gdyby nie Seamus, który podtrzymał ciało i z wielkim wysiłkiem przeciągnął je na drugą stronę samochodu, gdzie pozwolił mu zwalić się między krawężnikiem a kołami.

Wróciwszy na jezdnię, wsiadł za kierownicę i czekał.

Goniąc za Siergiejem i Vincentem, Sam zgubił się w labiryncie wewnętrznych korytarzy amfiteatru. Szedł wolno to jednym, to drugim, nadsłuchując odgłosów i usiłując coś dostrzec w półmroku. Doszedł do skrzyżowania. Na lewo miał szerokie wyjście prowadzące na arenę, na prawo jeszcze jeden ciemny korytarz. Wydawało mu się, że słyszy jakiś ruch.

- Vincent - szepnął w miarę głośno - zapomnij o tym Rosjaninie. Musimy dopaść Gregora.

Pamiętaj o Paczce. Ten facet nic dla nas nie znaczy.

Nie uzyskał odpowiedzi, ruszył więc w głąb korytarza w kierunku domniemanego dźwięku. Oczy przyzwyczajają się powoli do ciemności. Minał kilka wnęk. Z czwartej wyłonił się Vincent, zachodząc go od tyłu i przykładając broń do potylicy.

- Dlaczego myślisz, że gonię Rosjanina? - wysapał. - Jesteś z CIA... Pięprzony glina. Niczym się nie różnicie. Powinienem zabić cię od razu.

Sam obrócił się twarzą do niego.

- Nie traćmy czasu, Vincent, przecież wiesz, że mnie nie zabijesz. A twój dług wobec mnie?

Musimy odnaleźć Gregora. Chodźmy.

Sam ruszył w kierunku wyjścia z tunelu, rysującego się jasną plamą w ciemnościach. Nie słysząc za sobą Vincenta, odwrócił się jeszcze raz.

- Vincent? - spytał.

Francuz wzruszył ramionami i schował broń. Zrobił może ze trzy kroki w kierunku wyjścia, gdy z przeciwległej wnęki wyskoczył na niego Siergiej. Chwycił go za szyję i przyłożył broń do skroni.

- Rzuć broń, bo go zastrzelę - zagroził Rosjanin.

- Zastrzelisz go? - Sam zaniósł się śmiechem. - A strzelaj sobie. Mnie nic do tego. Chyba nie myślisz, że mi zależy?

I już zaczął się odwracać, jak gdyby rzeczywiście cała sprawa w żadnym wypadku go nie dotyczyła. Będąc w półobrocie, przyklęknął i strzelił. Kula przeszła tuż obok głowy Vincenta.

Rosjanin klapnął na podłogę jak mokry ręcznik.

Skurcz palca na spuście był jednak wystarczający, żeby broń zabitego wystrzeliła. Pocisk odbił się od jednej ściany, od drugiej i ranił Sama w prawy bok, dokładnie między trzecim a czwartym zębem. Złapał się za bok i pochylił do przodu. Krew zalała dłoń.

- Cholera -jęknął. - Skurwysyn mnie trafił.

Vincent podtrzymał go.

- Dostałeś?

- Na złość tobie przeżyję, ale chyba chwilowo przeciekam. Czy możemy pójść poszukać Gregora, póki mam jeszcze dość paliwa?

Gregor zostawił range-rovera na Rue Balze naprzeciw Hotel de Ville, w sporej odległości od amfiteatru. Nie chciał rzucać się w oczy. Teraz jednak, uciekając przed Deirdre, pluł sobie w brodę.

Wyskoczył z amfiteatru południowym wyjściem i ruszył sprintem w dół Rue Diderot. W panice nie zauważył brązowego fiata stojącego przy krawężniku kilkadziesiąt metrów w głąb uliczki. Lewe drzwi wozu otworzyły się nagle tuż przed nim. Zderzył się z nimi, jak z murowaną ścianą.

Seamus wysiadł z samochodu i stanął nad rozpląszczonym na jezdni Gregorem. Przyłożył mu nóż do gardła.

- Gdzie jest walizka?

- Kim... kim jesteś?

- Wstań i wsiadaj do wozu.

- Kim jesteś?

- Pracuję z Deirdre. Odpowiada przede mną. Zrobisz, co ci każę, jeśli ci życie miłe.

Seamus otworzył tylne drzwi fiata i wepchnął do środka opierającego się Gregora. Siadł za kierownicą i znów powtórzył pytanie:

- Gdzie jest walizka?

W tym momencie Deirdre dopadła wozu. Ominęła ciało Lar-ry'ego i wsunęła się na miejsce pasażera.

- Musiałeś zabić biednego sukinsyna? Nie mogłeś po prostu dać mu w łeb?

Seamus zignorował ją całkowicie, pytając dalej:

- Gregor, gdzie jest walizka?

- W Paryżu - odpowiedziała za Gregora. - Nasz przyjaciel twierdzi, że wysłał ją pocztą na swoje nazwisko do Paryża - przeniosła lufę pistoletu na Gregora. - Zakładam, że nie kłamałeś, tam, w amfiteatrze?

- Tak, to znaczy, nie!

- No, to powiedz nam grzecznie, na którą pocztę?  
- Muszę osobiście podpisać odbiór. Zaprowadzę was. Bez żadnych sztuczek. Mam dość tej gry.  
- Musimy się stąd wynosić - zreflektował się Seamus. - Spływamy do Paryża.

Wrzucił pierwszy bieg i ruszył z piskiem opon.

Sam i Vincent zobaczyli tylko tylne światła fiata znikające za rogiem. Zatrzymali się nagle, rażeni myślą: "Co teraz?" Za ich plecami odezwał się władczy głos żądający czegoś po francusku. - Że co niby? - spytał szeptem Sam, odwracając się i widząc przed sobą policjanta.

- Nie opowiadaj, że nie rozumiesz. Facet powiedział: "Stać, bo strzelam."

## Rozdział 26

Policjant, który ich zatrzymał, podobną akcję widział chyba jedynie na starych filmach z Alainem Delonem. Krzyknął: "Stać bo strzelam", bo wiedział, że tak trzeba, ale zrobił to bez przekonania. Na widok ogromnych cezetek w ich rękach stracił resztę rezonu. Podobnie reagowali zapewne pierwsi chrześcijanie rzucani lwom na pożarcie. Jeszcze chwilę stał niezdeterminowany, po czym rzucił broń na jezdnię i zniknął równie nagle, jak się pojawił.

Vincent podtrzymał słaniającego się Sama.

- Znikamy stąd. Dasz radę?

- Znajdź samochód. Chyba nie potrzebujesz kluczyków, by go uruchomić?

- Masz jakieś preferencje co do marki?

- Nie wygłupiaj się.

Ruszyli i weszli prosto pod koła nadjeżdżającego citroena w kolorze śliwkowym. Kierowca zahamował z piskiem opon i wyskoczył, by im naubliżać.

- Może być citroen?

- Masz gust.

Oburzony Francuz zamilkł i zbladł na widok dwóch, skierowanych w swoją stronę pistoletów.

Zaczął się cofać. Vincent zatrzymał go, mówiąc po francusku.

- Słuchaj no, koleś. Jeśli przed upływem trzech dni powiesz komuś, że zginął ci samochód, wrócę tu osobiście i zrobię z ciebie mokrą plamę. Kapujesz?

Pomachał pistoletem przed nosem właściciela wozu.

- Tak - odpowiedział ten łamiącym się głosem.

- To spływaj. Nie zapomnij, co powiedziałem.

Mężczyzna uciekł biegiem.

- Coś ty mu tam klarował? - spytał Sam.

- Przedłużałem naszą umowę wynajmu.

Vincent pomógł Samowi wsiaść do citroena, po czym wsunął się za kierownicę. Syreny policyjne wyły, ale były wystarczająco daleko, by jeszcze się nimi nie przejmować. Vincent uruchomił silnik. Ruszyli w dół Rue Diderot, tą samą drogą, którą przebył jego fiat. Po kwadransie minęli most na Rodanie i wyjechali na drogę do Nimes.

- Zanim wjedziesz za daleko w las, muszę się tym zająć - powiedział Sam, oglądając świeżą krew na ręce w świetle zachodzącego słońca.

Vincent zdawał się nie słyszeć. Prowadził wóz w głębokim zamyśleniu.

- Po raz drugi ratujesz mi skórę - powiedział wreszcie.

- Chryste... -jęknął Sam. - Daj sobie spokój. Mogłem cię tam zabić. To było bardzo ryzykowne.

- A dziewczyna nas sprzedała.

- Na to wygląda.

- We Francji nazwalibyśmy ją suką.

- Mam wrażenie, że w Nowym Jorku też.

- Potrzebny ci lekarz.

- Też tak sędzę. Znasz tu kogoś? Jakiegoś zaufanego konowała?

- Nieszczególnie. Zobacz, czy nie ma w schowku jakiejś mapy. Szpitale są zaznaczone na niebiesko.

- Zapomnij o szpitalu. Może być prywatna praktyka, choćby weterynarz. Będą już zamknięci. Powiem ci, co masz zabrać, resztę zrobię sam.

- Opatrzysz się sam? Zgłupiałeś?

- Opatrzyłem Larry'ego. Teraz też sobie poradzę.

Vincent westchnął i zapalił papierosa. Podał go rannemu, a sam przypalił sobie drugiego.

- Dlaczego to robisz? - spytał wypuszczając z ust błękitny dymek. - Nie musisz uciekać. Przecież jesteś gliną.

- Niezupełnie.

- Pracujesz dla CIA... Według mnie, to to samo.

- Jakbym był gliną... prawdziwym gliniarzem, to bym was już dawno pozamykał. Tu nie chodzi o ciebie, ani o Deirdre czy Gregora. Chodzi o zadanie, które mam wykonać.

- Co to za zadanie?

- Nie twoja sprawa, Vincent. Ale nie mogę pójść do tutejszych glin. Nawet do Interpolu. Paczka jest trefna. Mam to wykonać sam, bez niczyjej pomocy. Albo...

- Wiesz, co jest w Paczce?

- Wiem. Stąd wiedziałem, że w tamtej była bomba. Ważyła za dużo. Vincent przetrwał tę informację w milczeniu.
- Tak. Zapomniałem o bombie. To już trzy razy uratowałeś mi życie.
- Jezu, czy ty nigdy nie przestaniesz?!
- Powiesz mi, co jest w tej walizce?
- Nie. To moja sprawa. Uwierz mi, ta informacja tylko utrudni ci życie.
- W każdym razie nasze wojska wykruszają się. Zostaliśmy my dwaj.
- My dwaj... Nie, Vincent, ty już też wypadłeś z tej gry. Dalej pójdę sam. Dowiedz mnie tylko do Paryża.
- Idę z tobą.
- Ciebie to już nie dotyczy. Zrozum. Nie mogę nawet zagwarantować, że dostaniesz swoje pieniądze.
- Nie w forsie rzecz. Nie teraz.
- Coś mi się wydaje, że nie chcę tego słuchać.
- Zawdzięczam ci życie. Mam dług...
- Tak, tak. Już to słyszałem. Wielki dług. Vincent, nie musisz tego robić.
- Właśnie, że muszę.
- Dobrze, dobrze. Nie będę się z tobą kłócić, bo przeciekam jak sito.

Masz plan?

- Mam przyjaciela, który nam pomoże. Można mu zaufać. Mieszka na fermie za Auxerre. To po drodze do Paryża. Wytrzymasz?
- Wytrzymam.
- Gabinet lekarski znajdziemy w Nimes.

Do odległego o dziewiętnaście kilometrów od Arles Nimes dotarli w kwadrans. Wjechali do miasta od południowego wschodu i zatrzymali się przy dworcu autobusowym, gdzie Vincent wypatrył budkę telefoniczną. Po chwili miał już adres gabinetu lekarskiego w pobliżu jednego z muzeów na Rue de la Cite, gdzie, jak przypuszczał, o tej porze dnia powinno być dość spokojnie.

Zadzwoił pod wskazany numer. Odezwała się automatyczna sekretarka informująca, że po godzinie siedemnastej gabinet jest zamknięty. Głos w słuchawce podał numer, pod który należało dzwonić w nagłych wypadkach, ale Vincent rozłączył się. Truchtem wrócił do Citroëna. W chwilę potem parkował wóz w odległości jednej przecznicy od gabinetu. Rozejrzał się.

- Co potrzebujesz? - spytał Sama.

Sam spojrzął na ranę, przypominając sobie, co jest potrzebne w takich sytuacjach.

- Dobra... Dużo gazy wyjałowionej. Będę musiał dość często zmieniać opatrunek, zanim dotrzemy do twego kumpla w Auxerre. Potem będzie potrzebna na właściwy opatrunek. Weź plaster, szczypcę, dwie kłamry,



może nawet trzy. Nie zapomnij o rękawicach jednorazowych; jeśli będą, weź dwie lub trzy pary. Staraj się brać te rzeczy w opakowaniach. Spirytus, weź kilka butelek. Igła i nici chirurgiczne. Chirurgiczne gąbki, ze dwie.

Zastanowił się, czy pamiętał o wszystkim.

- Chyba wszystko - odezwał się po chwili. - Powtórzyć?

- Nie trzeba. Chcesz morfiny?

Sam jeszcze raz spojrzął na krwawiącą ranę.

- Nie, morfiny nie.

## Rozdział 27

Mieszkanie, które Seamus wynajął na Rue de Glacon w Paryżu, czasy świetności miało już dawno za sobą. Wchodziło się po brudnych drewnianych schodach. Lokal mieścił się na trzecim piętrze w tylnej części domu, gdzie słońce nigdy nie zaglądało, a jeśliby zajrzało przez malutkie okna, nie przedarłoby się przez warstwy brudu na szybach. Zgniłozielone ściany w korytarzach obłaziły z farby. W kątach i pod ścianami zalegały śmiecie, zużyte igły i strzykawki. prostytutki wylegiwały się w otwartych drzwiach do niektórych mieszkań.

W środku było podobnie. Dwa skąpo umeblowane pokoiki, brudne i nieprzyjemne. W pierwszym stał turystyczny stolik, dwa krzeselka, rozpadająca się wersalka i rozpruty fotel, z którego wylaziła gąbka. W kącie, w pobliżu miniaturowego zlewu, stała niewielka lodówka i podgrzewacz do potraw.

W drugim pokoju znajdowało się podwójne łóżko i komoda. Pomieszczenie nie większe od szafy, z pękniętą muszlą klozetową i górnym rezerwuarem ze spłuczką na łańcuchu, służyło jako łazienka.

Podróż z Arles była długa i męcząca dla nich wszystkich. Nie dali zasnąć Gregorowi, który siedział skuty kajdankami na tylnym siedzeniu. Wyczerpany, łatwiej odda Paczkę. W konsekwencji sami nie zmrużyli oka. Mimo to Gregor utrzymywał, że na poczcie przesyłkę wydadzą tylko jemu osobiście.

Do Paryża przybyli o świcie.

W hotelu Seamus pierwszy wszedł po schodach, ciągnąc Gregora za sobą. Deirdre zamykała ich mały pochód. W miejscu takim jak to widok mężczyzny w kajdankach, którego ktoś gdzieś ciągnie, nie zwracał uwagi. Tu nie wtrącano się w cudze sprawy.

W pokoju Seamus, złapawszy Gregora za kark, pchnął go brutalnie do sypialni, a potem do łazienki. Gregor potknął się, stracił równowagę i ru-

nał, uderzając głową o muszlę. Trzymając go za koszulę na piersi, Seamus uderzył go kilkakrotnie w twarz. Z ust Gregora popłynęła strużka krwi.

- Co ty? - Gregor zakaszłał krwią. - Chcesz mnie zabić?

Seamus uśmiechnął się sadystycznie.

- Nie tak szybko. Dopiero jak dostanę towar.

Zatrzasnął drzwi. Wrócił do Deirdre, która siedziała na wersalce w pierwszym pokoju. Ukryła twarz w dłoniach.

- Jest mój - powiedziała przez palce - jak już będzie po wszystkim.

Seamus roześmiał się.

- Nareszcie. Taką cię znałem.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zaperzyła się mimo zmęczenia.

- Bałem się, że zmiękłaś. Tak długo nie było cię z nami.

- Wcale nie tak długo. I nie byłam tak daleko.

- No tak, ale życie najemnika, dobrze opłacanego najemnika...

Deirdre zmierzyła go lodowatym spojrzeniem.

- Myślisz, że zmieniłam się? Przyzwyczaiłam do pieniędzy?

- Zdarza się - Seamus obojętnie wzruszył ramionami.

- Mnie nie. Przecież mnie znasz.

- Miałem takie wrażenie.

Deirdre skoczyła na równe nogi, z bronią wymierzoną w Seamusa.

- Nie znasz mnie, jeśli sądzisz, że nie zabiję za taką obrazę, nieważne, czy to ty, czy ktoś inny!

Odejdę od ciebie, ale nie będzie to z powodu forsy!

Zaśmiał się odsuwając pistolet od siebie.

- Wybacz, że sprawdzam, dziewczyno, ale muszę. Ostatnie wydarzenia trochę mnie zaniepokoiły.

Nienawidziła go za ten ton, ale zastanowił ją sens wypowiedzi.

- Które wydarzenia masz na myśli?

- Sama mi powiedz.

- Czego chcesz? Mam przyznać, że spieprzyłam robotę? O to ci chodzi?

- Nikt ci nie kazał wynajmować Gregora.

Deirdre zagryzła wargi.

- Jasne - odezwała się przez zaciśnięte zęby - A kto zatwierdzał wszystkie moje decyzje? Po co zabiłeś Jankesa, jedyne, któremu pewnie mogliśmy zaufać?

- Powinienem był poczekać w Arles i sprzątnąć też tego drugiego. Nie zostawi nas w spokoju, o ile się nie wykrwawi.

Obserwował uważnie jej reakcję na te słowa, ale Deirdre zachowała kamienną twarz.

- Cóż, uratujemy go dla ciebie. Zadowolona...? Kiedyś to lubiłaś. Pamiętasz? Kiedyś sprawiało ci to przyjemność.

- Robiłam, co do mnie należało. Nic więcej.

- Jasne. Wtedy miałaś cel. Czy to chcesz powiedzieć? Wierzyłaś w coś!

Robiłaś to dla chwały?

Ojczyzny?

Odwróciła się do niego tyłem.

- Jestem zmęczona, Seamus. Zabierz go stamtąd. Muszę odpocząć.

Seamus chwycił ją za rękę i zmusił do spojrzenia mu w twarz.

- Może chodzi o wiarę w coś. Czy to twoje uzasadnienie? Może gdzieś w środku... było kiedyś coś innego? Widziałem to w twoich oczach! Lubiłaś to? Zastawianie pułapki... Zaskoczenie na końcu?

Zdrada? Tak... zdradę chyba najbardziej.

Usiłowała wyrwać się z jego uścisku, ale nie mogła.

- Wtedy w Irlandii, lubiłaś to, kochanie. Zdrada. Miałaś wtedy poczucie władzy, prawda? Słodkie poczucie władzy. Tutaj wszystko jest czarno-białe do bólu. Zgadłem, prawda?

Chciała wyrwać rękę z jego uścisku.

- Nie próbuj, kochanie.

Seamus trzymał ją coraz mocniej, uśmiechając się sadystycznie.

- Dobra z ciebie katoliczka, Deirdre. Nie umiesz kłamać, nigdy nie umiałaś... Tak myślałem.

Dobrze ci radzę, nie zapomnij, skąd się wywodzisz.

- Może kłamię, może nie, ale, Seamus, ty uważaj... Nie ma już tamtej miłej dziewczynki. Nie wróci. Byłbyś osłem, gdybyś sądził, że uda ci się ją przywrócić.

## Rozdział 28

Citroen sprawował się doskonale. Miał dobre resory, nie mówiąc już o silniku. W efekcie dotarli do Auxerre godzinę wcześniej niż Vincent przewidywał. Dobrze się złożyło, bo Sam mógł nie przeżyć dłuższej jazdy ze względu na utratę krwi.

Kumpel Vincenta, Jean-Pierre, okazał się być mężczyzną mocno starszym, zdecydowanie po sześćdziesiątce. Posturą przypominał Larry'ego, miał siwiejące wąsy i śmiał się zaraźliwie, pokazując przy tym dwa złote zęby. Czekał w drzwiach, gdy podjechali. Vincent zdążył go zawiadomić z drogi.

- Jesteś szybciej - powiedział po francusku. - Miło znów cię widzieć. Schudłeś?

Objęli się na przywitanie.

- Nie, Jean-Pierre, nie schudłem. Ten facet, o którym ci mówiłem, jest w samochodzie. Stracił dużo krwi...

Pomóż mi wnieść go do środka.

Wrócili do Citroëna. Vincent pomógł Samowi wysiąść. Po zdawkowym przywitaniu mężczyźni ujęli Sama pod ręce i pół ciągnąc zaprowadzili do środka.

Domek był schludny, utrzymany w typowym francuskim wiejskim stylu. Ustawione w salonie dioramy przedstawiały znane z historii bitwy. Miniaturowe ołowiane żołnierzyki wyglądały jak żywe. Na ich przyjazd Jean-Pierre przygotował stół w kuchni, przykrywając go ceratą, a na wierzchu prześcieradłami.

- Dobrze - pochwalił Sam, z trudem ściągając koszulę. - Ktoś musi mi asystować. Zagracie w marynarza?

Jean-Pierre pokręcił głową i wycofał się szybko.

- Vincent, wygląda na to, że padło na ciebie.

Sam położył się na stole i przekręcił na lewy bok. Podniósł prawe ramię odsłaniając ranę.

- Jean-Pierre, potrzebuję więcej światła i lusterko. Vincent, umyj ręce i włóż rękawice. Pospiesz się.

Sam zdjął tymczasowy opatrunek i wrzucił go do kosza usłużnie podsunętego przez Jean-Pierre'a.

Usiłował obejrzeć ranę, ale kula rozerwała ciało nieco z tyłu klatki piersiowej i niewiele widział. Jean-Pierre wrócił z lampą, którą włączył do kontaktu i ustawił nad stołem. Przyniósł też spore lustro w orzechowej rzeźbionej ramie.

- Doskonale - orzekł Sam. - Trzymaj lustro tak, żebyśmy coś widział. Vincent, weź gąbkę, spirytus i obmyj okolice rany.

Vincent zabrał się do dzieła. Sam syknął z bólu.

- Może strzelisz sobie lufkę na uśmierzenie bólu? - zaproponował Jean-Pierre.

- Nie, nie chcę niczego. Kości są całe, a ból jest w głowie. Liczę, że go opanuję.

Patrząc w lustro, Sam dyrygował Vincentem.

- Okej, weź teraz klamry. Przyczep jedną do tego wiszącego płata skóry, niech samym ciężarem odciągnie go w dół. Dobrze... Tamtymi złap resztę skóry, niech zwisa do przodu. To powinno wystarczyć. Odsącz krew gąbką. Cholera, nic nie widzę.

- Jest - rzekł Vincent, gdy już wykonał wszystkie polecenia Sama. - Kula siedzi jakieś dwa i pół centymetra w głąb.

- Tak... też ją widzę.

- Na pewno wiesz, co robisz?

- Koleś, usuwałem facetowi wyrostek robaczkowy łyżeczką do grejpfratów... No, kończmy tę zabawę...

Vincent i Jean-Pierre spojrzeli po sobie bezsilnie.

- Przemyj spirytusem - polecił Sam. - Oczyszć ze świeżej krwi. Auuu, rany, ten spirytus dopiero mnie załatwi... rety... - Chwilę wpatrywał się w sufit, wreszcie zacisnął powieki i potrząsnął głową. -Jezu... - Otworzył oczy. - Dobrze. Już. Jean-Pierre, lustro. Trochę w lewo. Tak trzymaj. Vincent, weź szczypce. Pamiętaj, to rutynowa operacja na polu bitwy. Robiłem to wielokrotnie i nikt nie umarł. Nie jesteś w stanie mi zaszkodzić, nawet gdybyś chciał. Zanim zaczniesz wyciągać kulkę, upewnij się, że się nie wyśliznie.

Vincent trzymał szczypce w prawej ręce, a zakrwawioną gąbkę w lewej. Usiłował zacisnąć końce przyrządu na pocisku, ale zrezygnował. Odsączył wciąż napływającą krew i jeszcze raz spróbował.

Bezskutecznie.

- To cholera jest śliskie od krwi, bardziej od samej La Gre-nouille! - Żaba - podsunął Jean-Pierre.

- Nie sądziłem, że wy, Francuzi, docenicie to słowo...

- O ile wypowiada je Francuz...

- Dobra, Vincent. Spróbuj jeszcze raz.

Vincent wprowadził szczypce do rany.

- Spróbuj sięgnąć głębiej, tak by dobrze ją chwycić. Powiem ci, jeśli będzie coś nie tak.

- Cholera, Sam, żeby nie ta krew... Nie widzę jej.

- Chrzań to, Vincent. Musisz to zrobić teraz. Masz ją? Przecież jest dokładnie pod ręką.

- Jest.

- Wyczuwaj ją. Nie rezygnuj. Już prawie w domu... Jeszcze milimetr, dwa... Czujesz? Czujesz? Złap to cholera!

- Mam ją.

- Dobrze, teraz jej nie zgub. Powoli. Trzymaj mocno i powoli wyciągaj. Nie spiesz się.

Właśnie... tylko powoli.

- Mam ją! Sam, udało się! Wyszła!

Vincent położył okrwawioną kulę na dłoni Sama.

- Masz, pamiątka z Francji.

- Wolałbym widokówkę. - Obejrzał z bliska pocisk.

- Mówisz, że pamiątka z Francji? Gdzie tam, ten suvenir pochodzi prosto z Rosji. Na dodatek, ten palant Siergieja pokrył go teflonem. Dobrze, że odbił się od kilku ścian, zanim mnie trafił.

Wyrzucił kulę do kosza i spojrzął na Francuzów.

- Tu się pali?

Jean-Pierre zapalił i podał mu gauloise'a. Sam zaciągnął się dwa razy.

- Vincent, zaszyjesz mnie bez mojego udziału?

- Oui.

- Pozwolisz więc, że się oddalę w niebyt...

Sam był blady jak ściana. Gwałtownie opuścił głowę, uderzając o drewniany stół. Stracił przytomność.

## Rozdział 29

Kiedy Sam stracił przytomność, papieros wypadł mu z warg na gładkie deski podłogi. Jean-Pierre podniósł go i podał Vincentowi, który wetknął go w kącik ust i zajął się zaszywaniem rany. Odchylił głowę lekko na bok, żeby popiół przypadkiem nie wpadł do rany i żeby zmęczone oczy nie łzały od dymu. Rozmawiali teraz po francusku.

- Twardziel z niego - rzekł z uznaniem Jean-Pierre, zapalając papierosa. Vincent przytaknął.

- Przypomina mi towarzyszy broni z Dien Bien Phu w pięćdziesiątym czwartym. Nie umieli przestać nawet wtedy, gdy trzeba było wziąć d.. w troki i spierdalać.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby on też tam był. Sam był w wielu bitwach. Jean-Pierre nie odrywał wzroku od Vincenta.

- Powiesz mi, kto to?

- Czy to ważne?

- CIA?

- Zdumiewasz mnie, przyjacielu... Masz rację, pracował dla CIA.

- Tyle to sam wiem. A teraz?

- Niełatwo coś z niego wydobyć. Gadują to on nie jest.

- Widzieliśmy, co tu zrobił... Robiłem to samo w południowo-wschodniej Azji, ale nigdy na sobie... Na innych tak, na sobie nigdy. Nie mogłem teraz. Wracać w ten sposób do Wietnamu... Krew... szpital polowy... ludzie ginący bez sensu. Co tam ludzie, ledwie chłopcy, dziesiętnastolatki. Ten ból mnie przytłacza... tyle lat... wspomnienia... Ale ten facet... Czemu robił to sam? Wiesz, jeśli jest z CIA, to wystarczyłby jeden telefon. To nie Indochiny. Jesteśmy we Francji.

- Skąd mam wiedzieć? - warknął Vincent wruszając ramionami.

- W takim razie powiedz, dlaczego ty to robisz?

Vincent zignorował go i poszukał świeżej gąbki. Nasączył ją spirytusem i przemył ranę. Nałożył opatrunek. Jean-Pierre zaśmiał się znacząco.

- Ho, ho, milczysz. Czternastolatek wrócił - powiedział Jean-Pierre. - Wiem, że ci uratował życie.

Tym razem Vincent zawtórował mu śmiechem.

- Jestem dla ciebie jak otwarta księga, staruszk. Padam z nóg. Muszę się przespać. Pogadamy rano.

Zdjął gumowe rękawice i wyrzucił je do kosza. Odkręcił kran i umył się nad zlewem.

- Masz rację. Już późno. Vincent...?

- Co?

- Jeśli już musisz z nim iść, to twoja sprawa. Rozumiem to aż za dobrze. Proszę cię jednak, nie daj się zabić dla niego. Mam ciebie jednego.

## Rozdział 30

Zbudził się przed dziewiątą. Poczował aromat dobrej, mocnej kawy. Francuskiej kawy. Przetarł oczy, usiłując przypomnieć sobie, gdzie jest. Vincent zostawił go na kuchennym stole, przykrytego grubym kocem. Dzbanek z kawą stał w pobliżu, na wyciągnięcie ręki.

Spuścił nogi i usiadł powoli, krzywiąc się z bólu. Podniósł prawe ramię i obejrzał opatrunek.

Kusiło go, aby obejrzeć samo szycie, przynajmniej policzyć szwy, ale powstrzymał się. Zarzucił koc na ramiona i, myszkując po szafkach, znalazł kubek. Nappełnił go kawą i przeszedł do salonu.

Jean-Pierre nachylał się nad jedną z dioram, wykorzystując szczypcę, którymi w nocy Vincent wyciągał kulę, w zupełnie innym celu - ustawiał świeżo pomalowanego żołnierzyka w samym środku bitewnego zgiełku.

- Cieszę się, że znalazłeś lepsze zastosowanie dla nich - skomentował Sam. - Bon jour. Dzień dobry. Dzięki za pomoc. Widziałem, że nie byłeś wcale zachwycony tą akcją wczoraj... Doceniam to.

Jean-Pierre oderwał wzrok od żołnierzyków i zdjął okulary, których używał do czytania.

- Lepiej?

- Nie mam wyboru. Mam zadanie do wykonania... Poważnie jednak, czuję się zdecydowanie lepiej.

Przyjrzał się ołowianej bitwie rozgrywającej się na stole.

- Japończycy, co?

Jean-Pierre przekrzywił głowę na bok.

- Człowiek się starzeje. Musi czymś wypełnić wolny czas.

- Tak... znałem takich. Znaczą się, miałem przyjaciół, chcieli przenieść się do Montany i hodować bydło...

Spojrzenie, które wymienili, powiedziało im więcej od słów.

- Gdyby żyli... pewnie by to zrobili... Bon - Jean-Pierre wrócił wzrokiem do dioramy. - Przynajmniej nie stracili iluzji.

- Słusznie.

- Twoi przyjaciele, kim byli?  
- Przyjaciółmi.  
- Dobrze, zacznę z innej beczki. Kim ty jesteś?  
- Takim samym facetem jak ty, tylko że przed emeryturą.  
- Vincent nie przesadzał, mówiąc, że niełatwo wyciągnąć z ciebie cokolwiek. Wiesz, co to za bitwa? - spytał Jean-Pierre wskazując szczypcami stojącą przed nim scenę. - Powinieneś. Nosisz ich imię. To czterdziestu siedmiu roninów.

- Nigdy o nich nie słyszałem.

- Trudno mi w to uwierzyć, ale skoro tak utrzymujesz... Posłuchaj i powiedz, czy dobrze pamiętam... Czterdziestu siedmiu samurajów, których mistrz został zdradzony i podstępnie zgładzony przez innego wielkiego wodza. Stali się roninami, bezpańskimi samurajami zhańbionymi zdradą innego człowieka. Trzy lata planowali zemstę, udając złodziei, najemników, nawet szaleńców. Pewnej nocy uderzyli. Wdarli się do zamku mordercy ich pana.

- I...

- Zabili go oczywiście.

- To tak jak ja.

- To jeszcze nie koniec.

- Zapewne.

Jean-Pierre podniósł zmęczone oczy i spotkał błękit oczu Amerykanina.

- Wszystkich czterdziestu siedmiu popełniło seppuku - rytualne samobójstwo. Na dziedzińcu tego zamku.

- Hm... Tę część to bym sobie odpuścił.

- Ale przecież ich rozumiesz.

- Nie licz na to.

- Kodeks wojownika, radość z walki... To rozumiesz. Wreszcie kodeks honoru.

Sam nie odpowiedział. Udawał, że ogląda inne dioramy.

- To różne wojny... - ciągnął Jean-Pierre - ale zasada ta sama, uniwersalna.

- Tak naprawdę, to zapaliłbym.

Jean-Pierre wyjął z kieszeni koszuli paczkę gauloise'ów, poczęstował Sama i siebie. Zapalili.

- Założę się, że wiesz, o co mi chodzi - ciągnął Jean-Pierre. - Człowiek ma w sobie coś, co domaga się spełnienia. Kiedy zabraknie tego, kiedy nie ma już wiary, co wtedy? Stajesz się człowiekiem bez pana.

- W tej chwili jestem facetem bez wynagrodzenia.



- Samuraje, o których ci opowiadałem, mogli najać się u innego pana, mogli też walczyć na własny szcnot. Wybrali jednak inną drogę... Drogę honoru. - Źle wybrali.

Jean-Pierre potrząsnął głową z niedowierzaniem.

- Widzisz - odezwał się Sam czując, że powinien wyjaśnić. - To jest tak. Wszyscy jesteśmy albo alfonsami, albo prostytutkami, albo gliniarzami. Trzeba tylko wiedzieć, kogo jak zaklasyfikować. Jak to potrafisz, jesteś panem.

Jean-Pierre wskazał na dioramę.

- A honor? Nie ma miejsca dla niego w twoich kategoriach?

Sam milczał.

- A roninowie, jaka to kategoria według ciebie? -Jean-Pierre nie dawał za wygraną.

- Prostitutki? A może to pytanie retoryczne?

- Sam, nie oszukuj się. Jesteś jednym z ostatnich takich samurajów. Wiesz, całe życie miałem do czynienia z niezwykłymi ludźmi, ale żaden z nich nie byłby zdolny do tego, co zrobiłeś wczoraj. To nie dla forsy... Masz dług honoru... Kodeks.

- Samuraje mają swój kodeks, Busido. Może masz rację, Jean-Pierre? Może nie wszyscy mieścimy się w kategoriach alfonsów, prostytutek i gliniarzy. Może samurajowie to całkiem odrębna grupa? Nie umiem powiedzieć. Nigdy nie spotkałem samuraja.

Jean-Pierre roześmiał się.

- Mój drogi chłopcze, spodziewałem się, że umiesz lepiej kłamać.

Wszedł Vincent, zaspany jeszcze, trzymając w ręku kubek kawy.

Postawił go na stoliczku.

- Bonjour, panowie. Nad czym tak dyskutujecie od samego rana? Przed drugą kawą? - zobaczył prawie pełny kubek Sama. - Co tam, przed pierwszą kawą! Gęby otworzyć się nie da!

- Wymieniamy poglądy, dlaczego ojcowie puszczają synów na wojnę, skoro byli tam i wiedzą, co to znaczy - wyjaśnił Sam.

Francuzi obaj drgnęli, co nie uszło uwagi Sama.

- Patrzcie, patrzcie, ależ bomba salonowa... - powiedział niby do siebie.

Spojrzał na zegarek.

- Kochani, przykro mi, że wpadam jak po ogień, ale muszę te zakrwawione szczątki mej osoby przetransportować do Paryża - rzucił okiem na Vincenta. - Słuchaj, czy francuska poczta dostarczy paczkę do Paryża w jeden dzień?

- Są wyjątkowo skuteczni. Jeśli wysłał ją wczoraj, to Paczka dotrze dziś popołudniu.

- Niestety, nie wiemy, na którą pocztę.

- Myślę, że będzie łatwiej zlokalizować Irlandczyka, niż pocztę. Masz jednak rację. Jeśli mamy jechać do Paryża, to czas na nas.

- Na nas?

- Na nas.

Sam spojrzął na Jean-Pierra, który westchnął ciężko.

- To duży chłopiec. Zresztą, czy ty byłeś kiedykolwiek posłuszny własnemu ojcu? Jakoś nie sądzę.

Vincent zignorował ich.

- Znam w Paryżu faceta, który da nam namiary na Irlandczyka.

- Vincent...

- Wiem, wiem, nie mówmy już o tym. Mam dług...

- Stop - nie wytrzymał Sam. - Przestań mówić o długu. Dość tego busido.

Wyciągnął rękę do starca.

- Dziękuję.

- Seppuku.

- Co takiego?

- Seppuku. Wypruwanie wnętrzności.

Jean-Pierre wskazał na podbrzusze i uśmiechnął się szeroko. - Jak przyjdzie pora... Wbijasz miecz gdzieś w te okolice.

## Rozdział 31

O dziewiątej trzydzieści rozpadało się. Paryżanie powyciągali letnie parasolki, mimo że była to tylko mżawka. Jezdnie zrobiły się mokre i śliskie, asfalt błyszczał jakby wysypano go czarnymi diamentami. W taki dzień największy amator zrobiłby mistrzowskie fotografie, nawet zwykłym sprzętem. Cóż za refleksy, jakie cienie i szarości, te klimaty są możliwe tylko w Paryżu, myślała Deirdre, siedząc w fiacie zaparkowanym na Rue le Peletier przed budynkiem poczty, do którego weszli Seamus z Gregorem. W Irlandii też padało, ale francuski deszcz sprzyjał zamyśleniu.

Zużyte wycieraczki nie zbierały wody, jak powinny, i Deirdre stwierdziła, że musi przechylić głowę w prawo, żeby widzieć wejście na pocztę. Seamus zdjął Gregorowi kajdanki, żeby nie budzić niepotrzebnych podejrzeń, cały czas jednak trzymał w ręku rewolwer z tłumikiem, przykryty przewieszonym przez rękę, teraz mokrym, płaszczem. "Wcale nie mniej podejrzane od kajdanków" - pomyślała Deirdre.

Spojrzała na zegarek. Jeśli nie wyjdą przed upływem dziesięciu minut, należy spodziewać się kłopotów. Wówczas wchodzi jako obstawa Seamusa. Sprawdziła broń. Wprowadziła ładunek, odciągnęła zamek. Położyła

odbezpieczony pistolet na siedzeniu obok. Przyglądała się strugom deszczu spływającym po szybie. Oparła głowę o podglówek.

Pomyślała o Samie.

Akcja miała być absolutnie w porządku. To znaczy, bez wystawiania kogokolwiek. Cieszyła się z tego powodu - szczególnie po nocy spędzonej z nim. Żadnych przekrętów, prosta wymiana, forsa za towar. Potem każdy dostaje swoją działkę i odchodzi.

Gregor popsuł to. Przez niego Seamus wkroczył do akcji. Nie musiał zabijać Larry'ego i po co było podpuszczać Sama i Vincenta? Sam... "Jezu - pomyślała - co ten facet mi zrobił? Co się dzieje ze mną? Jak mogłam wpaść tak w jego sidła?" Potrząsnęła głową w złudnej nadziei, że jej przejdzie. Czy Siergiej miał rację, mówiąc, że Sam pracuje dla CIA? Czy Paczka była rzeczywiście aż tak trefna? Wreszcie, czy możliwe, że Sam nabrał wszystkich?

Rozważała właśnie, czyją też nabrał, gdy w drzwiach poczty pojawili się Seamus i Gregor. Żaden z nich nie niósł teczki. Seamus prowadził Gregora, trzymając na jego plecach rękę uzbrojoną w rewolwer przykryty płaszczem. Wepchnął go do wozu i sam wsiadł obok Deirdre.

- Zjeżdżamy. Na Rue de Glacon, zanim zajmą się nami gospodarze.

- Gdzie teczka? - spytała, nie dowierzając.

- Jedź.

- Gdzie jest ta cholerna teczka?

- Mamy... mały problem... - wyjąkał Gregor z tylnego siedzenia.

- Gówno problem - wybuchnął Seamus. Odwrócił się na siedzeniu i przyłożył lufę pistoletu do czoła Gregora z taką siłą, że z rany nad okiem pociekła strużka krwi.

- Jeśli kłamiesz, Gregor, to koniec. Zdajesz sobie sprawę? Nie znoszę, gdy gra się ze mną w kotka i myszkę.

- Co się stało? - dopytywała się Deirdre.

- Nic - odparł Seamus, odwracając się do przodu i zapalając papierosa. -

O to chodzi, że nic.

Ruszysz wreszcie, do cholery? Nic się, u licha, nie stało.

- Paczka nie przyszła - wymamrotał Gregor. - W Arles powiedzieli, że dojdzie przez noc.

Przysięgam.

Seamus obrócił się gwałtownie i chwycił Gregora za koszulę na piersi. Pociągnął nieszczęśnika do przodu tak, że żarzący się czubek papierosa znalazł się tuż przy oku Gregora.

- Wiesz, co mawiają, Gregor? W krainie ślepców jednooki jest królem. Chcesz zostać królem, Gregor? Chcesz?

Gregor zacisnął powieki, usiłując odchylić głowę jak najdalej od papirosa.

- Następna poczta przyjdzie po południu -jąkał się. - Słyszałeś, co powiedziała panienka? Apres-midi, apres-midi, tak mówiła. To znaczy, że dziś po południu. Wrócimy... Przyjdzie, przysięgam.

Seamus opanował się równie szybko, jak wybuchł. Poklepał Gregora po policzku i uśmiechnął się sadystycznie.

- Miejmy nadzieję... Lepiej, żeby przyszła. Nie tylko dla ciebie.

## Rozdział 32

Wypożyczalnia wideo, której właścicielem był Eugene, stała w samym środku paryskiej dzielnicy Saint Germain des Pres, na Rue Jacob, w pobliżu muzeum Delacroix. Eugene urodził się w Ameryce, pochodził zaś od murzyńskich niewolników, przywiezionych kiedyś z Afryki. W Paryżu znalazł się w 1969 po odsłużeniu trzynastu miesięcy w Wietnamie, dokąd trafił jako żołnierz piechoty morskiej, wcielony niezupełnie świadomie przez cwanego werbownika z Południowego Bronxu. Zrobił, co do niego należało, za co otrzymał kilka medali za odwagę. Zdemobilizowany, poszedł na piechotę z San Francisco do Newark, gdzie wsiadł na pokład samolotu linii Delta do Paryża i tyle go widzieli. Ciężkie czasy przyszły dopiero w połowie lat osiemdziesiątych, gdy kobieta, z którą żył, zachorowała i w ciągu dwu lat umarła na raka żołądka, zostawiając go bez środków do życia.

Wtedy poznał Vincenta.

Polubili się od razu, jakby ulepieni z tej samej gliny. Za pieniądze Vincenta urządził interes z wypożyczalnią wideo. Sklep okazał się kopalnią złota. Jeden z pierwszych tego typu w Paryżu, obecnie dysponował ponad dziesięcioma tysiącami tytułów w dwudziestu językach. Potrzebna ci pakistańska wersja Siedmiu wspaniałych? Nic prostszego, znajdziesz ją u Eugene'a.

Eugene nie zapominał o Vincencie. Odplacał się, nie tyle w pieniądzu, bo Vincent nie chciał o tym słyszeć, ale w informacjach. Eugene znał wszystkich, których warto było znać... i zawsze był o oczko lepszy. Jeśli coś działo się w Paryżu, Eugene albo już o tym wiedział, albo mógł się dowiedzieć.

Błyskawicznie. Dla Vincenta Eugene stanowił główne źródło informacji.

Gdy Vincent i Sam weszli do wypożyczalni, Eugene roztrząsał z klientem niuanse dwóch znanych filmów z Bruce'em Lee. Mówił po francusku bez śladu amerykańskiego akcentu.

- To wspaniałe filmy. Spodobają się panu, i jeden, i drugi. Ten to bardziej studium charakterologiczne, ten drugi - wskazał palcem - to czysta sensacja. Ten sam reżyser, co świadczy o klasie. Jaka zmienność!

Obrócił się, żeby sięgnąć po kasetę i w tej chwili zauważył nowych gości. Pomachał ręką na powitanie.

- Cześć, chłopie, co sprowadza cię w te rejony?

- Filmy, a co myślałeś?

- A ten gringo? - Eugene wskazał na Sama. Sam spojrzał po sobie.

- Od razu widać? - wymamrotał.

- Koszula, mój drogi. Nie jest to szczyt mody paryskiej.

- To jego. Pożyczona - Sam wskazał kciukiem Vincenta. - Oddam mu, jak tylko otworzą tu sklep Braci Brooks.

- No, no, chłopcy... Ależ z was przyjaciele. - Eugene puścił oko do Vincenta. - Slipki też ma twoje? - zaśmiał się i przyjacielsko zarzucił ramię na plecy Vincenta.

- Co słyszeć, chłopie? Dawno cię nie widziałem, chyba ostatnio jak dinozaury wymarły! Co porabiasz?

- Niewiele... Wiesz... To, co zwykle.

Eugene jeszcze raz spojrzał ciekawie na Sama.

- Przedstawisz go?

- Przepraszam, Eugene. To jest Sam Ronin.

- Ronin? Ronin!? - Eugene udał wielkie zdziwienie. - Le samuraj? Ale gdzie twój wizerunek Alaina Delona?

Ponieważ Vincent nie dał się sprowokować do żartów, Eugene zrozumiał, że sprawa jest poważna. Natychmiast spoważniał.

- Tak... W czym mogę pomóc?

- Opowiadałem Samowi, że masz wszystkie nowości. Jak tylko coś wyjdzie, Eugene już to ma.

- Słusznie... - Eugene zerknął na klientów w sklepie. - Może przenieśmy się do mnie do biura? - wszedł za kontuar i otworzył duży segregator zawierający tysiące tytułów i streszczeń filmów.

- O jaki film wam chodzi? - spytał rzeczowo.

- Coś szczególnie świeżego? Z ostatnich dni. Eugene oparł się o ladę i zamyślił.

- Skoro już o tym mowa, słyszałem o takim jednym... Osobiście nie widziałem, ale to, co słyszałem, brzmi dobrze.

- O czym jest?

- Międzynarodowa afera. Kilku ludzi... Wybrani specje-kryminaliści z całego świata do wykonania zadania. Najciekawszy wątek to konfrontacja mafii rosyjskiej z IRA.

- Właśnie ten. Masz go w całości?

- Nie - Eugene przerzucał kartki w segregatorze. - Tylko zwiastuny, a raczej tylko zapowiedzi, czujesz? Kilka krótkich kawałków. Potrzebujesz wersję po rosyjsku czy irlandzku?

- Niech będzie irlandzka - wtrącił Sam. Eugene uśmiechnął się. - Łatwiej byłoby o rosyjską.

- Dlaczego?

- Gwiazda większego formatu. Bardziej widowiskowa produkcja.

- Mimo to zacznijmy od wersji irlandzkiej, dobrze? Jak już będzie wiadomo, co i jak, tłumaczenie po rosyjsku nie będzie potrzebne. Czasami jest za ogólne.

- Dobrze - zgodził się Eugene. - Chcesz irlandzką, będzie irlandzka. Z tego, co słyszałem, jest tam całkiem brutalna scena z parą byłych bojowników IRA ciągnących jakiegoś faceta w kajdankach po schodach zaszyfowanej paryskiej kamienicy.

- IRA?

- Tyle wiem.

- Kto jest gwiazdą? - spytał Vincent.

- Trudno orzec, kto tu gra główną rolę. Producent irlandzki ma tu swego przedstawiciela.

Nazywa się Seamus Reilly.

- Stary Seamus - westchnął Sam.

- Znasz go? - spytał Vincent.

- Jasne, że znam... Mam wrażenie, że dostał od producentów takiego samego brązowego fiata, jak twój.

- Aha, ten Seamus Reilly.

- Właśnie. Słyszałem, że ten facet to poważny irlandzki auteur - dorzucił Eugene. - Prawdziwy dynamit. Zdaje się, że jego bracia producenci o bardziej stonowanych poglądach zabrali się za filmy o pokoju i miłości.

- Być może wiesz, gdzie kręcili tę scenę? - zapytał Vincent. - Znaczy się, tę z facetem w kajdankach?

Eugene ponownie zagłębił się w swych notatkach w segregatorze.

- Czasami zapisuje się takie informacje w notatkach o produkcji. Oho, mam... Rue de Glacon 35.

Gdzie to jest, do diabła? - podniósł głowę znad segregatora. Na twarzy malowało się zdumienie.

- Pewno dałoby się znaleźć... Oczywiście, gdyby komuś na tym zależało - wzruszył ramionami Vincent.

- Dlaczego patrzysz na mnie? - zaprotestował Sam.

## Rozdział 33

- Za rogiem, niedaleko - powiedział Vincent, rzucając peta do rynszotka. Wrzucił bieg i ruszył powoli. - Może uda się zaparkować gdzieś bliżej, skąd widać wejście do budynku.

- Rue de Glacon 35 - Sam odczytał ze skrawka papieru w ręku. - Ufasz Eugene'owi w tej sprawie?

- Jeszcze nigdy mnie nie zawiódł.

Skręcił w lewo w wąską uliczkę o nazwie Rue de Glacon i minął po prawej dom pod numerem trzydziestym piątym. Zaparkował przed następnym skrzyżowaniem.

- Ten dom to straszna rudera - skomentował Sam. - Seamus mógłby sobie znaleźć coś wygodniejszego. Mam szczerą nadzieję, że informacja od Eugene'a nie jest chybiona.

- Nie jest... Patrz, mój fiat!

Sam spojrzął przez ramię na stojący przy krawężniku samochód.

- Rzeczywiście. Na pewno twój? Po drodze widziałem co najmniej trzysta podobnych.

- Mój.

Sam ostrożnie poprawił się na siedzeniu, podczas gdy Vincent nastawił lusterko boczne tak, żeby widzieć w nim fiata.

- Papierosa? - zapytał.

- Dzięki... rzucam palenie.

- Jak to Larry kiedyś powiedział: nadzieja głupiego.

Sam przyjął to stwierdzenie z uśmiechem.

- Naprawdę... Chcę przestać palić. Przyszła kryzys.

- Jak chcesz.

Vincent zapalił papierosa i usiadł wygodniej. Odezwał się dopiero po chwili.

- Tam na przystani, wiesz, wtedy nad Sekwaną... Skąd wiedziałeś, że to pułapka?

- Koleś, jak są jakieś wątpliwości, nawet cień wątpliwości, to nie ma wątpliwości. To pierwsza zasada, jakiej cię uczą.

- Gdzie?

- Nie pamiętam - Sam spojrzął na Vincenta z ukosa i uśmiech rozjaśnił mu twarz. - To druga zasada.

- No tak - Vincent mocno zaciągnął się dymem papierosowym. - Dlaczego to robisz?

- Co?

- Grasz dalej. Nie dla forsy, bo tej już nie ma. Występujemy przeciw ludziom, którzy mieli nam zapłacić. Dlaczego nie pojedziesz na to swoje ranczo w Montanie hodować długonose bydło.

- Długorogie.

- Co?
- Długorogie. Bydło. Ma długie rogi, nie nosy.
- Aha...
- Lubisz podsłuchiwać cudze rozmowy...

Vincent zbył uwagę śmiechem.

- Powiedzmy, że Jean-Pierre nie ma tajemnic przede mną. Nie muszę podsłuchiwać pod drzwiami. Wracając do pytania, dlaczego kontynuujesz, gdy łatwiej byłoby rzucić to wszystko i zapomnieć?

- To mój cholerny obowiązek - powiedział Sam bez przekonania i bez entuzjazmu.

- Aha, wreszcie przyznał się głośno. Potwierdził. Jednak pracujesz dla CIA, jesteś gliniarzem.

- Niezupełnie. W pewnym sensie. Robię czarną robotę, trudne zadania. Tyle że na własny szczer.

W Agencji nie ma nic o mnie. Jeśli mnie złapią... oni nic nie wiedzą. Nigdy o mnie nie słyszeli.

- Brudna robota.
- Otóż to, przyjacielu, bardzo brudna.
- Gdzie tu zen? Wcale nie jesteś współczesnym samurajem.
- Nigdy nie twierdziłem, że jestem.

Vincent wyprostował się na siedzeniu i poprawił tylne lusterko.

- Idą. Nie odwracaj się. Widzę ich w lusterku. Gregor żyje jeszcze.
- Człowiek, który czeka, doczeka się. To znaczy, że...
- Nie mają jeszcze Paczki! - dokończył Vincent.
- Właśnie. Jak sądzisz, czy nasi znajomi udadzą się teraz na pocztę?

Sam zasłonił twarz gazetą, podczas gdy Vincent zsunął się poniżej ramy okna. Kilka długości samochodu za nimi Deirdre otworzyła kluczykiem drzwi fiata i wśliznęła się za kierownicę. Seamus bezceremonialnie wepchnął Gregora na tylne siedzenie i wsiadł do samochodu obok kierowcy.

Ruszyli do wylotu Rue de Glacon i skręcili ostro w lewo. Vincent usiadł normalnie, uruchomił silnik i citroen ruszył w pościg.

Vincent, oczywiście, znał Paryż lepiej od Deirdre i mógł pozostać daleko w tyle. Znał też lokalizację wszystkich większych poczt w mieście, toteż gdy objechała Operę, wiedział już niemal na sto procent, o którą chodzi pocztę. Nie pojechał za nią, tylko skrócił sobie drogę jadąc Boulevard Houssmann, skręcił ostro w lewo w Rue Drouot, jeszcze raz w lewo w Rue Richer i znalazł się przed pocztą na Rue le Peletier. Zaparkował wóz w pobliżu. Fiat pojawił się po dziesięciu minutach. Deirdre zatrzymała się przed wejściem na pocztę, po drugiej stronie ulicy.

- Dobra robota - mruknął Sam.



- W Nowym Jorku sprawiłbyś się równie dobrze.
- Ale przejechałbym z tuzin przechodniów po drodze.

Obserwowali bieg wydarzeń. Seamus otworzył tylne drzwi fiata i Gregor wysiadł. Seamus położył mu rękę na plecach, chowając pistolet pod przewieszonym płaszczem. Przeszli przez ulicę i zniknęli w dużych dębowych drzwiach. Deirdre pozostała w samochodzie, motor pracował.

Sam wyciągnął z kieszeni pięciofrankówkę, rzucił ją w powietrze i złapał, przytrzymując ją na płask.

- Orzeł czy reszka?

- Orzeł.

- Jest orzeł. Bierzesz dziewczynki czy chłopców? Nie mogą wrócić do samochodu.

- Biorę facetów. Jaki masz plan?

Sam powiódł wzrokiem od budynku poczty do fiata i z powrotem.

- Dobra - rzekł. - Zajmę się Deirdre i samochodem. Przejmiesz ich, jak wyjdą. Seamus jest zły na wskroś. Likwiduj go bez zastanowienia. Bierz Paczkę. Zrób to czysto. Spotkamy się tutaj.

Sam powoli wysiadł z citroena. Udał się na drugą stronę ulicy. Vincent czekał za kierownicą na swoje ofiary. Sam precyzyjnie obok dwóch samochodów i znalazł się przed witryną kwiaciarni, w której widział odbicie Deirdre wpatrzony w wejście na pocztę. Pistolet leżał na siedzeniu pasażera.

Odwrócił się i podszedł do samochodu. Szyba od strony Deirdre była opuszczona.

- Jak się masz? - powiedział pochylając się ku niej.

Deirdre chwyciła za broń, ale za późno. Sam był szybszy. Rękę z pistoletem zatrzymał na jej piersiach i wykręcił tak, że patrzyła wprost w otwór lufy.

- Masz alternatywę. Zamiast strzelać, możesz oddać mi tę zabawkę.

Deirdre puściła broń. Sam wsunął pistolet za pasek na plecach.

- Grzeczna dziewczynka.

Wreszcie spojrzała na niego. Rozumieli się bez słów, jak poprzednio, i oboje poczuli się przytłoczeni tym ciężarem.

- Dlaczego? - spytał.

- Dlaczego!?! I kto to mówi? Przecież jesteś agentem CIA!

- Odkąd wierzysz w to, co mówi Rosjanin?

- Jak to? A co miałam pomyśleć... - wzięła głęboki oddech i odwróciła się w kierunku budynku poczty. - Poza tym to rozgrywka Seamusa. Wypełniam rozkazy.

- Właśnie o to pytam. Rozkazy? Jezu. Przecież chodzi o pokój na świecie, negocjacje pokojowe.

Jeśli Paczka dostanie się w ręce Seamusa, wszystko będzie na nic. Patrz na wyniki głosowania. Twój naród chce żyć w pokoju. Są zmęczeni... zmęczeni tym wszystkim. Rozumiesz?

- Pokój! Co ty wiesz o pokoju?

Sam nie odpowiedział.

- Sam, chodzi tylko o pieniądze. Seamus wie, że zamieni to na forszę. To nie polityka, to cholerne pieniądze.

- Tak... tylko że, co on robi z pieniędzmi, jak je ma?

Po drugiej stronie ulicy Seamus i Gregor pojawili się w drzwiach budynku poczty. Seamus trzymał teczkę pod pachą. Była owinięta w szary papier pakunkowy dla niepoznaki, mimo to charakterystyczny kształt rzucał się w oczy. Gregor cały czas czuł na plecach rękę Seamusa z pistoletem.

Vincent wysiadł z citroena i, zakrywszy pistolet w rękę torebką papierową, ruszył w ich kierunku, wymijając przechodniów.

Sam otworzył drzwi fiata.

- Wysiadaj - rozkazał.

- Nie mam zamiaru.

Sam wyjął zza paska pistolet i przyłożył jej do skroni.

- Wysiadaj, bo ci zrobię sito z mózgu. Nie żartuję. Deirdre, to ciebie przerosło.

Patrzyła na niego spokojnie, bez cienia strachu w błękitnych oczach.

- Nie zrobisz tego, nie mógłbyś. Ale nawet... Dla mnie nie ma jutra. Dla ciebie też. Strzelaj, Sam. Zobaczymy się w piekle.

Kopnęła drzwi fiata od wewnątrz. Uderzyły Sama w prawy bok, tuż nad raną. Upadł ciężko na kolana. Deirdre wrzuciła bieg i ostro wyjechała na środek ulicy, prosto na Vincenta. Ten, słysząc pisk opon, zrobił jedyną rzecz, jaką mógł, żeby uniknąć śmierci pod kołami: skoczył na dach stojącego obok saaba. Kierowcy na ulicy hamowali gwałtownie przy dźwięku klaksonów i wiązanek rzucanych za fiatem, który na dużej szybkości podjechał przed pocztę.

Vincent zwinął się i spadł z maski saaba na chodnik. Strzelił w plecy Seamusa, który wpychał Gregora na tylne siedzenie fiata. Kula chybiła o centymetr i wbiła się w dach samochodu. Seamus wskoczył na przednie siedzenie. Vincent trzykrotnie przestrzelił tylną szybę. Strzaskane szkło rozprysło się fontanną iskrzących, mieniających się kawałeczków.

Sam dotarł do citroena, zapuścił motor i włączył się do ruchu. Podjechał do Vincenta i zatrafił dwa razy. Vincent przeskoczył przez saaba i wskoczył na miejsce pasażera. Fiat zniknął za rogiem.

- Co się stało? - wrzasnął Vincent.

- Zapnij pasy.

Sam nacisnął pedał gazu i przejechał czerwone światło. Vincent powtórzył pytanie, już spokojniejszym głosem.

- Co się stało? - Żeby to ja wiedział...

- Nie wiesz? Kitujesz! Rany boskie, przecież miałeś ją! Dlaczego nie strzelałeś?!

Sam skręcił w wąską uliczkę, ale fiat zdążył zniknąć.

- Gdzie oni są, do diabła?!

- Skręć w prawo. Zaraz za tym sklepem z artykułami metalowymi, w lewo.

- W lewo czy w prawo?

- W lewo, LEWO!

Zobaczyli fiata kilkadziesiąt metrów przed nimi.

- Tam - rzekł Vincent. - widzisz go? Dlaczego nie zabiłeś tej suki, gdy miałeś okazję?

- Nie zabiłem. Wystarczy?

Vincent śledził ruchy fiata w ruchu przed nimi. Nagle zrozumiał. Popatrzył na Sama.

- Ty sukinsynu... Przespałeś się z nią!

## Rozdział 34

- Czegoś go nie zabiła, jak miałaś okazję?

- Nie zabiłam. Wystarczy?!

Seamus śledził citroena za nimi. Nagle zrozumiał. Popatrzył na nią.

- Sukinsyn, spałaś z nim. Prawda?

- Seamus, zapomnij o tym. Pilnuj ich. Gdzie są?

Seamus znów spojrzał przez tylne okno.

- Coraz bliżej. Wjedź na autostradę. Będę miał pole do strzelania, gdy zrównają się z nami.

Skupił uwagę na paczce i skulonym na siedzeniu mężczyźnie.

- Gregor, to twoja jedyna nadzieja. Jeśli to jest zła Paczka, nie starczy ci tej twojej wschodnioeuropejskiej wyobraźni, żeby wyobrazić sobie, jak umrzesz.

- Rany, przysięgam - wymamrotał Gregor, kuląc się jeszcze bardziej w obawie przed spodziewaną serią kul z citroena.

- Zresztą to nieistotne. Koniec gry, Gregor, a może powinienem powiedzieć: gier? Jeśli zawartość Paczki jest nieprawdziwa, to gryziesz ziemię, chłopie. A jeśli jest prawdziwa... no cóż, Gregor, z dziką satysfakcją oddam cię obecnej tu pani. Mam wrażenie, że ma z tobą na pieńku...

- Cholera - zakląła Deirdre. Na skrzyżowanie przed nimi wjechała olbrzymia ciężarówka, skutecznie tamując wszelki ruch. Od citroena dzi-

eliło ich jakieś piętnaście samochodów. W lusterku widziała Sama i Vincenta biegnących w ich kierunku.

- Idą na nas.

Seamus wyskoczył z fiata i podniósł rewolwer w kierunku Vincenta. W tym momencie wszedł mu w linię strzału starszy mężczyzna, który wysiadł z wozu za nimi, żeby interweniować.

Zobaczywszy wymierzony w siebie pistolet, ze zdumiewającą zręcznością dał nurka z powrotem do samochodu. Seamus strzelił trzy razy, ale Vincent znikł już za karoserią jednego z zatrzymanych samochodów.

Z drugiej strony Sam biegł w stronę Deirdre, która pozostała za kierownicą. Gdy dzieliło go od niej zaledwie kilka metrów, ciężarówka zjechała ze skrzyżowania. Deirdre wrzuciła bieg, wołając do Seamusa, żeby wsiadał. Ruszyła z piskiem opon.

- Sukinsyn - krzyknął Sam i zawrócił do citroena. - Vincent... Odjechali. Wsiadaj.

Zdążyli przejechać skrzyżowanie jeszcze na zielonym świetle. Sam usiłował wymuszać pierwszeństwo, trąbiąc równie zawzięcie, co nieskutecznie.

- Widzisz ich, Vincent? Zgubiłem ich. Gdzie oni są? Cholera!

- Tam - Vincent wskazał palcem. - Prosto przed nami. Skręcają. Skręć w lewo.

- Tutaj?

- Tak, tutaj, skręć w lewo. Nie, w lewo. Tam. W lewo, LEWO. Jezu, skręcisz w lewo czy nie?!

Sam skręcił ostro w lewo. Zarzuciło nimi tak, że tył citroena uderzył w zaparkowany z boku samochód. Sam zredukował do pierwszego biegu i popędził za fiatem.

- Widzę ich. Dokąd uciekają? Przecież tu nie ma żadnej osłony!

- Nie wiem - odkrzyknął Vincent. - Kryjówka spalona, ale wracają do miasta. Przecież tam same korki o tej porze!

Citroen podskoczył na nierówności na drodze i obaj mężczyźni uderzyli głowami w dach. Citroen mknął dalej. Deirdre prowadziła jak kierowca formuły pierwszej, wykorzystując każdą lukę w ruchu i bezlitośnie zajeżdżając drogę. Po chwili wjechali na Quai des Celestins. Sam zaklął, bo zgubił ją znowu.

- Spróbuj tunele - poradził Vincent. - Nie mają innego wyjścia.

Wskazał tunele szybkiego ruchu pod nabrzeżami Pierwszego Okręgu. Sam ruszył ostro, pozostawiając za sobą swąd palonej gumy.

- Cholera - wrzasnął, gdy zbliżali się do wylotów tuneli z szybkością ponad sto kilometrów na godzinę. - Który, Vincent? Lewy czy prawy?

Vincent usiłował wypatrzeć sylwetkę fiata.

- Nie widzę... Nic nie widzę. Spróbuj lewy.

Sam przycisnął pedał gazu, kierując się na lewo. W ostatniej chwili Vincent dostrzegł fiata przed nimi. W prawym tunelu.

- Nie, nie, są w prawym - wrzasnął. - W prawym!

Sam skręcił ostro w ostatniej chwili, cudem omijając filar dzielący tunele.

Znów ich zarzuciło. Uderzyli w mur, ale Sam zachował kontrolę nad pojazdem i jechał dalej na pełnej szybkości, torując sobie drogę klaksonem.

- Cholera, dlaczego ty prowadzisz? - wrzeszczał Vincent, trzymając się deski rozdzielczej i wyobrażając sobie konsekwencję tej szalonej jazdy. - Nie jesteś Francuzem, nie znasz miasta, nie wiesz, dokąd jedziesz! Zabijesz nas!

Wskazówka prędkościomierza przekroczyła sto pięćdziesiąt kilometrów.

- Vincent?

- Co?

- Zamknij się do cholery i zapal mi papierosa.

- Papierosa? Teraz?

- Tak.

- Myślałem, że rzucasz palenie?

- Zmieniłem zdanie. Zacznę rzucać jutro.

Vincent zajął się zapaleniem gauloise'a i włożył go w usta Sama, który ani przez moment nie spuścił oczu z drogi. Wypadli z tunelu.

- W prawo, tutaj w prawo - krzyknął Vincent zapalając własnego papierosa. - Widzisz ich? Tam są. Kierują się w stronę Łuku Triumfalnego. Widzisz ich?

- Mam ich.

Dziesięć przecznic dalej fiat wpadł na plac otaczający Łuk. Deirdre jechała w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara. Lżejszy citroen, wyposażony w lepszy silnik, z łatwością dopędzał fiata. Po przeciwnej stronie placu Deirdre skręciła w Avenue de la Grande Armee w kierunku Porte Maillot i Lasku Bulońskiego. Piesi na pasach rozbiegali się na widok pędzących samochodów.

Wkrótce przejechała nad obwodnicą Peripherique okrążającą Paryż. Skręciła ostro w lewo, wjeżdżając na autostradę, Sam za nią.

- Mam cię - zaśmiał się.

Wrzucił niższy bieg, przygazował i znalazł się obok fiata po jego prawej stronie.

Seamus spojrzał na niego i uśmiechnął się. Po czym puścił serię z pistoletu. Sam depnął po hamulcach. Szyby po jego stronie rozleciały się.

- Sukinsyn strzela do nas!

- Genialne spostrzeżenie, mon ami - mruknął Vincent, podnosząc jedną brew do góry.

- Nic ci nie jest?

- Ależ skądże.

Vincent opuścił szybę i przygotował się z bronią w rękę.

- Podjedź bliżej. Załatwię opony.

- Zapomnij o tym. Przy tej szybkości zabiją siebie i nas przy okazji.

Deirdre nie zdejmowała nogi z gazu. Fiat jechał już z maksymalną szybkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Sam trzymał się piętnaście metrów za nią. Ruch był teraz większy, ale znakomicie radziła sobie z wymijaniem innych samochodów. W oddali pojawił się kolejny tunel. Sam zaczął dojeżdżać do fiata.

- Spróbuj odstrzelić Seamusa - polecił Vincentowi. - Bez niego mamy większą szansę. Dogadam się z nią.

Vincent wychylił się znów i usiłował złapać fiata na muszkę.

Seamus gwałtownie rozpiął pasy i kilkakrotnie strzelił w ich kierunku. Trafił innych kierowców.

Kilka pojazdów uderzyło w mury tunelu, tarasując drogę innym, które wjechały w nie. Za chwilę w tunelu powstał olbrzymi karambol. Sam dopędzał fiata. Vincent cofnął się do środka wozu.

- Sam, nie mogę strzelać czysto. Zwolnij, do cholery, bo nas zabijesz! - wrzasnął.

Na końcu tunelu widać było podświetloną tablicę informującą o czasowym zamknięciu wjazdu na autostradę A13. Reperowany fragment drogi odgrodzony był pomarańczowymi słupkami. Deirdre przebiła się przez słupki i wjechała na rampę.

- Cholera, to koniec - stwierdził Vincent. - Tam nie ma wiaduktu! W zeszłym tygodniu wybuchła tu ciężarówka z paliwem, cała konstrukcja stopiła się. Rampa kończy się dziesięciometrowym spadkiem!

Deirdre wjechała w zakręt na ogromnej prędkości, jeszcze chwilę a fiat jechałby na dwóch kołach. Nagle pojawiły się przed nią betonowe zapory. Obiema nogami wcisnęła hamulec, starając się nie wpaść w poślizg i nie wpaść bokiem z rampy. Gregor runął na podłogę z tyłu i zakrył głowę rękoma. Czas zatrzymał się w miejscu, podczas gdy fiat zbliżał się nieuchronnie do bariery. Usiłowała jeszcze skierować samochód w metrowej szerokości przejazd między zaporami w nadziei, że osłabi to uderzenie.

Osłabiło, ale tylko nieznacznie.

Fiat uderzył w bariery z takim impetem, że rozsunał je. Wypadł z końca podjazdu i zawisł nad przepaścią, w miejscu, gdzie jeszcze niedawno był wiadukt. Siła uderzenia wyrzuciła Seamusa, który wcześniej odpiął pasy,

do przodu. Uderzył twarzą w przednią szybę, ta pękła, ale wytrzymała. Gdy wszystko się zatrzymało, opadł nieprzytomny na siedzenie. Krew tryskała ze zmasakrowanej twarzy.

Sam wjechał na rampę z taką samą szybkością jak Deirdre, ale hamulce w citroenie były lepsze.

Prawie udało mu się zatrzymać.

Prawie, ale niezupełnie.

Citroen wjechał w tył fiata i to wystarczyło, by wiszący na skraju samochodu runął dziesięć metrów w dół na plac budowy.

Vincent i Sam wypadli z wozu i dobiegli do krawędzi rampy. Fiat leżał na dachu. Musiał spaść nosem w dół i wywrócił się na dach. Płomienie zaczęły lizać przód samochodu. Przez otwór, który kiedyś był tylną szybą, wypełznął Gregor. Trzymał w ręku teczkę. Zobaczył nad sobą Sama i Vincenta i z przerażeniem na twarzy ruszył biegiem przez plac budowy.

- Cholera - wrzasnął Sam, rozglądając się za możliwością zejścia do fiata. W oddali słychać było syreny policyjne.

Vincent powstrzymał go siłą.

- Nie mamy czasu, Sam. Nie zejdziesz tędy, poza tym musimy stąd spływać.

Patrzyli jeszcze chwilę. Deirdre wygramoliła się z wraka. Płomienie ogarnęły już cały silnik.

Ruszyła za Gregorem, ale zaraz zatrzymała się i wróciła do płonącego samochodu. Podbiegła do drzwi od strony pasażera i w ostatniej chwili, przed eksplozją paliwa w baku, wyciągnęła rannego Seamusa.

- Sam, idziemy.

- Seamus - mamrotał Sam widząc ruch głowy mężczyzny. - Patrzcie go, sukinsyn jeszcze żyje.

## Rozdział 35

Wrócili do wozu.

- Może poprowadzisz? - rzucił Sam.

- Mam zamiar.

Vincent wsunął się za kierownicę i uruchomił silnik. Wycofał się i zjechał po rampie w dół.

Droga była pusta. Karambol w tunelu skutecznie zatrzymał inne pojazdy jadące tą drogą i Vincent spory dystans przejechał z maksymalną szybkością. W miarę, jak na kolejnych wjazdach włączały się do ruchu inne samochody, musiał zwolnić. W końcu Vincent znalazł parking dla ciężarówek i zjechał na prawo.

- Muszę się napić kawy - wyjaśnił. - Muszę odetchnąć. Ta obwodnica ciągnie się w kółko.

Zaczynam myśleć, że to jest jedna wielka metafora.

- Słusznie.

Na postoju czynna była zwyczajna kafeteria. Weszli i z przyzwyczajenia sięgnęli po tace, przesuwając je wzdłuż lady z nierdzewnej stali do maszyny z kawą. Wzięli po podwójnej kawie z ekspresu, zapłacili i znaleźli sobie mały stoliczek z widokiem na obwodnicę. Vincent opadł na plastikowe siedzenie i westchnął głęboko. Sam wsunął się na siedzenie naprzeciwko i zaczął nerwowo stukać palcami w stół.

- Czas się nam kończy - powiedział. - Mnie... im... Gregorowi...

- Dokąd pójdzie?

- Gregor? - Sam pomyślał chwilę. - Nie wiem. Boże, przecież to ty jesteś stąd. Powiedz mi, gdzie taki facet może pójść. Szuka go IRA, szukają Rosjanie, szukam ja.

- Moim zdaniem, pójdzie do Rosjan. Żeby się dogadać. Przecież znowu ma teczkę. Dlaczego nie? Komu mógłby zaufać? Nie Irlandczykom, chcieli go zabić.

- Rosjanie też.

Sam patrzył przez okno, stukając palcami w stół. Po chwili przyłożył dwa palce do ust, widomy znak, że miał ochotę zapalić. Vincent wyciągnął paczkę. Zapalili ostatnie dwa papierosy. Zmięta paczka znalazła się obok popielniczki.

- Dzięki. Stawiam następną paczkę.

- Nie będę czekał z zapartym tchem.

- Dobrze... Myślę, że masz rację w tej sprawie. Gregor będzie układał się z Rosjanami. Forsa mu się kończy albo zgubił ją gdzieś podczas tej przepychanki. Jedyne wybory, jakie jeszcze ma, to iść na układ.

Sam zaciągnął się głęboko.

- Ale nie ujawni się, dopóki nie będzie pewny swego bezpieczeństwa. To znaczy, że wymiana nastąpi w miejscu publicznym. Jasne jest, że zabiją go raczej, niż zapłacą za ten towar. Gregor będzie chciał spotkać się w miejscu, gdzie coś się dzieje.

- Byle szybko... zanim dopadną go Irlandczycy.

- Wydaje mi się, że Irlandczycy zwolnili trochę, ale masz rację. Nie może czekać w nieskończoność.

- No to, gdzie pójdzie? Gdzie wyznaczy spotkanie?

- Idzie w znane miejsce.

- Do starej kryjówki? Chyba nie - Vincent wyraził powątpiewanie.

- Słusznie - zgodził się Sam. - Wszystkie kryjówki są spalone. Rosjanie znają je lepiej od Gregora. Założę się, że wszystkie są już obstawione.



- No to gdzie?

Sam odłożył papierosa i potarł oczy zmęczonym ruchem.

- Dobrze - westchnął - Czegoś nam brakuje. Musimy spojrzeć na to inaczej.

Rzuciwszy okiem na Vincenta, zorientował się, że ten patrzy na coś za jego plecami.

- Co się dzieje? - zapytał szeptem.

- Nic takiego - Vincent wreszcie oderwał wzrok. - Siedzi tam rodzina, mąż, żona, dwie córki. Co oni wiedzą? Żyją sobie spokojnie, nieświadomi, jakie siły rządzą światem podziemnym. Dziewczynki mają czerwone walizeczki, boją się cenne drobiazgi zostawić choćby na chwilę w niestrzeżonym samochodzie. Cała rodzina na takich małych wakacjach. Jedzą główniane żarcie w jakiejś przydrożnej knajpie i cieszą się, bo są razem... Sam, nie uważasz, że obaj coś w życiu przegapiliśmy...

- Prousta się naczytałeś? - Sam spojrzał nieufnie w kierunku rodziny i wrócił z powrotem do Vincenta. - Czy możemy zająć się naszym problemem?

- Oui - Vincent wzruszył ramionami. - Załóżmy więc, że uciekasz. Jesteś Rosjaninem w obcym mieście. Dokąd pójdziesz?

Sam wziął papierosa w palce, ale zanim przypalił sobie, obejrzał się jeszcze raz na rodzinę.

- Co? - zainteresował się Vincent.

- Nie wiem. Nic takiego. Coś mnie zaniepokoiło...

Zaciągnął się.

- Mam wrażenie, że chodzi o to, gdzie Gregor był. Zastanówmy się, gdzie mógł być?

- Tylko raz był sam, to znaczy, nie wiemy, gdzie był, bo zajmowaliśmy się CD-ROM-em dla niego. Wówczas zaopatrzył się w fałszywą walizkę.

- Dobrze więc, powiedz mi, gdzie ją zamówił?

- Zamawiać nie zamawiał, nie miał na to czasu - Vincent pomachał papierosem w powietrzu na znak protestu.

- Okej, nie zamawiał. Kupił i pomalował albo ufarbował. Cokolwiek.

- Skąd miał barwniki?

- Nie, nie. Skąd wziął teczkę?

Sam znów pobiegł wzrokiem do spokojnie konsumującej rodziny. Vincent popatrzył w tym samym kierunku.

- To ta sama cholerna walizka - powiedział Sam powoli. - Walizki dziewczynek są identyczne.

- Te są czerwone, a prawdziwa jest beżowa. Gregor z łatwością dostał czarną i ufarbował ją.

Masz rację, dziewczynki mają takie same.

Sam zdusił papierosa w popielniczce.

- Vincent, oni wyglądają na Francuzów. Idź i dowiedz się, skąd mają te walizki.

- Wyglądają na Francuzów? Co? Mają napisane na czole?

- Nie dyskutuj, tylko idź się dowiedzieć.

Vincent wstał.

- Daj mi pięćdziesiąt franków - poprosił jeszcze Sam.

- Na co?

- Papierosy.

Po chwili spotkali się znowu przy stoliku. Sam położył paczkę papierosów.

- No i co? - spytał. - Łyżwy.

- Co? - Łyżwy, to walizka na łyżwy. - Łyżwy? Przecież Gregor nie odróżniłby walizki na łyżwy od słońca na stepie.

- Chyba go nie doceniamy. Gregor musiał rozpoznać walizkę jak tylko Deirdre pokazała ją nam na zdjęciu. Zabrakło mu czasu, żeby znaleźć bezową. Gdzie kupuje się takie walizki?

- Idzie to nam jak krew z nosa - Sam przetarł oczy. - Zapomnij o tych łyżwach. Na pewno można takie walizki kupić w tysiącu sklepach. Skoro przypuszczamy, że będzie układał się z Rosjanami, to znajdziemy pieprzonych Rosjan. Zaprowadzą nas do Gregora jak po sznurku.

Vincent wstał i spojrział na zegarek. Nową paczkę gauloise'ów wepchnął do kieszeni koszuli.

- Chodźmy- rzucił zdecydowanie. - Eugene zamyka za dwadzieścia pięć minut.

## Rozdział 36

Eugene zamykał sklep. Zobaczywszy Vincenta z Amerykaninem, uśmiechnął się do nich.

- Zgaduję, że szukacie tej małej sensacji w wersji rosyjskiej?

- Za późno? - spytał Vincent. - Idziesz do domu? Pospieszmy się, za ręką.

Eugene odblokował zamki i wpuścił ich do środka.

- Czegóż się nie robi dla dobrego klienta. - Zapalił światło i zaprosił ich do biura.

- Nadal mówimy o filmach? - spytał ostrożnie Sam. Obaj kiwnęli głowami.

- Widziałeś film Coppoli Rozmowa? - zaczął Eugene. - Mój ulubiony. Traktuje o podsłuchującym, którego własne elektroniczne urządzenia do podsłuchiwania doprowadzają do szaleństwa.

Wskazał różne punkty swego sklepu i kilka razy postukał się w ucho, dając do zrozumienia, że według niego cały obiekt jest na policyjnym podsłuchu.

- Nie, nigdy - rzekł Sam. - Warto obejrzeć?

- Doskonały. Dużo straciłeś. Gene Hackman, Robert Duvall, Allen Garfield, Frederic Forrest i Harrison Ford w niewielkiej rólce.

- Zachęciłeś mnie.

- To dobrze, bo warto. Pod koniec, Hackman ma poważne wątpliwości, czy dobrze wybrał w życiu. Zastanawia się nad moralną stroną całej sprawy.

- To wydaje mi się znajome. Może to widziałem?

- Mam to w czterech wersjach językowych. Pożyczę ci, kiedy tylko zechcesz.

- Hackman mówiący w języku Farsi to zapewne przeżycie, ale dziś mamy ochotę na rosyjski film.

Eugene wszedł za kontuar i otworzył notatnik.

- Okej... Zaczniemy od filmu, którego szukaliście panowie dziś rano.

- Chodzi o tego lepszego gwiazdora i bardziej wyrafinowaną produkcję?

- Właśnie.

Eugene przerzucał kartki w notatniku.

- Jeśli dobrze pamiętam, akcja zaczyna się w Hotelu Georges Cinq. Mówiłem, że to gwiazdor.

Co prawda nie przypominam sobie nazwiska... Mikhi coś chyba. Gra tu rolę rosyjskiego mafioso.

Tego szukacie?

- Brzmi dobrze. - przytaknął Sam. - Mafioso musi mieć dużo ochroniarzy?

- Spójrzmy na listę płac.

Eugene przeleciał palcem po stronie, jakby rzeczywiście czytał spis wykonawców.

- Tak, wygląda na to, że jest sześciu w roli ochroniarzy. Wszyscy Rosjanie, więc nie rozpozna pan nazwisk. Zdaje się, że czterech jedzie na południe Francji, ale nie wraca stamtąd.

- Mówisz, że pod koniec filmu zostaje ich tylko dwóch?

- Być może, ale nie chciałbym opowiadać wam całego filmu.

- Powiedz mi jednak, które sceny jeszcze rozgrywają się w Paryżu? Wiesz, o co mi chodzi? Taki lokalny koloryt, sceny w miejscach publicznych, gdzie może być dużo ludzi, dużo statystów. Zawsze lubiłem sceny zbiorowe.

- Nie sądzę. Mafioso z tego filmu może jest gwiazdą, ale pojawia się w cichych miejscach, na uboczu. Wiesz, ciche, ciemne, intymne.

- Intymne, mówisz? Ajakiś podmiot liryczny? Nie majak ze smakiem zrobiona scena erotyczna, zgadzasz się?

- Chłopie, i to jakie! Taka mała dziewczynka. Gra ją Nastazja Kiryłowa. Sam spojrzał na Vincenta. Coś mu zaświtało w głowie.

- Nastazja Kiryłowa? Kiryłowa? Skąd ja znam to nazwisko? - Łyżwiarka, łyżwiarka na lodzie - podpowiedział Vincent.

- Właśnie, łyżwiarka - potwierdził Eugene wskazując na plakat w oknie sklepu. - Jeśli o to chodzi, jest dziś w Paryżu. Występuje z bułgarską rewią na lodzie. W Palais Omnisports. Wszystkie szczegóły na plakacie.

Sam wrócił do drzwi i wychylił się na zewnątrz, żeby przeczytać.

- Wiesz co, Vincent - powiedział, gdy wrócił do nich. - Chyba wolę łyżwy od durnego filmu.

- Sorry, że zawracaliśmy ci głowę - powiedział Vincent do Eugene'a. - Dzięki. Wiesz, jak to jest z turystami. Staram się, żeby bawił się dobrze.

### **Rozdział 37**

Rewia odbywała się w hali oddalonej o dziesięć minut drogi od wypożyczalni Eugene'a.

Zbudowana w 1983 roku, hala pyszniła się szklaną konstrukcją, która odbijała się w wodach Sekwany, w miejscu oddalonym o dwa kilometry na południowy wschód od Ile de Cite. Wnętrze służyło różnym wydarzeniom, od przedstawień operowych po wyścigi kolarskie i turnieje tenisa stołowego.

Vincent zaparkował w pobliżu Dworca Lyońskiego, unikając w ten sposób fali samochodów, płynącej w kierunku wielkich parkingów dookoła hali. Widownia mogła pomieścić kilka tysięcy widzów w zależności od wydarzenia, a bułgarska rewia niosła ze sobą wszelkie znamiona sukcesu: komplet na widowni na wszystkich pokazach.

Podeszli do hali od strony Sekwany. Vincent wyciągnął swój identyfikator policyjny i pokazał Samowi.

- Powinniśmy wejść bez problemu.

- Masz jeszcze jakieś pieniądze?

- Aha.

- Spróbujmy kupić bilety. Im dłużej zachowamy anonimowość, tym lepiej. Jedyne Gregor jest w stanie nas rozpoznać. Dopóki nie wpadniemy na niego, możemy udawać facetów, którzy przyszli na rewię.

Sam obserwował sznur samochodów wjeżdżających na parking. Po dziesięciu minutach Vincent wrócił z biletami i weszli do hali przez bramę południową.

- Ustalmy, jak wygląda Mikhi - rzucił Sam. - Miejmy nadzieję, że się spóźni.

Znaleźli schody ruchome i zjechali dwa poziomo, aż trafili na grupę nastolatków, głównie dziewczyn, zgromadzonych wokół wydzielonej sznurami przestrzeni. Zawieszane co kilka metrów olbrzymie ekrany telewizyjne pokazywały, co działo się na lodzie. Na razie nic się jeszcze nie działo.

Sam i Vincent stanęli za plecami młodych wielbicielek łyżew, bezpośrednio pod jednym z ekranów. Z drugiej strony tej grupy stali i rozmawiali ze sobą trzej mężczyźni należący do ochrony hali. Za nimi otwierał się tunel prowadzący z prywatnej części parkingu. Po pięciu minutach przed wejście zajeżdżała długa biała limuzyna. Kierowca wyskoczył i otworzył drzwi pięknej Nastazji Kiryłowej.

Kibice i wielbiciele zawyli na jej widok, rozległy się oklaski i prośby o autograf, rzucono wiązanek kwiatów. Uśmiechnęła się do nich i pomachała drobną ręką, po czym przeszła obok tanecznym krokiem, kierując się do przebieralni. Za nią szło trzech mężczyzn. Jednego z nich wyróżniał drogi garnitur, w którego klapie pysznił się czerwony goździk. Mężczyzna trzymał przy piersi cienką walizeczkę marki Mark Cross. Nie było wątpliwości, że źle skrojone garnitury pozostałych dwu mężczyzn kryły pod pachami kabury z bronią.

Sam pochylił się do ucha Vincenta i wyszeptał:

- Pan Goździkowy to mój typ.

- Chyba się nie mylisz. Prosto z kiepskiego filmu gangsterskiego. Wygląda na to, że Eugene nie mylił się, co do liczby ochroniarzy.

Sam spojrzał na zegarek.

- Siódma trzydzieści. Jeszcze pół godziny do pokazów. Chodźmy na górę i spróbujmy wyobrazić sobie, jak Gregor chce to przeprowadzić.

Wrócili do ruchomych schodów. Jadąc na górę, Vincent nie wytrzymał i zapytał:

- Skąd wiesz, że to dzisiaj?

- Dzisiaj.

- Ale skąd wiesz?

- Na pewno dzisiaj.

- Dobrze, ale skąd wiesz?

- Mój drogi, kto, idąc z ukochaną na jakąś cholerną rewię, nosi ze sobą aktówkę? W niej jest forsa za Paczkę. Widziałeś, jak ją przyciskał do piersi? Przecież nie wziął kanapek na drogę!

Kiedy znaleźli się na górnym poziomie, weszli na widownię. Miejsca były już w większości zajęte. Personel sprzedawał bogato ilustrowane, kolorowe programy i małe latarki, a wszyscy uśmiechali się na samą myśl o

atrakcjach, które ich czekały. Vincent wskazał na sektor widowni przy bandzie po drugiej stronie areny.

- Jeśli będzie oglądał rewię, to stamtąd. To łoża dla ważniaków.

- Jak myślisz? Obejrzy rewię stąd, czy będzie siedział w przebieralni i oglądał ją na ekranie telewizora?

Vincent nie odpowiedział, zajęty lustrowaniem areny. Wreszcie odezwał się:

- Poczekaj tu. Zaraz się dowiem.

Poszedł w kierunku łoża dla VIP-ów i przy wejściu do boksów dla prasy zdybał strażnika.

Rozmawiał z nim kilka minut, po czym wrócił.

- I co? - spytał Sam.

- Wychodzi na to, że nasz goździkowy przyjaciel od tygodnia nie opuścił żadnego pokazu.

Przychodzi, gdy gasną światła i wychodzi po drugim numerze Nastazji, już po przerwie.

- A w przerwie?

- Siedzi. Zdaje się, że lubi popisy kłownów.

- Można było się spodziewać. Wygląda na takiego. Jak się tego dowiedziałeś, Vincent?

Francuz wskazał kciukiem za siebie.

- Strażnik. Chodziłem z nim do budy.

- Jasne.

Vincent podał Samowi małą laminowaną plakietkę.

- To przepustka dla dziennikarzy. Może się przydać.

- Jestem pod wrażeniem - cmoknął Sam. Spojrzał na zdjęcie z drugiej strony. - Co prawda, nie wiem, czy uda mi się podszyć pod Murzyna.

- Sorry, innych nie miał - zaśmiał się Vincent. - Oddali je wczoraj po imprezie. Nie przejmuj się, nikt tego drobiazgowo nie sprawdza.

- No to sprawdźmy, jak blisko dotrzemy do przebieralni.

Sam jeszcze raz spojrział na zegarek.

- Dziesięć minut - orzekł.

- Może Gregor już mu oddał Paczkę?

- Wtedy bawimy się z Mikhim.

Wrócili do schodów ruchomych i zjechali nimi do podziemi. Szli długim korytarzem, aż do miejsca, gdzie wcześniej podjechała limuzyna łyżwiarki.

Machnęli przepustkami strażnikom przed nosem i weszli w kolejny długi tunel. Na końcu zobaczyli wielką czerwoną kurtynę z aksamitu, która zasłaniała wejście na lodowisko. Trzech kłownów rozgrzewało się przed występem.

Betonowe podłoże było wyłożone grubą gumową wykładziną chroniącą ostrza łyżew. Ciągnęła się ona w głąb jeszcze innego korytarza. Po lewej czworo niebieskich drzwi ozdabiała złote pięcioramienne gwiazdki oraz imiona występujących łyżwiarzy. Imię Nastazji widniało na pierwszych z kolei.

Po prawej stronie korytarza znajdowała się duża przebieralnia dla członków rewii. Troje drzwi otwierało się na jedną dużą przestrzeń w środku. łyżwiarze i łyżwiarki przebierali się w wyszywane cekinami kostiumy, robili makijaż, sznurowali łyżwy lub zwyczajnie siedzieli w oczekiwaniu na rozpoczęcie pokazów.

Sam i Vincent dołączyli do dwóch fotografów stojących przy wejściu na lodowisko. Pozostało tylko czekać. Po pięciu minutach Mikhi wyszedł z garderoby Nastazji. W rękę wciąż trzymał cienką aktówkę. Wsadził głowę do garderoby zespołu i zagwizdał. Natychmiast pojawili się przy nim ochroniarze. Przeszli, ocierając się niemal o Sama i Vincenta, i skierowali się do ruchomych schodów.

- Czas na występ - stwierdził Sam. - Chodź, znajdziemy sobie jakieś siedziska. Nie chcę uronić ani chwili.

Odczekali minutę, by nie napatoczyć się na Mikhiego, i ruszyli jego śladem. Znaleźli miejsca w drugim sektorze, nad lożą dla osobistości, skąd doskonale było widać trzy puste miejsca. Światła areny przygasły. Słodki głos po francusku zapraszał dzieci, by w ciemnościach, które zapadły, pozapalały ręczne latarki i machały nimi w powietrzu. Lasery rozpoczęły tańce feerią barw strzelających spod sufitu. Białe oko reflektora przebiegało po widowni. Orkiestra zaczęła grać znany już kawałek z Prokofiewa, włączono światła, a oczom widzów ukazało się trzech kłownów, którzy na arenie odstawiali hiszpańską corridę, efektownie padając co chwilę na lód. Dzieci ryczały ze śmiechu, a i niejeden dorosły uśmiechnął się pobłaźliwie.

W ciemnościach Mikhi i jego ochrona usiedli na swoich miejscach w loży. Mikhi też śmiał się do rozpuku, podczas gdy ochroniarze wzdychali do niebios za jego plecami.

- Zdaje się, że lubi to - drwił Vincent.

- Aha - Sam nie słuchał go. Zajęty był szukaniem w tłumie Gregora.

Po kłownach na lodzie pojawiła się para przebrana za Romeo i Julię. Zaczęli tańczyć lodowy balet do muzyki Prokofiewa. Po nich były jeszcze trzy numery, do łatwo rozpoznawalnej muzyki kolejno Czajkowskiego, Prokofiewa i Szostakowicza, z małymi dodatkami Strawińskiego i Rachmaninowa dla lepszego odbioru.

Sam znów spojrzął na zegarek. W tym momencie arena pogrążyła się w ciemnościach.

Pojedynczy reflektor skupił światło na czerwonej kurtynie, a w głośniku równomierny głos francuskiego konferansjera zaanonsował następną atrakcję.

- Panie i panowie, z ogromną dumą i niekłamaną przyjemnością przedstawiamy państwu największą gwiazdę Bułgarii, medalistkę olimpijską i trzykrotną mistrzynię świata - Nastazję Kiryłową!

Drobna łyżwiarka wyjechała na lód, cały czas prowadzona przez reflektor. Na widowni zerwała się burza oklasków. Ukłoniła się kilkakrotnie jak baletnica na wszystkie cztery strony, przyjmując wdzięcznie hołd publiczności. Włączyły się światła nad areną, nieco przygaszone, żeby oddać atmosferę księżycowej nocy. Nastazja rozpoczęła swój układ.

Sam przyglądał się jej płynnym ruchom, ani przez moment nie tracąc z oczu Mikhiego. Nastazja wydawała się płynąć w powietrzu. Układ był tak zaaranżowany, żeby mogła podjeżdżać jak najbliżej szalejącej widowni. Minęło dopiero półtorej minuty jej występu, gdy Vincent zwrócił uwagę Sama na łożę, w której siedział Mikhi.

- Patrz, mamy gości - wyszeptał mu w ucho.

Teraz Sam przyjrzał się z uwagą ginącej w mroku łoży. Bileter przeproszał innych widzów, by dojść do Mikhiego i powiedzieć mu coś na ucho. Na twarzy gangstera pojawił się wyraz zakłopotania.

Rzucił okiem na goryli, wreszcie wstał, bardziej zirytowany niż zaniepokojony. Ochrona wstała również i wszyscy trzej, Mikhi z aktówką przy piersi, zaczęli przepychać się do wyjścia.

- Zaczęło się - warknął Sam. - Ruszamy.

Pobiegli tunelem i w dół po schodach do wejścia dla VIP-ów. Wszelki ślad po Mikhim zaginął.

## Rozdział 38

Gregor czekał na Mikhiego na końcu rampy dla VIP-ów, w pobliżu stoisk. Mikhi był na tyle wkurzony, że traci występ Nastazji, że nie zauważył go. Gregor musiał zawołać za nim.

- Cześć, Mikhi. Dawno się nie widzieliśmy.

Mikhi od razu wyskoczył do niego z pretensjami.

- Co ty kombinujesz? Mieliśmy się spotkać później.

- Nie. Spotkamy się teraz.

- Występ mi ucieka. Możemy załatwić wszystko później. Tak jak uzgodniliśmy. Za późno na zmiany.

- Mój Boże, przykro mi, że tracisz show. Nie, nie, dzisiaj. Może wejdziemy do poczekalni dla łyżwiarzy, są tam ekrany telewizyjne. Masz rację,



przedstawienie dziś wieczorem będzie pełne atrakcji. Nie chcę, byś cokolwiek stracił.

Gregor sam wszedł do środka poczekalni, za nim Mikhi i ochrona. Pokój był pusty, wszyscy bowiem łyżwiarze przygotowywali się do finału.

- Nazywają to zieloną salą - uśmiechnął się Gregor. - Odpowiednie miejsce na transakcje finansowe, nie wydaje ci się?

Wskazał na dwa ekrany telewizyjne w przeciwnych końcach sali.

- Siadaj, gdzie wygodniej. Zewsząd widać tak samo.

- Postoję.

- Jak chcesz... Zakładam, że masz pieniądze.

Mikhi milczał. Taksował Gregora. Wreszcie odezwał się:

- Wiesz, miałem zamiar wziąć je później, podczas drugiego aktu, kiedy Nastazja ma przerwę.

Przecież to cholernie dużo forsy. Nie chodzę z taką ilością. Kto wie, co się zdarzy?

Gregor nie uwierzył mu.

- Nie mówisz mi prawdy... Nie byłbyś taki przywiązany do tej aktówki, którą trzymasz w ręku.

Masz pieniądze i załatwimy nasze sprawy tu i teraz.

Mikhi wzruszył ramionami.

- Okej, może rzeczywiście mam pieniądze. Gdzie teczka?

Gregor spojrzał na jeden z ekranów, na jego twarzy pojawił się sadystyczny uśmiech.

- Twoja Nastazja to niezwykle piękna kobieta - zauważył. - Mikhi, jesteś szczęśliwym człowiekiem. Mam nadzieję, że zadbasz o nią... w specjalny sposób... Ja bym tak zrobił.

- Gdzie jest teczka?

Tym razem Gregor nie odezwał się, przyglądał się łyżwiarce wykonującej ewolucje na lodzie.

- Gregor? - powtórzył Mikhi. - Mam forszę. W tej aktówce. Skończmy ten interes tu i teraz i rozejdziemy się jak przyjaciele. Tak jak dawniej.

Położył aktówkę na stoliku pomiędzy popielniczkami. Otworzył ją i wyjął kopertę, którą podał Gregorowi.

- Tu są papiery wartościowe na żadaną sumę. Wymienisz je na pieniądze, gdziekolwiek będziesz.

Widzisz, że gram uczciwie. Teraz twoja kolej. Gdzie jest walizka?

- Tu. Nie martw się.

Po obejrzeniu papierów wartościowych Gregor podniósł się i zza solidnie wypchanej kanapy z zielonej skóry wyciągnął beżową walizkę. Postawił ją na szklanym blacie stoliczka. Kiedy spojrzał znów na Mikhiego, ten trzymał go na muszce pistoletu.

- Jesteś bardziej naiwny, niż myślałem - powiedział Mikhi.

- To się jeszcze okaże... - odparł Gregor - Najpierw posłuchaj, co przedsięwzięłem, żeby się ubezpieczyć.

Ten całkowity brak reakcji ze strony Gregora zbił z tropu Mikhiego.

- Gadaj - rzucił ostro - Cóż takiego przedsięwzięł? Tylko pospiesz się, bo Nastazja jest lepsza na żywo niż na ekranie.

- Właśnie. Dalej w scenariuszu mamy moje wyjście, oczywiście z tym - klepnął kopertę z papierami wartościowymi, którą włożył pod pachę. Wyjął telefon komórkowy, wystukał numer i po chwili powiedział do słuchawki: - Dwie minuty.

Wyłączył komórkę.

- O co chodzi, Gregor? - zniecierpliwiał się Mikhi. - Co ty kombinujesz?

- Mam faceta na widowni, a on ma karabin z laserowym mechanizmem celującym. Czeka teraz na mój drugi telefon, gdy stąd wyjdę, to jest, przed upływem dziewięćdziesięciu sekund, i na następny za dziesięć minut, gdy już będę całkowicie bezpieczny. Jeśli nie zadzwonię, twoja piękna Nastazja zginie.

Mikhi cofnął się jak uderzony obuchem. Potarł oczy.

- Ależ, Gregor, tak nie można. Tak w ostatniej chwili... Musisz mi dać czas na zastanowienie.

- Co jak co, ale czasu dać ci nie mogę - Gregor zaśmiał się sadystycznie.

Gestem ręki Mikhi zatrzymał goryli, którzy już schodzili Gregorowi z drogi.

- Blefujesz - warknął Mikhi. - W tak krótkim czasie nie można znaleźć w Paryżu snajpera takiej klasy.

- Czterdzieści sekund - zameldował Gregor spokojnie.

Mikhi spojrzał na ekran, gdzie było widać Nastazję tańczącą z trzema łyżwiarzami. Wirowała z każdym z nich, budząc podziw rzadką gracją i niesamowitą precyzją. Przeniósł wzrok na goryli, którzy czekali w napięciu na jego decyzję.

- Dwadzieścia sekund, Mikhi.

Mikhi potrząsnął głową i westchnął.

- Gregor, Gregor - powiedział podnosząc pistolet i strzelając raz po raz. Cztery kule przeszły przez czaszkę Gregora, zanim jeszcze ciało opadło na dywan. Mikhi spojrzał na goryli i wzruszył ramionami. - Tu chodzi o zasadę.

Wziął ze stoliczka kopertę z papierami wartościowymi i wrzucił ją z powrotem do aktówki.

Podniósł wzrok na ekran telewizora w chwili, gdy padł strzał. Tu, gdzie stali, nie było dobrze słyszeć huk wystrzału. W pół skoku Nastazja padła

na lód, jak podcięta. Towarzyszący jej łyżwiarze dopadli jej nieruchomej postaci, a po widowni przebiegł szmer przerażenia.

## Rozdział 39

Od dziesięciu minut Sam i Vincent przemierzali betonowe korytarze w podziemiach hali sportowej, bezskutecznie szukając Gregora i Mikhiego. Wciąż natrafiali na puste pokoje lub przyciemnione alkowy.

Wracali do przebieralni artystów, żeby rozejrzeć się jeszcze raz, gdy kuła snajpera dosięgła pięknej Nastazji.

Tam, gdzie się znajdowali, strzał zabrzmiał jak trzask z bicia, wystarczająco jednak, aby wzbudzić niepokój. Sam rzucił okiem na ekran wiszący nad głową Vincenta.

- Cholera - wyrzucił z siebie. - Idziemy.

Wbiegli po schodach na dolny poziom areny. Publiczność w panice opuszczała widownię i musieli siłą wywalczyć przejście do bandy, skąd widzieli, co dzieje się na lodzie. Nastazja leżała w wielkiej kałuży krwi, która krzepła od razu na lodowej powierzchni. Łyżwiarze odsunęli się, by dać dojście trenerowi i menedżerowi gwiazdy, walczących o jej życie. Wkrótce zasłonili oni drobne ciało płaszczem zbryzganym krwią na znak, że nie da się już nic zrobić. Arenę otaczał pierścień złożony z pracowników straży obiektu.

- To dywersja - orzekł Vincent po namyśle.

- To jest chore - odparł Sam. - Tylko Gregor mógł to wymyślić.

- Bezwzględnie, ale to koniec przedstawienia. Pozostaje nam odszukać go.

- Nie.

- Nie?

- Limuzyna - stwierdził Sam, doznając nagle olśnienia.

- Co takiego? - Vincent nie rozumiał.

- Limuzyna. Przecież nam jest potrzebny Mikhi z walizką, nie Gregor. Przecież to Mikhi odjeżdża stąd z Paczką. Musimy dopaść limuzyny przed Mikhim. To jedyna droga, którą może się stąd wydostać.

Sam ruszył jak taran, rozpychając wychodzących widzów. Nie na wiele to się zdało, ludzie bowiem niechętnie ustępowali mu drogi. W końcu Vincent wepchał się przed niego i machając fałszywą legitymacją policyjną zaczął krzyczeć coś po francusku.

- Rozstąpić się. Rozstąpić się. Policja, proszę nas przepuścić. Policja. Nagły wypadek.

Ku zdumieniu Sama zadziwiająco dużo ludzi posłuchało wezwania i usunęło im się z drogi. Rzecz niemożliwa w Nowym Jorku.

- Za mną - wołał Vincent. - Wiem, gdzie jest parking dla limuzyn. Przy tej całej hysterii nie będzie łatwo utorować drogę do wejścia dla artystów. Być może uda nam się dopaść wozu, zanim zajedzie przed wejście za kulisami.

Pobiegli schodami trzy piętra w dół, potem korytarzami na drugą stronę hali i wyjściem na parking.

Wezwane służby policyjne opanowały już miejsce zdarzenia i kierowały ruchem, zatrzymując co bardziej podejrzanych kierowców. W większości samochodów wśród pasażerów znajdowały się dzieci i te wozy policja przepuszczała nie robiąc kłopotów, natomiast samochody z dorosłymi były zatrzymywane, a ich pasażerowie indagowani. Parking wkrótce zamienił się w jeden wielki hałaśliwy korek pełen poddenerwowanych zmotoryzowanych.

- Tam - wskazał Vincent. - Limuzyny są tam. W tej drugiej części.

Minęli truchtem dwa puste autobusy wynajęte specjalnie na to wydarzenie, ale zatrzymali się, nie dobiegłszy do części parkingu dla limuzyn. Policja indagowała kierowców i rząd siedmiu czy ośmiu limuzyn ustawił się już do punktu kontrolnego. Jednym z trzech długich białych mercedesów przyjechał Mikhi.

- Który, do cholery? - Sam podrapał się w głowę. - Są identyczne. Która jest Mikhiego?

- Poznałbym kierowcę. Był wysoki i łysiejący, z wąsikami.

- Ale okna są dymione. Gówno widzę. Musimy poczekać, aż opuszczą szybę na punkcie kontrolnym, żeby pogadać sobie z policją. Daj no papierosa. Ale kurestwo!

Zapalili i spokojnym krokiem podeszli do wyczarterowanego autobusu, opierając się o drzwi, jakby czekali na kierowcę. Stąd widzieli każdą limuzynę i każdego kierowcę, który wyjeżdżał z parkingu. Przy drugim mercedesie Vincent rozpoznał prowadzącego wóz, gdy ten odkręcił szybę.

- To on. Co teraz?

- Jak tylko wyjedzie, idziemy za nim. Nie rozwinie szybkości w tym tłumie. Zaczynamy, gdy będziemy poza zasięgiem policji.

Vincent rozejrzał się ostrożnie.

- Zatrzesienie glin. Regularny potop. Patrz - wskazał nadjeżdżające wozy.

Zajęli się ponownie limuzyną, która już wyjechała z parkingu i przedierała się przez tłum opanowanych paniką widzów. Sam szedł za wozem, podczas gdy Vincent pobiegł do przodu. Jakieś sto metrów od wejścia dla artystów Vincent zawrócił i zamachał legitymacją przed oczyma kierowcy.

Ten zatrzymał się i opuścił szybę.

- Oui, monsieur?

W tym momencie Sam uderzył go łokciem i, oszołomionego, wypchnął z kierownicy, wsiadając na jego miejsce. Vincent wsunął się z drugiej strony i przyłożył mu pistolet do piersi.

- Nie próbuj żadnych sztuczek - ostrzegł go po francusku. - Tu nie chodzi o ciebie.

- Monsieur, jestem tylko kierowcą. Pracuje dla firmy wypożyczającej limuzyny na różne okazje.

Nie mam nic wspólnego z tymi rosyjskimi bandziorami. Proszę mi wierzyć.

- To nic ci się nie stanie. Tylko nie panikuj.

Sam prowadził mercedesa dalej w kierunku wyjścia z kulis. Barczysty mężczyzna w kapeluszu usiłował opróżnić z gapiów rejon wokół wejścia. Kapelusz, który wydawał się za duży na niego, rzucał cień na twarz. Mercedes posuwał się do przodu centymetr po centymetrze. Sam trzymał jedną nogę na pedale gazu, drugą na hamulcu.

- Jest - Vincent wypatrzył Mikhiego i jego goryli, którzy pojawili się w tym momencie w świetle lamp na podjeździe. Widząc białego mercedesa, Mikhi zamachał aktówką, przywołując swego kierowcę. W drugim ręku trzymał beżową teczkę.

Jadąc mu naprzeciw, obserwowali Rosjanina przez przednią szybę. Mikhi, zniecierpliwiony, ruszył szybkim krokiem w ich kierunku, goryle za nim.

- Nadchodzi - szepnął Sam. - Gotowy?

Dalej wydarzenia potoczyły się z zaskakującą szybkością. Przebiegający wokół widzowie nie zdali sobie sprawy z tego, co się stało, dopóki ciała nie runęły na chodnik. Nóż w ręce Seamusa nawet nie załśnił w światłach, może jedynie zaiskrzył w momencie, gdy zrywał on z głowy kapelusz.

Jednemu goryłowi wepchnął nóż w serce, drugiego zarznął jednym, płynnym ruchem.

Zaskoczonemu Mikhiemu, który obrócił się na pięcie słysząc ruch za sobą, wbił nóż w brzuch i pociągnął w kierunku serca i płuc. Rosjanin runął na ziemię bez słowa. Seamus chwycił beżową walizkę i zniknął w czełściach tunelu prowadzącego za kulisy.

- Sukinsyn - zawył Sam. - On jeszcze żyje!

- Czyżbym słyszał w twym głosie nutkę rozczarowania? - rzekł Vincent flegmatycznie.

## Rozdział 40

Obaj wyskoczyli z mercedesa i pognali w kierunku tunelu. Ludzie wciąż wychodzili z hali.

Widok ciał trzech zabitych Rosjan spowodował absolutną histerię, tak że Sam i Vincent przebijali się z trudem. Odznaka policyjna Vincenta przestała robić wrażenie, wychodzący myśleli tylko, jak ujść z życiem.

Udało im się przedrzeć przez tłum w kierunku tunelu i po chwili znaleźli się na arenie.

Sanitariusze zabierali ciało Nastazji. Umieścili je na wózku i zmierzali ku wyjściu z drugiej strony.

- Widzisz go? - Sam przebiegał wzrokiem prawie pustą halę.

- Jedyna nadzieja to parking - wysapał Vincent. - Przecież nie przyszedł tu na piechotę. Twoja przyjaciółka Deirdre pewnie prowadzi. Założę się, że nie gasiła silnika.

- Sądzę, że przyjaźń, o której mówisz, przestała być aktualna - odciął się Sam.

Pobiegli przez lodowisko na drugą stronę, ślizgając się na skórzanych podeszwach butów.

Przeskoczyli przez bandę i wypadli na otwarty plac w południowej części obiektu. Przebiegli go, ale w pobliżu parkingów i strzeżonego wejścia przyhamowali. Dalej poszli spacerkiem.

- Rozdzielmy się - mówił Sam. - Więcej obejdziemy, a poza tym nie będziemy rzucać się w oczy.

I nie wyciągaj już tej odznaki. Tu jest pełno gliniarzy... Prawdziwych.

- Tak jest.

- I jeszcze jedno, Vincent.

- Oui?

- W tej sytuacji nie ma pardonu.

- Tak myślałem od początku.

Minęli policjanta przy wejściu na parking, ale nikt się nimi nie zainteresował. Policji bardziej zależało na opuszczających teren. Wyglądali na idących po samochód. Nie zdążyli się rozdzielić, gdy Vincent kuksańcem zwrócił uwagę Sama na prawo.

- Patrz tam. Właśnie schował się za tym niebieskim minibusem.

Sam zerknął we wskazanym kierunku w sam czas, żeby zobaczyć Seamusa. Ten szedł, rozglądając się niepewnie za samochodem, którego wyraźnie nie było w umówionym miejscu.

- Idź za nim - polecił Sam. - Zajdę mu drogę od przodu.

Vincent ruszył za Seamusem, odwracając twarz, jakby też szukał swego wozu. Sam skierował się do drugiego wyjazdu położonego w odległym końcu parkingu, zaglądając po drodze do różnych samochodów w nadziei, że kogoś rozpozna. W końcu natknął się na czarne renault i szybko wsiadł na miejsce przy kierowcy.

Na dźwięk otwieranych drzwi Deirdre instynktownie sięgnęła po broń, toteż gdy Sam usiadł obok niej pistolet skierowany był w jego pierś.

- Zrób mi przysługę - powiedział spokojnie.

- Co mówisz?

- W zasadzie dwie - dodał, ignorując ją.

- Sam, nie żartuj ze mną!

- Po pierwsze, zrób mi tę przysługę i nie strzelaj do mnie. Po drugie, spływaj stąd.

Deirdre nie odpowiedziała. Patrzyła na niego i nic nie rozumiała.

- Spływaj - powtórzył Sam. - Nie jestem sam.

- Co, Vincent cię ubezpiecza? - zaśmiała się.

- Nie, kochanie. Za mną stoi Firma. Dla ciebie to już koniec. Spływaj stąd. Wyjedź przez tę bramę. Policja nie zatrzyma samotnej kobiety.

Milczała, ale pistolet nie był już wycelowany w pierś Sama. Po chwili położyła go na siedzeniu obok i westchnęła.

- Lepiej będzie dla ciebie - ciągnął - jeśli wysiądziesz z tego wozu i odejdziesz.

Wskazał na wyrwaną stacyjkę.

- Widać, że to kradziony wóz. Zostaw broń. Nie zatrzymają cię. Mogą cię przeszukać, ale nie zatrzymają.

Popatrzyła na niego przeciągle.

- Pójdę, jeśli pójdziesz ze mną. Chodź ze mną. Odejdźmy stąd razem...

Sam zagryzł wargi i umieścił ręce na desce rozdzielczej przed sobą.

- Dlaczego uratowałaś go tam na autostradzie? - zapytał. - Dlaczego uratowałaś tę gnidę? Spłonąłby we wraku. Bez niego wszystko byłoby takie proste.

Deirdre zamyśliła się.

- Czyja wiem? - odezwała się w końcu. - Sam, nie wiem, naprawdę. Chyba za długo się znamy. On wciąż wierzy w Sprawę. Wciąż pracuje dla czegoś.

- Zostaw w spokoju Sprawę! Czy coś kiedyś z niej miałaś?!

- To nie takie proste. To już tyle lat... Jezu, sama nie wiem, co myśleć... Naprawdę, nie wiem, co ze sobą zrobić...

- Chryste!

- Rany, Sam, a ty nie jesteś zagubiony tak samo, jak ja?

Nie odpowiedział. Nie odrywał wzroku od szyby.

- Sam, odejść, naprawdę odejść, ale chodź ze mną. Zapomnij o tej walizce.

Sam już miał odpowiedź na ustach, gdy zobaczył Seamusa, który, dojrawszy wreszcie renault, szedł w jego kierunku. Sięgnął do klamki, żeby otworzyć drzwi. Deirdre chwyciła go za rękę.

- Nie, Sam, on cię zabije. Wiem, że cię zabije. Czuję to... Zapomnij o tej cholernej walizce. Chodź ze mną. We dwoje uda się nam.

Jeszcze raz spojrział na nią i potrząsnął głową.

- Nic nie rozumiesz. Walizka to jedno, ale mnie nie chodzi o nią. Od początku chodziło o coś innego...

- Jak to?

- Chodzi o Seamusa.

- Co?

- Seamus stoi na drodze procesu pokojowego. Musi odejść, nie ma alternatywy. Wielu ludzi pragnie, żeby doprowadzić to wszystko do szczęśliwego końca. Nie tylko w Anglii i w Irlandii, ale także w Ameryce. To wystarczający powód, żeby Seamus przestał brudzić.

Deirdre otworzyła usta ze zdumienia.

- Seamus? - wyszeptała.

- To moje zadanie - odpowiedział Sam. - Zajmuję się likwidacją. Nie chodzi o ciebie, tylko o niego. Więc idź. Odejdź stąd.

Wysiadł z wozu zabierając jej pistolet. Jeszcze raz pochylił się do okna samochodu i spojrział jej w oczy.

- Spływaj stąd, Deirdre. Jeśli nie dla siebie, to zrób to dla mnie.

Wyprostował się i spojrział na prawo. Seamus miał jeszcze jakieś dwadzieścia metrów do pokonania. Dopiero teraz Sam zobaczył strasznie zniekształconą twarz. Obficie przyklepione plastry niewiele uczyniły dla poprawienia wyglądu tej posiniaczonej i pociętej fizjonomii w kolorze śliwki.

Sam poczekał, aż Seamus go zauważy. Przeszedł wówczas na stronę kierowcy, wsunął ramię do środka, przed nosem Deirdre, i wyrwał kable zapłonu. Silnik renault zgasł. Podniósł kable do góry, żeby Seamus mógł je zobaczyć. Irlandczyk zatrzymał się, jak rażony piorunem. Sam rzucił kable na maskę samochodu i pobiegł w jego kierunku.

Seamus obrócił się na pięcie, rozglądając się za drogą ucieczki. Wszystkie wyjazdy z parkingu kontrolowała policja. Skreślił w prawo i ruszył z powrotem w kierunku hali, ale po kilku krokach natknął się na Vincenta. Ten sięgnął nawet po broń, ale, zaskoczony upiornym wyglądem Seamusa, stracił cenne sekundy. Seamus zamachnął się walizką trzymaną w rękę i zdzielił nią Vincenta po głowie. Francuz poleciał w bok, rozbijając boczną szybę żółtego BMW. Nieprzytomny, z krwawiącą raną na policzku, osunął się na ziemię. Seamus przeskoczył przez ciało i pognął w kierunku hali.

Sam dopadł Vincenta, szybko sprawdził puls i stwierdził, że żyje.

- Panie - zwrócił się do kierowcy BMW - niech go pan powachluje programem. Zaraz wróci do siebie. A o okno niech się pan nie martwi, zwrócimy koszty naprawy.



- Je suis desole, monsieur. Je ne parle pas anglais - odparł przestraszony Francuz.

- Już nic.

Sam pobiegł w ślad za Seamusem.

Irlandczyk zwolnił przy punkcie kontrolowanym przez policję, usiłując przemknąć się niepostrzeżenie. Został jednak zatrzymany. Policjanci kazali otworzyć walizkę. Seamus oparł ją na masce stojącego wozu i otworzył. Policjant wyjął z niej dużą żółtą kopertę, zajrzał do środka, po czym wrzucił ją z powrotem. Seamus znowu z walizką w garści poszedł w kierunku hali.

Sam podjął błyskawiczną decyzję. Biegł dalej w kierunku policjantów, a gdy dotarł do nich, zaczął klepać się po kieszeniach i tłumaczyć:

- Słuchajcie, zgubiłem kluczyki do samochodu. Tam, w środku. Chyba wiem, gdzie. Muszę tam wrócić, zanim zamkną.

- Je suis desole, monsieur. Je ne parle pas anglais - przerwał mu policjant.

- No to klops.

Policjant przywołał kolegę.

- Jean Claude, americain.

Jean Claude podszedł i przyjrzał się Samowi.

- Słucham?

- Zgubiłem kluczyki. Muszę wrócić do hali, żeby ich poszukać.

- Który to pana wóz?

- O, ten. - Sam wskazał czarne renault. - To czarne renault. Widzi pan? Stoi tam.

Policjant wspiął się na palce i zobaczył pusty samochód. Machnął ręką.

- Idź pan, byle szybko, bo wstrzymuje pan pozostałych.

- Dziękuję, panie oficerze.

Sam pobiegł przez plac w kierunku hali. Seamus wchodził właśnie przez południowe wejście i wyraźnie nie spodziewał się, że Sam ruszy za nim pędem. Sam wpadł do budynku piętnaście sekund później.

Budynek był już prawie całkowicie opustoszały. Seamus pobiegł w prawo, ścigany przez Sama.

Rzucił okiem do tyłu, sprawdzając, gdzie jest jego prześladowca. Nie spodziewał się żadnych przeszkód, toteż gdy sprzedawczyni lodów, zajęta opuszczaniem krat na swym stoisku, wyszła prosto na niego, wpadł na nią z ogromnym impetem. Oboje runęli na podłogę. Seamus usiłował zepchnąć ją na bok, wyciągając jednocześnie broń, ale, zobaczywszy Sama nad sobą, chwycił kobietę za szyję i przyłożył jej pistolet do głowy. Sam, który trzymał broń w ręku, zatrzymał się w odległości trzech metrów. Seamus

nie powtórzył błędu Siergieja z Arles - schował się cały za zakładniczką. Sam nie mógł strzelić bez zagrożenia dla życia kobiety.

Uśmiechnął się więc do Seamusa i powiedział:

- Coś mi się wydaje, że jesteśmy w sytuacji bez wyjścia.

- Zabiję ją.

- Co ci to da? Stracisz osłonę.

- Przysięgam. Rzuć broń, bo strzelam.

- Seamus... Śledzisz mnie od kilku dni. Nie liczyłeś ciał? Nie sądzisz chyba, że jeden trup więcej coś zmieni?

Ręka Seamusa zaczęła drżeć. Kobieta spróbowała się wyrwać. Sam zareagował błyskawicznie, ale w ostatniej chwili nie strzelił. Szansa znikła równie szybko, jak się pojawiła. Cmoknął sfrustrowany.

- Cholera, myślałem, że to koniec... Wiesz, chłopie, mam pomysł. Może zastrzelę tę kobitkę, żeby nam nie przeszkadzała, a potem cię wykończę? Przestrzelę ci ten cholerny łeb. Tak to się skończy.

Seamus wydawał się to rozważać.

- Masz rację. Wiem, że przegrałem.

Mówiąc to, udał, że opuszcza broń. W tej sekundzie nacisnął spust. Kula trafiła Sama, przeszywając lewy bok blisko płuca. Z grymasem bólu wykrzywiającym twarz, Sam upadł na kolana, przyciskając ręce do rany i gubiąc w efekcie pistolet. Seamus zerwał się na nogi i jednym kopnięciem odrzucił jego pistolet gdzieś daleko w głąb korytarza. Przyłożył rewolwer do czoła Sama.

- Głupi z ciebie gówniarz, Ronin.

- Wiesz co, Seamus, wiedziałem o tym, ale zawsze dobrze uzyskać potwierdzenie z innego źródła.

- Jesteś za miękki. Zabiłbym tę tłustą sukę bez wahania.

- Cóż, jestem dżentelmenem.

- Zabiję cię z przyjemnością.

- Wierzę.

- Wiesz, kiedyś w Belfaście...

Strzał, który się rozległ, wywołał paniczny wrzask sprzedawczyni lodów. Sam chciał nawet zasłonić uszy, ale patrzył bez ruchu na trupa Seamusa osuwającego się ciężko na beton. Z niewielkiego otworu tuż nad prawym uchem ciekła strużka krwi. Dopiero wtedy dojrzał w głębi tunelu, skąd padł strzał, postać Deirdre. Stała z dymiącym pistoletem Vincenta w ręku. Za nią zobaczył mężczyznę w doskonale skrojonym ciemnym garniturze. Oboje podeszli do niego. Deirdre odezwała się pierwsza.

- Wiesz, coś kiepską masz obstawę... Nie lubi brudzić sobie rączek...

Sam przyjrzał się mężczyźnie w garniturze.

- Cześć, Lukas.

- Sam...

Deirdre pomogła mu wstać.

- Jesteś ranny? - spytała widząc krew.

- Czuję się jak ser szwajcarski.

Lukas podniósł beżową walizkę i sprawdził jej zawartość. Bez słowa odszedł z nią w kierunku lodowiska.

- Rzeczywiście, kiepska obstawa - rzekł Sam macając się po boku.

- I taki małomówny.

- Dobrze, że jesteś. Co dalej?

- Vincent uruchomił renault, choć nie ułatwiłeś mu wcale zadania. Twój przyjaciel Lukas dał nam policyjne tablice. Żaden posterunek nas nie zatrzyma. Wytrzymasz? Ta rana wygląda paskudnie. Dasz radę?

Spojrzał na nią uważnie, jakby chciał zajrzeć do głębi duszy.

- Deirdre, rzucasz to czy nie?

- A jak myślisz?

- Nieważne, co myślę. Ważne, co powiesz.

- Jeśli tak, to rzucam.

- Jeśli tak, to dam radę.

**KONIEC**